

**DODATEK
KURIER
WETERANA**

MOCNY SOJUSZ

AMERYKANIE W **ORZYSZU**:
JAK PRZEBIEGA ICH SŁUŻBA
I CO ROBIĄ W CZASIE
WOLNYM

**JAK ZOSTAĆ
TERYTORIAŁEM**

PODRĘCZNA INSTRUKCJA

**DLA OCHOTNIKÓW
DO WOJSK OBRONY
TERYTORIALNEJ**

WOJSKA SPECJALNE

NIEWIDZIALNA SIŁA

**ELITA SPRAWDZONA
W NAJTRUDNIEJSZYCH
AKCJACH**





Z SZEREGU WYSTĄP



IZABELA
BORAŃSKA-
-CHMIELEWSKA



OD DZIESIĘCIU LAT SĄ ODRĘBNYM
RODZAJEM SIŁ ZBROJNYCH. SWÓJ
POTENCJAŁ WYPRACOWYWAŁY
JEDNAK DUŻO WCZEŚNIEJ.

Polskie wojska specjalne – bo to właśnie im poświęcamy w tym numerze najwięcej miejsca – są potęgą i chlubą naszej armii. Ich wizytówką jest wyszkolenie na najwyższym, światowym poziomie. Trudna jest już sama droga do tych jednostek, bo specjalsi nie tylko muszą być ponadprzeciętnie sprawni fizycznie, lecz także wyróżniać się określonymi cechami charakteru. W czasie selekcji bowiem to nie siła mięśni decyduje o zwycięstwie. Specjalnie dla naszych czytelników komandosi uchylają rąbka tajemnicy i opisują akcje, w których brali udział.

Szacunek i wsparcie – tego oczekują od nas weterani. Oni spełnili swój obowiązek, ale często z misji wracali okaleczeni – fizycznie i psychicznie. Społeczeństwo jednak niewiele wie o problemach, z jakimi się borykają – osobistych, rodzinnych czy zdrowotnych, wynikających ze specyfiki służby w takich miejscach, jak Irak czy Afganistan. Mało kto zdaje sobie sprawę, że często po przyjeździe do kraju muszą walczyć zarówno o powrót do pełnej sprawności, jak i możliwość służby w wojsku.

Wojskowy Instytut Wydawniczy od wielu lat z okazji ich święta – Dnia Weterana Działań poza Granicami Państwa, obchodzonego 29 maja – przygotowuje okolicznościowe edycje „Kuriera Weterana”. W tym roku tę publikację dołączamy do miesięcznika „Polska Zbrojna”. Za taką możliwość i współpracę dziękujemy Stowarzyszeniu Rannych i Poszkodowanych w Misjach poza Granicami Kraju oraz Centrum Weterana.

Losy weteranów są różne, ale to nasza świadomość wagi wsparcia i zrozumienie ich problemów są właśnie tym, co może realnie pomóc. Chodzi nie tylko o stronę materialną, lecz także o nasze wyrozumiałe spojrzenie, wyrażające szacunek i wdzięczność...





Zdjęcie na okładce:
Michał Niwicz

NR 5 (853)
MAJ 2017

TEMAT NUMERU

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK,
EWA KORSAK

10 / Niewidzialna siła

Krótką historią wojsk specjalnych.

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK,
EWA KORSAK

18 / Niezawodni

Specjaliści opowiadają o akcjach poza granicami kraju.

MAGDALENA MIERNICKA

28 / Marsz do Formozy

Jak przygotować się do selekcji do wymarzonej jednostki?

MARCIN GÓRKA

44 / Tajna operacja generała

Nowatorskie ćwiczenia 12 Dywizji.

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

48 / Ludzie z metalu

Dywizjon Okrętów Podwodnych od kulis.

MAGDALENA MIERNICKA

52 / Z kamerą na froncie

W Kielcach dziennikarze uczą się, jak zostać korespondentami wojennymi.

KRZYSZTOF KUSKA

54 / Taniec loadmasterów

Herculeś w obiektywie Piotra Łysakowskiego.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

58 / Przysięga zobowiązuje

Trwa zainicjowany przez Centrum Weterana cykl spotkań w jednostkach wojskowych.

MANIEK

62 / OIOM z plecaka

Jak zmienia się system opieki nad pacjentem w medycynie pola walki?

MACIEJ CHILCZUK

66 / Lustro wojska

Krótkie wspomnienie z gali wręczenia Buzdyganów – nagrody „Polski Zbrojnej”.

ARSENAŁ

KRZYSZTOF WILEWSKI

74 / Kraby podano

Ostatnie testy systemów artyleryjskich.

KRZYSZTOF WILEWSKI

78 / Globalna marka

Rozmowa z Błażem Wojniczem, prezesem Polskiej Grupy Zbrojeniowej.

TADEUSZ WRÓBEL

82 / Francuskie śmigła

Kolejna faza programu „Wspólny lekki śmigłowiec”.

RAFAŁ CIASTOŃ

85 / Wojsko z głębin

Rosyjska flota podwodna znów rośnie w siłę.

KRZYSZTOF WILEWSKI

90 / Laserowa artyleria

Jak „Gwiezdne wojny” wkroczyły w wojskową rzeczywistość?

Znajdziesz nas tutaj:



ARMIA

MICHAŁ ZIELIŃSKI

32 / Mocny sojusz

I zmiana Międzynarodowej Batalionowej Grupy Bojowej w Orzyszu.

PIOTR RASZEWSKI

40 / Misja Lublin

Codziennosc w Wielonarodowej Brygadzie w Lublinie.



STRATEGIE

TOMASZ OTŁOWSKI

94 / Życie nie znosi próżni

Afganistan wciąż jest łakomym kąskiem w międzynarodowej grze wpływów.

WITOLD REPETOWICZ

103 / Srogі gniew Eufratu

Operacja zdobycia Ar-Rakki.

ROBERT SENDEK

106 / Najmniejsza armia w NATO?

Wkrótce do sojuszu północno-atlantyckiego dołączy Czarnogóra.



HISTORIA

PIOTR KORCZYŃSKI

110 / Batalie tropiciela

Prof. Wojciech Narębski, żołnierz 2 Korpusu Polskiego, opowiada o walkach pod Monte Cassino.

PRZEMYSŁAW WYWIAT

115 / Ochota służenia ojczyźnie

Polska armia w obronie „Konstytucji 3 maja”.

ROBERT SENDEK

118 / Południowcy w polskiej konspiracji

Udział bułgarskiej Grupy B w działalności państwa podziemnego.

JAKUB NAWROCKI

122 / Leśny człowiek

August Sabbe – ostatni estoński partyzant.

TADEUSZ WRÓBEL

124 / Oblubieńcy śmierci

Hiszpańska Legia Cudzoziemska.

TADEUSZ WRÓBEL

128 / Uniwersalny transporter

W cyklu „Niezwyczajne maszyny” – lekki transporter Universal Carrier.



HORYZONTY

TADEUSZ WRÓBEL

132 / Znak orła

Rozmowa z Tomaszem Zawistowskim, autorem monografii „Polskie orły do czapek w latach 1917–1945”.

JACEK SZUSTAKOWSKI

138 / Święto sportu

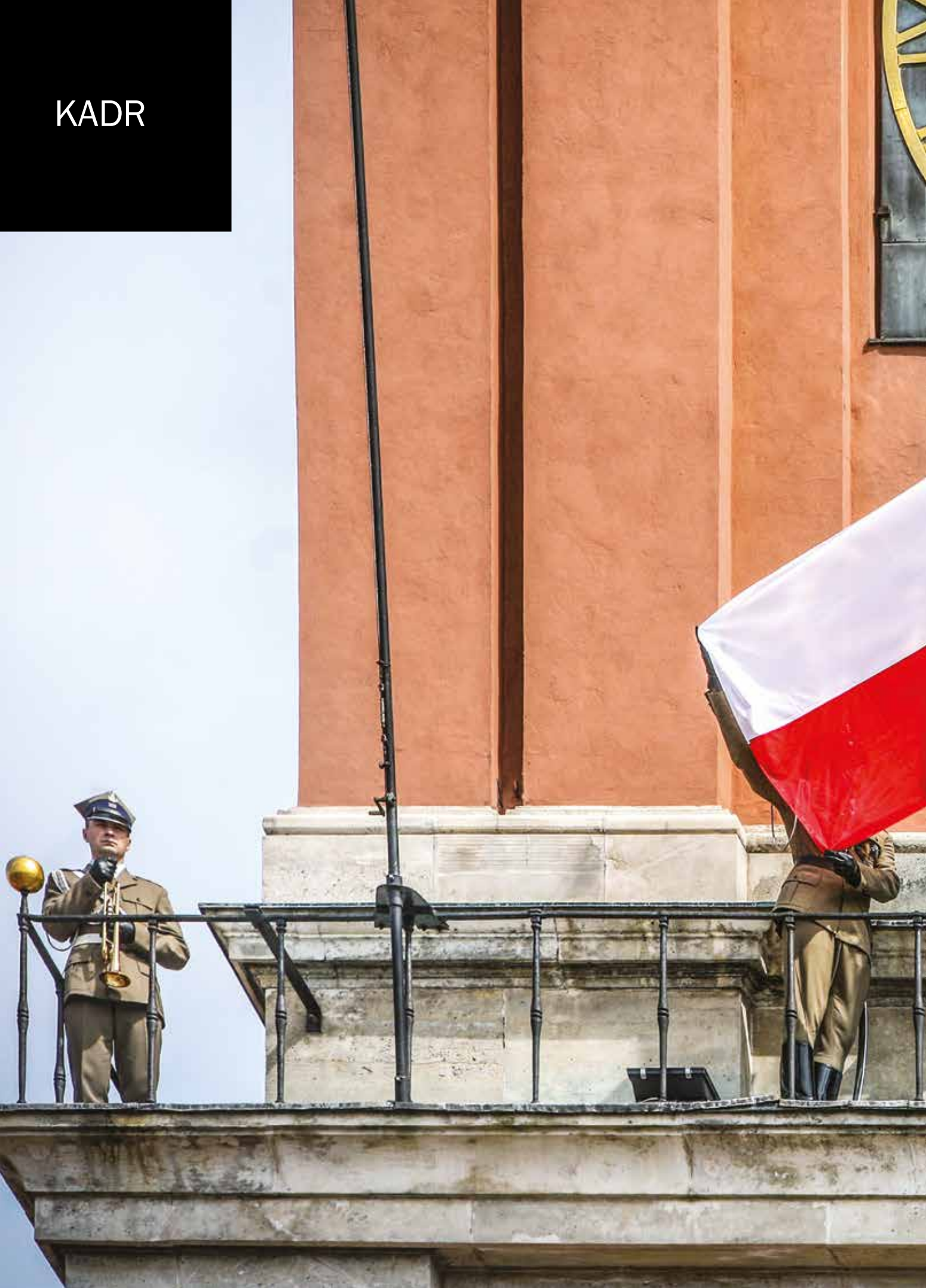
Nagrodziliśmy laureatów plebiscytu sportowego portalu polska-zbrojna.pl.

JACEK SZUSTAKOWSKI

140 / Setka z Metą

Pierwsza edycja „Setki komandosa”.

KADR





**OD 13 LAT 2 MAJA OBCHODZIMY DZIEŃ FLAGI RZECZYPOSPOLITEJ
POLSKIEJ.** To również Dzień Polonii i Polaków za Granicą. Flaga,
nasze barwy narodowe, to znak Państwa i Narodu Polskiego
znany każdemu Polakowi. Nasza biało-czerwona budzi
podziw, szacunek i respekt.

FOT. JAROSŁAW WIŚNIEWSKI

ANNA JAKUBCZYK/CO MON



ROBERT SUCHY/CO MON

10 kwietnia - to szczególnie bolesna data, już siódma rocznica tragedii smoleńskiej.

Nigdy wcześniej w żadnym państwie nie doszło do tak dramatycznego w skutkach wydarzenia – śmierci tylu osób z elity narodowej, prezydenta z małżonką, najwyższych rangą dowódców Wojska Polskiego, reprezentantów najważniejszych instytucji państwowych. Przedstawiciele władz państwowych, z prezydentem Andrzejem Dudą i ministrem obrony narodowej Antonim Macierewiczem; oddali cześć i hołd wszystkim ofiarom. Przed gmachem Dowództwa Garnizonu Warszawa odsłonięto popiersie prezydenta Lecha Kaczyńskiego. O pasażerach rządowego Tu-154 jak zawsze pamiętali Polacy, którzy tłumnie odwiedzali w tym dniu Krakowskie Przedmieście i miejsca upamiętniające tragiczne wydarzenie z 10 kwietnia 2010 roku...



ROBERT SIEMASZKO/CO MON (2)



Priorytety naszej armii

Doroczna odprawa kierownictwa resortu obrony.

Najważniejsze, żebyśmy mieli dobrą, silną, sprawną i adekwatną liczebnie polską armię, która będzie w stanie bronić terytorium Rzeczypospolitej i zapewnić bezpieczeństwo obywatelom”, mówił prezydent Andrzej Duda na dorocznej odprawie rozliczeniowo-koordynacyjnej kierownictwa resortu obrony i Wojska Polskiego. Podczas obrad omawiano m.in. implementację postanowień szczytu NATO w Warszawie. Prezydent ocenił, że na lipcowym spotkaniu zapadły kluczowe decyzje o obecności sił sojuszu w naszej części Europy, związane z zagwarantowaniem Polsce bezpieczeństwa zewnętrznego. Dodał też, że ważne jest wzmacnianie polskiej armii przez sukcesywne budowanie wojsk obrony terytorialnej.

Z kolei minister Antoni Macierewicz zaznaczył, że polska armia mu-

si zmieniać się liczebnie: „Zakładamy, że do roku 2019 będzie ponad 150 tys. żołnierzy, a po 2022 roku – 200 tys.”. Szef resortu obrony wymienił też trzy priorytety dotyczące modernizacji: jak najszybsze pozyskanie rakiet systemu Wisła; wzmocnienie sił rażenia artyleryjskiego ujęte w planie modernizacyjnym pod nazwą Homar oraz wzmocnienie obrony morskiej przez podpisanie w tym roku umowy na trzy okręty podwodne.

Zasadniczą część odprawy miała charakter niejawną. Jednym z głównych tematów była przygotowywana przez MON reforma systemu dowodzenia. Zakłada ona powrót do rozwiązań sprzed 2014 roku i wzmocnienie roli Sztabu Generalnego Wojska Polskiego oraz jego szefa. Odtworzone mają też być dowództwa poszczególnych rodzajów sił zbrojnych. PZ, PG ■

Gotowi do działania

Trzy brygady obrony terytorialnej, w Białymstoku, Lublinie i Rzeszowie, zostały podporządkowane Dowództwu Wojsk Obrony Terytorialnej. Dotąd było ono w fazie tworzenia, dlatego pracami organizacyjnymi i formowaniem nowych formacji zajęło się Biuro do spraw Utworzenia Obrony Terytorialnej z Dowództwem Generalnym Rodzajów Sił Zbrojnych. **Trzy pierwsze brygady osiągną pełną gotowość bojową w 2019 roku.** Tyle będzie trwało szkolenie i przygotowanie żołnierzy. Do końca 2017 roku mają powstać kolejne trzy brygady OT: dwie w województwie mazowieckim i jedna w Olsztynie, a kolejne w następnych dwóch latach. PZ, PG ■

Teresie Staszewskiej,
wieloletniej pracownicy redakcji „Polski Zbrojnej”,
najszczerze wyrazy współczucia
z powodu śmierci
Męza
składają koleżanki i koledzy
z Wojskowego Instytutu
Wydawniczego.

„Niech się nie trwoży
serce wasze (...)
W domu Ojca mego
jest mieszkań wiele”.

Panu Marcinowi Izdebskiemu
po śmierci
Ojca
składamy wyrazy współczucia
oraz kierujemy słowa
wsparcia i otuchy.
Koleżanki i koledzy
z Wojskowego Instytutu
Wydawniczego

Maszyny dla VIP-ów

Resort obrony kupił trzy samoloty do przewozu najważniejszych osób w państwie. Kontrakt o wartości 2,5 mld zł dotyczy trzech średnich samolotów **Boeing 737-800**. Jedna z maszyn to używana wersja pasażerska, a dwie kolejne to nowe egzemplarze w wersji biznesowej – BBJ2. „Mamy znakomity samolot, który będzie świetnie wyposażony”, mówił Bartosz Kownacki, wiceminister obrony. Boeingi zostaną wyposażone m.in. w systemy identyfikacji bojowej IFF i nawigacji Szakal, łączność satelitarną z możliwością przesyłania danych o klauzuli „tajne” oraz odbiorniki GPS. Pierwsza maszyna trafi do

1 Bazy Lotnictwa Transportowego w listopadzie 2017 roku, kolejne dwie zostaną dostarczone w 2020 roku.

Przetarg na zakup tych samolotów został ogłoszony 30 sierpnia 2016 roku. Inspektorat Uzbrojenia zaprosił do złożenia ofert dwie firmy – czeskiego Glomexa i amerykańskiego Boeinga. Oba podmioty zaproponowały Polsce boeinga B737. 9 marca Inspektorat Uzbrojenia unieważnił przetarg, bo oferowane maszyny miały zbyt wygórowaną cenę. Została uruchomiona kolejna procedura, tym razem w trybie zamówienia z wolnej ręki. Do negocjacji zaproszono amerykańską firmę Boeing. PZ, MM ■

TEMAT NUMERU

/ WOJSKA SPECJALNE

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
EWA KORSAK

NIEWIDZIALNA SIŁA

**Najlepiej wyszkoleni i wyposażeni
w najnowocześniejszy sprzęt, sprawdzeni
w najtrudniejszych akcjach bojowych. Polscy
komandosi należą do elity światowych
sił specjalnych.**



MICHAŁ SZLAGA



R

ozwój sił specjalnych na całym świecie znacząco przyspieszył po tym, jak 11 września 2001 roku terroryści zaatakowali nowojorskie wieże World Trade Center i Pentagon. Zginęło wówczas niemal 3 tys. osób, a do ataku przystąpiła Al-Kaida dowodzona przez Osamę bin-Ladena. To tragiczne wydarzenie dało początek światowej wojnie z terroryzmem. Przystąpiła do niej również Polska. Rok po zamachu, w listopadzie 2002 roku w Pradze odbył

się szczyt sojuszu północnoatlantyckiego, na którym dużo uwagi poświęcono m.in. znaczeniu i rozwojowi sił specjalnych w walce z terroryzmem. Ówczesny minister obrony Jerzy Szmajdziński zadeklarował wtedy, że polskie wojska specjalne staną się naszą wizytówką w NATO.

SPECJALNOŚĆ W SOJUSZU

Również w Polsce wśród polityków i wojskowych pojawiło się po 2000 roku przekonanie o tym, że znaczenie wojsk specjalnych w konfliktach zbrojnych jest nie do przecenienia. Wpływ na to miały z pewnością sukcesy sił specjalnych w operacji „Enduring Freedom” w Afganistanie oraz „Iraqi Freedom”, w której uczestniczyły jednostki GROM i Formoza.

Za przykład skuteczności sił specjalnych w Afganistanie często podaje się początek operacji, w której kilkuset amerykańskich żołnierzy sił specjalnych, wspieranych przez wojska Sojuszu Północnego (ugrupowania afgańskie walczące z talibami o kontrolę nad krajem), CIA i lotnictwo szturmowe, w niecałe trzy miesiące opanowało większość terytorium kraju.

Dodatkowo potwierdzeniem deklaracji złożonej podczas obrad NATO w 2002 roku była wysoka skuteczność operacji prowadzonej przez jednostkę GROM w latach 2003–2004 w Iraku.

Były dowódca amerykańskich sił specjalnych w Europie gen. dyw. Michael Repass w wywiadzie dla „Polski Zbrojnej” kilka lat później mówił: „udział polskich wojsk specjalnych w działaniu w Iraku był ogromny i pokazał ich wysoką skuteczność. Pracowałem bezpośrednio z jednostką GROM jako ówczesny dowódca Połączonych Grup Zadaniowych Operacji Specjalnych na Półwyspie Arabskim”.

Rzeczywistym przełomem w rozwoju polskich wojsk specjalnych był jednak szczyt NATO w Rydze w 2006 roku. Nasza delegacja potwierdziła wtedy zobowiązania sprzed czterech lat. Dodatkowo cztery państwa: Polska, Stany Zjednoczone, Norwegia i Holandia, wnioskowały o zwiększenie potencjału sił specjalnych w sojuszu przez stworzenie jednego dla wszystkich dowództwa sił specjalnych NATO. Inicjatywa została przyjęta, a jej efektem było utworzenie w belgijskim Mons Centrum Koordynacji Operacji Specjalnych (NATO Special Coordination Center – NSCC, później przemianowane na NATO Special Operations Headquarters – NSHQ). Jednostka powstała 1 stycznia 2007 roku. Tego samego dnia w Bydgoszczy pracę zaczęło Dowództwo Wojsk Specjalnych.

Powołanie DWS poprzedziły lata ciężkiej pracy. Trzeba zaznaczyć, że do 2007 roku polskie oddziały specjalne (nie licząc jednostki GROM) nie były wykorzystywane zgodnie ze swoim przeznaczeniem i możliwościami. Jednostki znalazły się w różnych strukturach organizacyjnych – GROM od 1999 roku podlegał bezpośrednio MON-owi, 1 Pułk Specjalny (dziś Jednostka Wojskowa Komandosów) podporządkowano Dowództwu Wojsk Lądowych, a grupy specjalne pletwonurków działały w ramach Marynarki Wojennej. To oczywiście było przyczyną różnic w wyszkoleniu i wyposażeniu żołnierzy. By zmienić ten porządek, w Sztabie Generalnym Wojska Polskiego powstało Szefostwo Działań Specjalnych (wcześniej był oddział operacji

W TYM ROKU WOJSKA SPECJALNE OBCHODZĄ DZIESIĄTĄ ROCZNICĘ UZYSKANIA STATUSU ODREBNEGO RODZAJU SIŁ ZBROJNYCH

specjalnych SGWP), na czele którego stanął gen. Jan Kempa. Po latach oceniano, że szefostwo było za małe i nie miało kompetencji do dowodzenia połączonymi operacjami specjalnymi. Stanowiło jedynie etap przejściowy do utworzenia Dowództwa Wojsk Specjalnych. „Generał Kempa stał na czele zespołu, który wypracowywał założenia nadchodzących zmian. Czuliśmy, że rzeczywistość wokół nas zaczyna się przekształcać i w tych zmianach pokładaliśmy wielkie nadzieje”, przyznaje gen. bryg. Wiesław Kukula, wieloletni oficer wojsk specjalnych, dziś dowódca wojsk obrony terytorialnej.

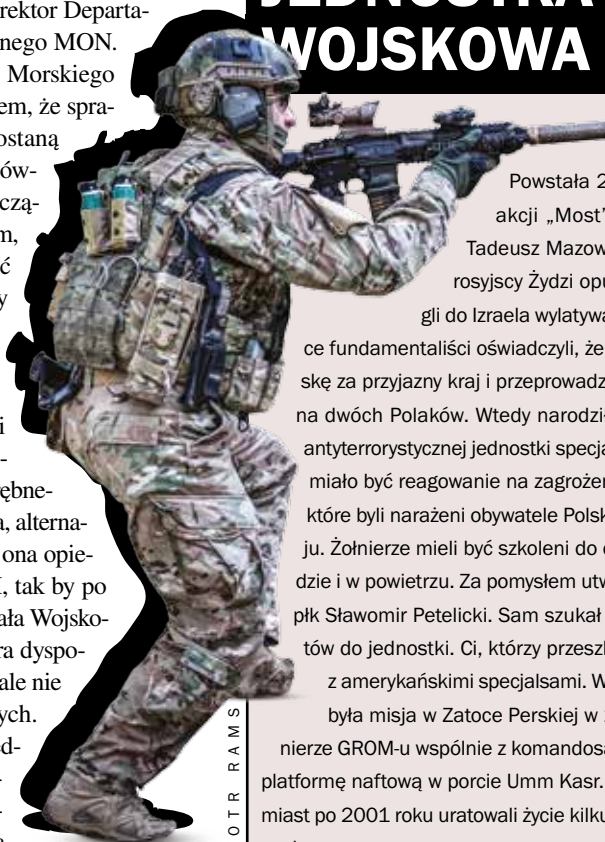
Podobnie ten moment wspomina kmdr Dariusz Wichniarek, były dowódca Formozy, dziś dyrektor Departamentu Strategii i Planowania Obronnego MON. „Gdy zapadła decyzja o stworzeniu Morskiego Wydziału Działań Specjalnych, czułem, że sprawy morskiej jednostki specjalnej zostaną uporządkowane. Pokierował nim wówczas kmdr Andrzej Stolarski. Rozpocząłem służbę w tym wydziale, bo czułem, że stamtąd dla Formozy mogą zrobić więcej. Wiedziałem, jakie są potrzeby jednostki, więc trzeba było działać”, opowiada kmdr Wichniarek.

Równolegle do opracowanej w Sztabie Generalnym WP koncepcji utworzenia Dowództwa Wojsk Specjalnych i wojsk specjalnych jako odrębnego rodzaju sił zbrojnych powstała inna, alternatywna droga rozwoju WS. Miała się ona opierać na rozbudowie jednostki GROM, tak by po wchłonięciu 1 PSK i Formozy powstała Wojskowa Formacja Specjalna GROM, która dysponowałaby dużą autonomią działania, ale nie była odrębnym rodzajem sił zbrojnych. Ostatecznie ten pomysł nie zyskał jednak uznania. Jesienią 2006 roku zawiązała się grupa inicjatywna pracująca nad utworzeniem Dowództwa Wojsk Specjalnych. Na jej czele stanął gen. bryg. Marek Olbrycht. Kilka tygodni później Ministerstwo Obrony Narodowej zdecydowało o sformowaniu no-



NALEŻĄ DO ELITY ŚWIATOWYCH SIŁ SPECJALNYCH. PROWADZILI DZIAŁANIA W AFGANISTANIE, IRAKU, KOSOWIE. SUKCESY ODNIEŚLI TAKŻE NA BAŁKANACH I HAITI.

JEDNOSTKA WOJSKOWA GROM



PIOTR RAMS

Powstała 27 lat temu w wyniku akcji „Most”. Ówczesny premier Tadeusz Mazowiecki zgodził się, aby rosyjscy Żydzi opuszczający ZSRR mogli do Izraela wylatywać z Warszawy. Wkrótce fundamentaliści oświadczyli, że przestali uważać Polskę za przyjazny kraj i przeprowadzili w Bejrucie zamach na dwóch Polaków. Wtedy narodził się plan utworzenia antyterrorystycznej jednostki specjalnej, której zadaniem miało być reagowanie na zagrożenie terrorystyczne, na które byli narażeni obywatele Polski poza granicami kraju. Żołnierze mieli być szkoleni do działań na wodzie, lądzie i w powietrzu. Za pomysłem utworzenia GROM-u stał płk Sławomir Petelicki. Sam szukał pierwszych kandydatów do jednostki. Ci, którzy przeszli selekcję, szkolili się z amerykańskimi specjalsami. Wielkim sprawdzianem była misja w Zatoce Perskiej w 2002 roku, gdzie żołnierze GROM-u wspólnie z komandosami z USA odbili m.in. platformę naftową w porcie Umm Kasr. W Afganistanie natomiast po 2001 roku uratowali życie kilkudziesięciu porwanym osobom.

Jednostka kultywuje tradycje cichociemnych – legendarnych spadochroniarzy AK. ■



WOJSKA SPECJALNE SĄ PRZEZNACZONE DO PROWADZENIA OPERACJI SPECJALNYCH ZARÓWNO W KRAJU, JAK I POZA GRANICAMI, W OKRESIE POKOJU, KRYZYSU I WOJNY

DOWÓDCY WOJSK SPECJALNYCH

GEN. BRYG. WOJCIECH MARCHWICA	(OD 15.03.2017)
GEN. BRYG. JERZY GUT	(1.01.2014–14.03.2017)
GEN. DYW. PIOTR PATALONG	(15.08.2010–31.12.2013)
GEN. BRYG. MAREK OLBRYCHT	(10.04.2010–15.08.2010) – PEŁNIĄCY OBOWIĄZKI
GEN. BRONI WŁODZIMIERZ POTASIŃSKI	(15.08.2007–10.04.2010)
GEN. BRONI EDWARD GRUSZKA	(1.01.2007–15.08.2007)

wego dowództwa. Formalnie zaczęło ono działać 1 stycznia 2007 roku, a na czele nowej struktury stanął gen. broni Edward Gruszka.

POTASIŃSKI ZNACZY LIDER

Dowództwo Wojsk Specjalnych przez pierwszych miesiąc działało w Bydgoszczy, później zostało przeniesione do Warszawy, a ostatecznie do Krakowa. Za najważniejszą datę specjaliści uznają jednak 24 maja 2007 roku, kiedy wojska specjalne zgodnie z uchwałą Sejmu, podpisaną przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego, uzyskały status rodzaju sił zbrojnych. Wówczas w kompetencjach DWS leżało szkolenie żołnierzy oraz dowodzenie wojskami w czasie działań bojowych. Trzon WS stanowiły jednostki GROM, 1 Pułk Specjalny oraz Morska Jednostka Działań Specjalnych. W następnych latach powstały kolejno: w 2008 roku jednostka Nil – do zabezpieczenia w dziedzinie rozpoznania, łączności i logistyki, w 2011 roku Agat – szturmowa jednostka wsparcia bojowego wyposażona w cięższy sprzęt. Do tego w 2011 roku w siłach powietrznych utworzono 7 Eskadrę Działań Specjalnych, której zadaniem było wsparcie i zabezpieczenie przerzutu powietrznego pododdziałów wojsk specjalnych.

W sierpniu 2007 roku na czele WS stanął gen. dyw. Włodzimierz Potasiński. Jego byli podwładni do dziś przyznają, że był człowiekiem niezwykle odważnym, niepokornym i gotowym do walki o swoje idee. Między innymi dlatego uznaje się go za twórcę potęgi dzisiej-

szych wojsk specjalnych. Żołnierze przyznają, że dzięki charyzmie generała udało się skonsolidować wszystkie istniejące jednostki, a następnie stworzyć dwie nowe. „Generał Potasiński zbudował monolit wojsk specjalnych. Pokazał, że siła tkwi w jedności wszystkich jednostek. Był niezwykłym dowódcą”, dodaje kmdr Dariusz Wichniarek.

Już na początku funkcjonowania DWS zrodziła się inicjatywa, byśmy uzyskali w NATO status państwa ramowego. Zakładano, że powstanie dowództwo zdolne do planowania i dowodzenia operacjami specjalnymi w układzie sojuszniczym. Z tym pomysłem Potasiński poleciał rok później do USA. Na konferencji dowódców sił specjalnych, przed audytorium liczącym ponad 700 doświadczonych żołnierzy sił specjalnych, zaprezentował swoją wizję rozwoju wojsk specjalnych w Polsce. Jego otwartość i bezpośredniość ujęła ludzi. Dostał owację na stojąco, a kilka tygodni później do Polski przylecieli Amerykanie, by pomóc w formowaniu nowoczesnych wojsk specjalnych i przygotować ludzi do pracy w strukturach Sojuszniczego Dowództwa Komponentu Operacji Specjalnych NATO (Special Operations Component Command – SOCC). „Do dowództwa przyjechało kilkudziesięciu żołnierzy amerykańskich mobilnych zespołów treningowych. Pomagali nam zaprogramować docelową strukturę dowództwa i zadania dla każdego z oficerów. W efekcie wykorzystaliśmy to, że budujemy coś niemal od zera i stworzyliśmy rozwiązania, których zazdrościły nam armie innych państw”, opisuje gen. Kukuła.

Ostatecznie marzenie Potasińskiego się spełniło. „Międzynarodowy zespół certyfikujący, podczas szczegółowego sprawdzenia, które odbyło się we wrześniu 2014 roku na ćwiczeniach »Noble Sword '14«, uznał, że jesteśmy gotowi do dowodzenia operacjami specjalnymi sojuszu. Dołączyliśmy do wąskiego grona sześciu państw: USA, Kanady, Wielkiej Brytanii, Włoch, Turcji i Hiszpanii, które miały takie zdolności”, mówi płk Andrzej Trzaska. Oficer od lipca 2015 roku pełni służbę w amerykańskim dowództwie operacji specjalnych, a wcześniej służył w DWS. W trakcie certyfikacji do Sił Odpowiedzi NATO (NATO Response Force – NRF) pełnił obowiązki pierwszego zastępcy szefa międzynarodowego zespołu certyfikującego kadm. Konstantionosa Gialousisa z Sojuszniczego Dowództwa Sił Połączonych NATO w Neapolu (Allied Joint Force Command).

„Dobre przygotowanie, umiejętności i zdolności potwierdziliśmy w 2015 roku, kiedy utrzymywaliśmy w nakazanej gotowości wszystkie siły i środki wojsk specjalnych zadeklarowane do Sił Odpowiedzi NATO. Przez 24 godziny na dobę byliśmy włączeni w system dowodzenia i wymiany informacji z dowództwem w Neapolu oraz dowództwami innych komponentów tworzących NRF. Byliśmy gotowi do wykonywania całego spektrum operacji specjalnych w każdym zakątku świata. Jest to naprawdę duże osiągnięcie, zwłaszcza że takie zdolności ma zaledwie siedem krajów sojuszu”, przyznaje gen. bryg. Wojciech Marchwica, dowódca komponentu wojsk specjalnych. Podczas natowskiego dyżuru w 2015 roku komponentem operacji specjalnych kierował gen. bryg. Jerzy Gut.

BOJOWY TEST

W 2007 roku prezydent, na wniosek ministra obrony narodowej, zdecydował o zaangażowaniu wojsk specjalnych w operację ISAF w Afganistanie. Pierwsi w rejon działań wojennych wyjechali operatorzy GROM-u, którzy na misji stworzyli zadaniowy zespół bojowy Task Force 49. „To była trudna i intensywna praca, ale przynosiła efekty”, wspominają żołnierze z TF-49. Dwa lata później polskie ministerstwo



MICHAŁ SZLAGA



ŻOŁNIERZE JWK SĄ WIZYTÓWKĄ POLSKIEJ ARMII. W AFGANISTANIE ZATRZYMYWALI NAJGROŹNIEJSZYCH TERRORYSTÓW, UWALNIALI ZAKŁADNIKÓW I SZKOLILI MIEJSCOWĄ POLICJĘ.

JEDNOSTKA WOJSKOWA KOMANDOSÓW

Komandos z Lublińca należą do najlepiej wyszkolonych żołnierzy. Ich umiejętności są doceniane nie tylko w Polsce, lecz także na całym świecie. Doskonałe wykształcenie, sprawność i skuteczność udowodnili na misjach na Bałkanach, w Iraku i Afganistanie. Pod Hindukuszem służyli od 2004 roku. Początkowo byli odpowiedzialni za ochronę dyplomatów oraz polskich i amerykańskich dowódców. Od 2010 roku tworzyli na misji pododdział sił specjalnych, tzw. Task Force 50 (TF-50). Działali na terenie dwóch prowincji: Ghazni i Szarana. Do ich głównych zadań należało prowadzenie rozpoznania specjalnego, podejmowanie akcji bezpośrednich, rozbijanie organizacji terrorystycznych, chwytanie najgroźniejszych przestępców oraz likwidowanie składów broni i materiałów wybuchowych. Pod Hindukuszem szkolili Afgańskie Tygrysy, czyli oddziały antyterrorystyczne policji (Provincial Response Company – PRC). JWK istnieje od 1993 roku (początkowo jako 1 Pułk Specjalny), ale jej historia sięga 1957 roku. Powstała wówczas kompania rozpoznawcza, a później samodzielny 26 Batalion Rozpoznawczy. Jednostka kontynuuje działanie wielu słynnych formacji, m.in. 1 Samodzielnej Kompanii „Commando”, batalionów Armii Krajowej „Zośka” i „Parasol”. Dwa lata temu przejęła także tradycje Batalionu AK „Miotła”. ■



ODPOWIADA ZA ŁĄCZNOŚĆ, LOGISTYKĘ I ZABEZPIECZENIE MEDYCZNE PODCZAS OPERACJI WOJSK SPECJALNYCH. ZAJMUJE SIĘ ZBIERANIEM ORAZ ANALIZĄ DANYCH ROZPOZNAWCZYCH I WYWIADOWCZYCH.

JEDNOSTKA WOJSKOWA NIL

Nil powstał w grudniu 2008 roku jako Jednostka Wsparcia Dowodzenia i Zabezpieczenia Wojsk Specjalnych. Jej pomysłodawcą był gen. broni Włodzimierz Potasiński. Od początku zakładano, że nowy oddział dostanie wyjątkowe zadania – miał odpowiadać za wsparcie komandosów w dziedzinie dowodzenia, zabezpieczenia logistycznego, rozpoznania i wywiadu. Żołnierze JWN sprawdzili się także na misjach w Afganistanie oraz Kosowie.

Strukturę Nila tworzą zespoły wsparcia informacyjnego, dowodzenia, zabezpieczenia logistycznego i grupa zabezpieczenia medycznego. Najtrudniejsze misje wykonują operatorzy z zespołu wsparcia informacyjnego, którzy zajmują się wywiadem i rozpoznaniem radioelektronicznym.

Patronem jednostki jest gen. August Emil Fieldorf „Nil”. ■



OPERATORZY PROWADZĄ SAMODZIELNE AKCJE, ALE PRZED W SZYBKIM WSPIERAJĄ KOMANDOSÓW GROM-U I FORMOZY.

JEDNOSTKA WOJSKOWA AGAT

Została sformowana 30 czerwca 2011 roku na bazie Oddziału Specjalnego Żandarmerii Wojskowej z Gliwic. To oddział o charakterze lekkiej piechoty, przeznaczony do prowadzenia akcji bezpośrednich, antyterrorystycznych, wsparcia militarnego i ochrony krytycznej infrastruktury. Żołnierze Agatu współpracują z komandosami z całego świata, m.in. Brytyjczykami i Amerykanami. Brali też udział w programie „Military Assistance”, podczas którego szkolili operatorów z Gruzji.

Agat to skrót od słów „Anty-Gestapo”. Taką nazwę przybrał Oddział Dywersji Bojowej Agat, który w czasie wojny zajmował się wykonywaniem wyroków Polskiego Państwa Podziemnego. To właśnie jego tradycję odziedziczyli komandosi z Gliwic. Ich patronem jest gen. dyw. Stefan Rowecki „Grot”, twórca i komendant główny Armii Krajowej. ■

obrony zdecydowało o konsolidacji wysiłków komandosów w Afganistanie i skupiło wszystkie ich siły w prowincji Ghazni. Do TF-49 dołączył Task Force 50, który utworzyli żołnierze Jednostki Wojskowej Komandosów z Lublińca. Do Afganistanu kierowano wówczas operatorów ze wszystkich oddziałów WS.

Pod Hindukuszem specjaliści wykonywali operacje bezpośrednie, w których eliminowali lub zatrzymywali najgroźniejszych talibskich przywódców. Likwidowali składy broni i amunicji oraz odnajdowali obozy szkoleniowe rebeliantów. Przeprowadzali także operacje najwyższego ryzyka, kiedy uwalniali zakładników z rąk terrorystów. W ostatnich latach angażowali się w szkolenie jednostek specjalnych policji oraz we wsparcie szkoleniowe sił specjalnych Chorwacji. Żołnierze JWK wspólnie z Chorwata-

mi służyli podczas jednej ze zmian kontyngentu w Afganistanie.

„Wojska specjalne to ważny element systemu bezpieczeństwa wewnętrznego i zewnętrznego naszego kraju. Działania polskich żołnierzy, szczególnie w Iraku i Afganistanie, zrobiły duże wrażenie na sojusznikach, a także na obserwatorach działań militarnych w tamtym regionie. Dzięki skuteczności i precyzji staliśmy się na świecie rozpoznawalną marką i zdobyliśmy uznanie wśród partnerów”, podkreśla gen. Marchwica, dowódca komponentu wojsk specjalnych.

Służący obecnie w Stanach Zjednoczonych płk Trzaska przyznaje, że sojusznicy doceniają zdolności wojskowe polskich specjalsów. Jak mówi, imponują im dokonania cichociemnych i innych żołnierzy Armii Krajowej, ale też



POWTARZAJĄ,
ŻE W ZAŁO-
DZE ŚMI-
GŁOWCA KAŻDY
DO KAŻDEGO MUSI
MIEĆ ZAUFANIE.

7 ESKADRA DZIAŁAŃ SPECJALNYCH

Jednostka, która powstała w 2011 roku, operacyjnie podlega wojskom specjalnym, szkoleniowo – powietrznym. W jej składzie znajduje się zespół lotniczy (dwa klucze), który jest przeznaczony do prowadzenia operacji bojowych z operatorami wojsk specjalnych, oraz zespół obsługi technicznej i sztab eskadry. Piloci eskadry to doświadczeni żołnierze, którzy wcześniej służyli m.in. w 25 Brygadzie Kawalerii Powietrznej. Priorytetem dla nich jest współpraca i myślenie o bezpieczeństwie innych.

spadkobierców tych chlubnych tradycji. „Należymy do ścisłej czołówki ekstraklasy i musimy zdawać sobie sprawę z tego, że wraz ze zwiększającą się naszą rolą rosną też oczekiwania wobec nas. Dlatego w swojej codziennej działalności musimy skupiać uwagę przede wszystkim na dalszym dynamicznym rozwoju WS”, dodaje oficer.

Kolejny przełom dla wojsk specjalnych nastąpił w 2014 roku. Po reformie struktur dowodzenia Dowództwo Wojsk Specjalnych przestało istnieć. GROM, JWK, Agat, Nil, Formoza przeszły w podporządkowanie dowódcy generalnego RSZ. Ostatecznie jednak w lipcu 2015 roku jednostki specjalne znów podlegały krakowskiemu dowództwu.



„ZAUFAJ MORZU, ONO CIĘ OCALI” –
TAK BRZMI MOTTO KOMANDOSÓW
Z FORMOZY.

JEDNOSTKA WOJSKOWA FORMOZA

Żołnierze Formozy często porównuje się do Navy SEALs – legendarnego oddziału amerykańskiej marynarki wojennej. Dzięki temu zyskali też przydomek „Polskie Foki”. Komandosi są przygotowani do działań zarówno na wodzie, jak i pod wodą. Zajmują się rozpoznaniem wybrzeży, obroną i atakowaniem infrastruktury portowej oraz okrętów, a także osłoną morskich szlaków żeglugowych.

Historia morskich komandosów sięga 1975 roku. Początkowo jako Wydział Płetwonurków, później Morska Jednostka Działń Specjalnych podlegali 3 Flotylli Okrętów. W 2008 roku jednostka została podporządkowana Dowództwu Wojsk Specjalnych.

W 2014 roku jej patronem został gen. broni Włodzimierz Potasiński, dowódca wojsk specjalnych, który zginął w Smoleńsku.

Jakie będą kolejne zmiany u specjalistów – czas pokaże. Zagadnienia dotyczące roli i miejsca w systemie dowodzenia oraz zadań dla wojsk specjalnych w ramach rozwoju sił zbrojnych w perspektywie „2030+” zostały uwzględnione w strategicznym przeglądzie obronnym, który w imieniu ministra obrony nadzorował Tomasz Szatkowski. „Zależy mi na konsolidacji struktur wojsk specjalnych, gdyż tylko wtedy będziemy mogli mówić o realizacji kolejnych wyzwań, które będą stawiane przed nami. Musimy osiągać nowe zdolności, by zawsze być o krok przed możliwymi zagrożeniami”, podsumowuje gen. Marchwica.



BOGUSŁAW POLITOWSKI

N I E Z A

TWIERDZA, ŻE IM MNIEJ SIĘ O NICH MÓWI I PISZE, TYM LEPIJ. TYM RAZEM
I OPOWIADAJĄ O WYJĄTKOWYCH OPERACJACH, W KTÓRYCH BRALI UDZIAŁ.

AFGANISTAN / 2012 ROK

FILIP / JEDNOSTKA WOJSKOWA
KOMANDOSÓW W LUBLIŃCU



OPERACJA W RUSHMORE



**CZĘSTO WSPÓŁPRACOWALIŚMY Z AFGAŃSKĄ
POLICJĄ. CZASAMI MUSIELIŚMY IM DŁUGO
TŁUMACZYĆ, ŻE MUSZĄ SIĘ MIERZYĆ
Z ZAGROŻENIEM SAMI, WYCHODZIĆ NA FRON-
TOWE POZYCJE I NIE OGLĄDAĆ SIĘ NA NAS.**

Wszystko wydarzyło się w miejscowości Szarana, w maleńkiej bazie – Forward Operating Base Rushmore. Znajdowała się ona na rogatkach miasta, tuż obok zabudowań, dlatego bez problemu można było usłyszeć rozmowy prowadzone na ulicach, tuż za murem. Polacy stacjonowali tam ze względu na niedalekie sąsiedztwo afgańskich wywiadu i policji, z którymi współpracowali. Połowa żołnierzy Task Force 50 była ulokowana w FOB Sharana, inni w oddalonej od niej o 10 km FOB Rushmore. Zmienialiśmy się średnio co dwa tygodnie.

Tego dnia akurat byłem w FOB Sharana. Około godziny 18.00, tuż przed kolacją, zobaczyliśmy na niebie gdzieś nad FOB Rushmore smugi od wystrzałów. Początkowo zupełnie się tym nie przejęliśmy, bo zdążyliśmy się przyzwyczaić, że Afgańczycy, gdy się z czegoś bardzo cieszą, strzelają w niebo z karabinów. Ot tak, bez powodu. Ta myśl na chwilę nas uspokoiła. Niestety wystrzałów było coraz więcej i więcej. W końcu otrzymaliśmy informację, że w okolicy FOB Rushmore zaczęła się ostra wymiana ognia. Dostaliśmy rozkaz, by w ciągu 15 minut przygotować się do wyjazdu. Mieliśmy jechać do drugiej bazy, by

w razie zagrożenia wesprzeć chłopaków. Do akcji ruszyły dwie sekcje szturmowe. Jechałem wtedy na wieży M-ATV jako gunner. Dobrze pamiętam, że im bliżej byliśmy FOB Rushmore, tym wyraźniej słyszałem świst rykoszetów i wybuchy granatów. Już na miejscu dowiedzieliśmy się, że terroryści zajęli budynek sąsiadujący z siedzibą afgańskiej policji. Okazało się, że napastnicy chcieli się dostać do znajdującej się tuż obok siedziby NDS-u (National Directorate of Security), czyli afgańskiego wywiadu.

Tamtejsi policjanci zdecydowali, że wejdą do budynku, by ująć rebeliantów. Nie chcieli jednak iść sami, tylko z nami, czyli osobami, które na co dzień ich szkolą i przygotowują do walki. Była godzina 23.00, policjanci zamierzali działać natychmiast, my jednak wstrzymywaliśmy szturm. Wciąż nie mieliśmy informacji, ilu terrorystów jest w budynku. Tłumaczyliśmy też, że tego typu akcje najlepiej prowadzić nad ranem, kiedy jest szarówka, bo wtedy przeciwnik jest bardziej zmęczony, a przez to mniej czujny.

Ostatecznie zgodzili się z nami, zyskaliśmy więc kilka godzin na dokładniejsze zaplanowanie szturmów i przygo-

W O D N I

OPERATORZY WOJSK SPECJALNYCH UCHYLAJĄ JEDNAK RĄBKA TAJEMNICY

townanie sprzętu. Ruszyliśmy o 5.00 rano. Idąc, kryliśmy się za samochodami M-ATV. Działaliśmy w sekcjach mieszanych, polsko-afgańskich. Każdy policjant miał za sobą swojego mentora. Gdy byliśmy już 50 m od budynku, ciszę przerwały dwa potężne wybuchy. Mój partner, Afgańczyk, bardzo szybko ustawił się w dobrej – najbardziej bezpiecznej dla siebie – pozycji. Ja natomiast zostałem sam, wystawiony na atak przeciwnika. Przyznam, że wtedy się bałem. Poczułem nawet dziwny metaliczny smak w ustach i miałem tysiąc myśli na sekundę. Wysłałem swojego partnera do przodu, w stronę wejścia do budynku, ale on odmówił. Zapał się i nie chciał iść dalej. Dodam, że na przykładzie tej właśnie sytuacji szkoliliśmy później Afgańczyków. Uczyliśmy ich, że w końcu nadchodzi taki moment w szkoleniu, że to oni muszą być tzw. jedynką w parze, czyli osobą, która idzie pierwsza.

Nagle na balkonie budynku, do którego mieliśmy wejść, pojawił się zakrwawiony mężczyzna. Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, czy jest to zamachowiec, czy porwana osoba. Dopiero później okazało się, że to jeden z terrorystów, który ściągnął pas szahida i się poddał. Weszliśmy do środka. Widok nie był przyjemny: wszędzie leżały porzywane ciała zamachowców. W jednym z pomieszczeń znaleźliśmy skrajnie wyczerpanego Afgańczyka, który również zdjął kamizelkę samobójcy i się poddał. Zatrzymanymi zajęli się policjanci, a my dokładnie sprawdziliśmy teren. Jak się okazało, w budynku było sześciu terrorystów, ale na szczęście nie mieli żadnego zakładnika.

Po akcji wracaliśmy do bazy brudni, spoceni, umazani krwią. Był późny ranek, słońce już wzeszło. I nagle zaczął padać deszcz. Śmiało się, że ulewa zmywa z nas kurz po akcji, jak na jakimś filmie. Tylko że to nie był film... ■

AFGANISTAN / 2013 ROK

PAPA / JEDNOSTKA WOJSKOWA
KOMANDOSÓW W LUBLIŃCU



ŚMIERĆ MIRONA



W AFGANISTANIE BYLIŚMY NIEZWYKLE SKUTECZNI. TASK FORCE 50 DOPROWADZIŁ DO ZLOKALIZOWANIA LICZNYCH SKŁADÓW AMUNICJI I UJĘCIA WIELU TALIBSKICH PRZYWÓDCÓW.

Dostaliśmy informację, że na terenie compoundu (typowe dla Afganistanu zabudowania otoczone wysokim mu-

rem) o wielkości boiska piłkarskiego znajduje się skład amunicji, a zgromadzone tam ładunki wybuchowe mają być wykorzystane do ataku na

bazę Ghazni. Na podstawie takich danych wywiadowczych ruszyliśmy do akcji. Jak zawsze przed operacją, przeprowadziliśmy staranne planowanie, →

ustalaliśmy sposób transportu, plan działania w terenie, ocenialiśmy też zagrożenie.

Przed północą na pokład polskiego śmigłowca Mi-17 wsiadli polscy żołnierze i afgańscy policjanci. Po krótkim przelocie wylądowaliśmy około 300 m od celu. Doskonale pamiętam każdą minutę tej akcji. Niespełna kwadrans po północy na teren compoundu weszły dwie sekcje. Chłopaki sprawdzały każde pomieszczenie. Nigdzie nie było żywego ducha, ale w jednym z narożników znajdował się skład materiałów wybuchowych. Było to jakieś 700 kg ładunku. „Mamy stuff [towar]. Obiekt czysty”, to były ostatnie słowa chor. Mirona Łuckiego, które usłyszałem. Byłem wtedy dowódcą tej operacji, a on dowodził sekcją, która sprawdzała obiekt. Eksplozja nastąpiła

24 minuty po północy. Cały compound wyleciał w powietrze. Byłem kilkadziesiąt metrów od nich i bezskutecznie próbowałem nawiązać łączność radiową. Po drugiej stronie radia ciągle była cisza. W końcu usłyszałem głos jednego z operatorów: „Mirek był w epicentrum wybuchu!”. To był wielki cios, ale wtedy nie było czasu, by rozpaczć. Wezwałem śmigłowca MEDEVAC, bo należało jak najszybciej udzielić pomocy wszystkim rannym i poszkodowanym. W miejscu wybuchu ziemia była tak poruszona, że zapadaliśmy się w niej po uda, jakbyśmy chodzili po bagnach. Szukaliśmy Mirona, bo nie dopuszczałem do siebie myśli, że mógł zginąć. Gdy go znaleźliśmy, był przysypany metrową warstwą ziemi, spod której wystawała tylko jego noga. Reanimowaliśmy go

tak długo, aż przyleciały śmigłowce i zabrały go na pokład. Niestety, nie mogliśmy mu już pomóc.

Tej nocy mieliśmy wielu rannych. Najbardziej ucierpiał „Robo”, jeden z operatorów. Życie uratował mu afgański policjant, który profesjonalnie założył rannemu opaskę uciskową na udo. Chłopak potem przeszedł wiele operacji, ale dziś znowu służy. Poszkodowani zostali też Afgańczycy. Najmocniej Zahir, ich dowódca, który w eksplozji stracił oko.

Dziś wiemy, że ta zasadzka była przygotowana dużo wcześniej. Nic nie zdradzało obecności ładunków. Ziemia, którą zostały przykryte, była niewzruszona, co świadczyło o tym, że pułapka czekała na żołnierzy już dłuższy czas. Jako dowódca tej operacji miałem do siebie pretensje, że tego

IRAK / 2004 ROK

ROCH / JEDNOSTKA
WOJSKOWA GROM



GRANATY POD PODUSZKA



KIEDY Z HUKIEM WCHODZISZ DO BUDYNKU, W KTÓRYM UKRYWA SIĘ TERRORYSTA, MASZ PIĘĆ SEKUND, ŻEBY OPANOWAĆ POMIESZCZENIE BEZ JEDNEGO STRZAŁU. JEŚLI TEGO NIE ZROBISZ, MUSISZ BYĆ GOTOWY DO WALKI.

Dostaliśmy od służb wywiadowczych pakiet danych o człowieku, którego mieliśmy zatrzymać. Wtedy rozpoczęło się planowanie operacji, a potem sprawdzanie sprzętu. W końcu zapakowaliśmy się na samochody – nieopancerzone hummery bez drzwi, bo takimi jeździliśmy wówczas w Iraku. No i czekała nas najtrudniejsza część zadania – przejazd w rejon operacji.

Dlaczego najtrudniejsza? W trasie mogą na nas czekać różne „niespodzianki”. Kiedyś żołnierze zobaczyli przy drodze nietypowo ustawione doniczki na kwiaty. W sekundę kierowca pierwszego wozu zdecydował się na zmianę trasy i skręcił o 90 stopni. Niby nic się nie stało. Skąd zatem taka nerwowa reakcja? Doniczki ustawione w taki sposób nie zapowiadały niczego dobrego. Ukrywa-

nie przewidziałem. Zastanawiałem się wielokrotnie, czy można było coś zrobić, by zapobiec tragedii. Gdy emocje opadły, zrozumiałem, że naszych działań nie dało się lepiej zaplanować. Mironowi po prostu zabrakło żołnierskiego szczęścia.

To bez wątpienia była najtragicznieszka nasza misja. Nie można jednak zapomnieć, że w Afganistanie byliśmy niezwykle skuteczni. Task Force 50 doprowadził do zlokalizowania licznych składów amunicji i ujęcia wielu talibskich przywódców. Tak było też podczas operacji „Garden”. Według informacji służb, na terenie jednego z kompleksów ogrodowych regularnie spotykali się rebelianci odpowiedzialni za zamachy na siły koalicji, terroryzowanie miejscowej ludności i wymuszanie

haraczy. Przez jakiś czas prowadziliśmy wnikliwą obserwację. Compound, na którym dochodziło do spotkań, znajdował się około 2 km w linii prostej od bazy Ghazni. Naszym celem było tak zorganizować uderzenie, by wszystkich terrorystów ująć jednocześnie. Wywiad ustalił, że będzie ku temu sposobność podczas ramadanu, gdy talibowie spotykają się w ogrodzie na rytualne kąpiele w basenie. Przez kolejne dwa tygodnie prowadziliśmy rozpoznanie, m.in. za pomocą bezzałogowców, które robiły zdjęcia obiektu.

W końcu przyszedł dzień operacji. Najtrudniejsze było to, by w sposób niezauważony dotrzeć do ogrodu. Nie było to proste, bo na dachu jednego z budynków w kompleksie terroryści umieścili chłopca, który informował

ich o wszystkich podejrzanych ruchach wokół bazy. Jak tylko wyjeżdżały wojskowe pojazdy czy startowały śmigłowce, on od razu dawał im cynk. Potrzebowaliśmy więc planu, który pozwoli nam dostać się tam niepostrzeżenie. Zdecydowaliśmy, że najlepiej będzie wykorzystać cywilne pojazdy na miejscowych numerach rejestracyjnych. Żeby wszystko wyglądało jak najbardziej realnie, pozakładaliśmy na dachy samochodów różne pakunki, a na sobie mieliśmy kamuflaż, który zakrył mundury.

Operacja zaczęła się w samo południe, a my zaskoczyliśmy rebeliantów, gdy weszliśmy do ogrodu z dwóch stron. Nie mieli możliwości ucieczki. Chwycili za broń i doszło do wymiany ognia. Czterech z nich zginęło, resztę aresztowali afgańscy policjanci. ■

no w nich ładunki wybuchowe. Tym razem po drodze nie się nie zdarzyło. Była druga w nocy, a my chcieliśmy działać naprawdę po cichu. Samochody zostawiliśmy odpowiednio daleko, sprzęt wzięliśmy na plecy i ruszyliśmy w stronę budynku, w którym ukrywał się nasz cel.

Dom miał dwa piętra i dwa wejścia: jedno było na parterze, drugie schodami prowadziło prosto na górę. Postanowiliśmy skorzystać z obu. Nie była to oczywista decyzja, ale jak się okazało, uratowała nam skórę. Początek szturmego wygląda tak: żołnierze ustawiają się przy drzwiach. Breacher (z ang. breach, czyli wyłom, otwór wyłamany lub wybity w murze czy ścianie) zakłada na nich ładunek i następuje detonacja. W tej operacji oba wejścia wysadzaliśmy jednocześnie. Na piętro weszła jedna sekcja, na dół – dwie kolejne. „Czyściliśmy” tam wszystkie pomieszczenia. Nagle kolega zauważył, że drzwi do jednego z pokoi się uchylają. Szybko tam weszliśmy. W środku był mężczyzna z żoną i kilkumiesięcznym dzieckiem. Został zatrzymany, gdy próbował podejść do szafki, w której schował kilka granatów połączonych zawleczkami. W kolejnym pomieszczeniu znajdowała się kilkuletnia dziewczynka, która pod poduszką miała taki sam komplet granatów. Wkurzyliśmy się, że ktoś w ten sposób wykorzystuje dzieci...

W tym samym czasie chłopaki na piętrze znalazły mężczyznę, który zamarł w bezruchu i po prostu siedział na materacu. Został z nim jeden z kolegów, a reszta „czyściła” kolejne pokoje. Okazało się, że na piętrze było jeszcze dwóch ludzi. Jeden z nich uciekł przez okratowane, jak nam się wydawało, okno (kraty były jedynie atrapą, czego nie mogliśmy wcześniej ustalić), a drugiego zatrzymaliśmy. Nagle ten, który siedział na materacu, przypomniał sobie, że obok łóżka ma kałacha. Nie zdążył jednak po niego sięgnąć...

Kiedy opanowaliśmy sytuację, zaczęliśmy przeszukiwać dom. To była twierdza. Wszędzie stały meble, w których umieszczono granaty połączone zawleczkami. Znaleźliśmy też cenne dokumenty i broń. Okazało się, że przebywali tam najemnicy z Jordanii i Syrii, którzy odpowiadali za zamach na jednego z miejscowych szefów policji oraz zabicie małżeństwa z organizacji humanitarnej, a także chrześcijańskiej rodziny. Terroryści na wszystko mieli dokumenty i filmy, na których było widać, jak mordują ludzi.

W czasie omawiania operacji w bazie stwierdziliśmy, że uratowała nas elastyczność. Nie daliśmy się zwieść rutynie. Gdybyśmy nie zdecydowali się wejść na piętro, cała akcja pewnie zakończyłaby się zupełnie inaczej. ■

AFGANISTAN / 2010 ROK

KRZYSZTOF / JEDNOSTKA
WOJSKOWA GROM

PUŁAPKA TALIBÓW



W AFGANISTANIE TALIBOWIE POLOWALI NA ŻOŁNIERZY WOJSK SPECJALNYCH. BYLIŚMY DLA NICH JAK TROFEA, KTÓRYMI MOŻNA SIĘ POCHWALIĆ. TAK MIAŁO BYĆ I TYM RAZEM.

Na misji w Ghazni w 2010 roku odpowiadaliśmy m.in. za odbijanie zakładników z rąk talibów. Kiedy dowiedzieliśmy się, że porwali oni kolejnych Afgańczyków, zaczęliśmy planować operację. Według informacji służb wywiadowczych, talibowie przetrzymywali zakładników w jednym z tzw. compoundów, czyli typowym dla Afganistanu zabudowniu ogrodzonym zwykle wysokim murem. Weszliśmy na wytypowany teren, ale okazało się, że nikogo tam nie ma. Cóż, zdarza się, że operacja kończy się fiaskiem. Nie po raz pierwszy trafiliśmy na tzw. suchą dziurę, czyli miejsce, gdzie niby ktoś miał być, a go nie ma. Tyle że tydzień po tej akcji dostaliśmy kolejną informację. Tym razem przetrzymywani mieli się znajdować w kontenerze w prowincji Ghazni.

We wskazanym miejscu faktycznie stał zamknięty metalowy kontener. Zastanawialiśmy się, czy nie wybuchnie, kiedy go otworzymy – mógł być przecież pułapką. Użyliśmy wszelkich możliwych metod, żeby to sprawdzić i choć ciągle istniało ryzyko, trzeba było je podjąć.

Otworzyliśmy kontener i... nie było ani wybuchu, ani zakładników. Skończyliśmy więc swoje zadania, wykonaliśmy dokumentację zdjęciową i zgromadziliśmy niezbędne dane do analizy. Wróciliśmy do bazy i dalej robiliśmy swoje.

Kilka dni później, 25 maja, dostaliśmy nową informację – porwani Afgańczycy są przetrzymywani w jednym z compoundów na terenie prowincji Ghazni. Mieliśmy świadomość, że im dłużej zakładnicy są w rękach terrorystów, tym mniejsze są szanse na ich ocalenie. Dlatego zdecydowaliśmy, że operację przeprowadzimy jak najszybciej, za dnia, choć to nie jest dla nas najlepsza pora do działania.

Byliśmy pewni, że talibowie zorientowali się, że ruszamy do akcji. Cały czas obserwowali naszą bazę. Wiedzieli, kto i kiedy ją opuszcza. Mimo to natychmiast wsiedliśmy na pokład śmigłowców polskiej Samodzielnej Grupy Powietrznej. Lecieliśmy kilkadziesiąt minut i wylądowaliśmy około 200 m od miejsca, gdzie mieli przebywać zakładnicy. Dobiegliśmy do compoundu, sforsowaliśmy bramę, weszliśmy do środka i...

okazało się, że to kolejna „sucha dziura”. Żyła tam zwyczajna rodzina, która była zdziwiona naszą „wizytą”.

Wtedy zapaliło nam się w głowach czerwone światło. Trzeci raz przystąpiliśmy do ratowania ludzi, których nigdzie nie ma. Coś jest nie tak. W tym momencie dostaliśmy informację, że zakładnicy są w compoundzie oddalonym o 1500 m od miejsca, w którym się znajdowaliśmy.

Po szybkim planowaniu wsiedliśmy do śmigłowców i ruszyliśmy. Moja sekcja była tym razem w ubezpieczeniu, rozstawiliśmy się przy murze, który otaczał posesję. Ekipa szturmowców weszła do środka. O tym, co tam zastali, dowiedziałem się dopiero na pokładzie śmigłowca, gdy wracaliśmy do bazy. Na podwórzu był stary motocykl oraz namiot. Gdy zerwali jego poły, zobaczyli jakieś kable i świeżo przekopaną ziemię.

Chłopaki natychmiast zdali sobie sprawę, że to zasadzka. W takiej sytuacji pada zawsze komenda – do natychmiastowej ewakuacji z zagrożonego terenu. Wszystko trwało zaledwie kilkanaście sekund. I nagle wybuch! Siła uderzeniowa była tak

duża, że prawie mnie przewróciło, a stałem daleko od epicentrum eksplozji, tuż za murem posesji. Wszystkim żołnierzom udało się uciec, chociaż mieliśmy rannych. Śmigłowce były ciągle w powietrzu, zataczały koła wokół wioski. My przygotowaliśmy się do wymiany ognia, ale nie zostaliśmy ostrzelani. Dowódca operacji podjął decyzję

o wycofaniu. Kilka dni później w talibskiej prasie pojawiła się informacja, że został zniszczony 40-osobowy oddział sił specjalnych. Było jasne, że zostaliśmy wciągnięci w zasadzkę. Dla nas to była tylko jedna w wielu operacji, które wykonywaliśmy w tamtym czasie. Kolejny raz się przekonaliśmy, że dzięki odpowiednim procedurom dobrze

wyszkolony i zgrany zespół może pokonać nawet najlepiej przygotowaną pułapkę. Każda operacja jest inna. Są takie, w których udaje nam się uratować własne życie, a w innych – życie zakładników. Tak było kilka tygodni później w przypadku dwóch afgańskich policjantów, których odbiliśmy z rąk talibów tuż przed egzekucją. ■

AFGANISTAN / 2008 ROK

WALLACE / JEDNOSTKA
WOJSKOWA FORMOZA



POWTÓRNE URODZINY



DATA 1 LISTOPADA DLA NAS WSZYSTKICH JADĄCYCH „NA ROBOTE” JEST JAK DRUGIE URODZINY. MINĘŁO PRAWIE DZIESIĘĆ LAT, A MY DO DZIŚ W DZIEŃ WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH WYSYŁAMY SOBIE URODZINOWE ŻYCZENIA.

Operatorzy z Formozy w 2008 roku prowadzili w Afganistanie operacje specjalne w składzie Task Force 49, którym dowodził nieżyjący już płk Sławomir „Czarny” Berdychowski. Trzonem TF-49 była Jednostka Wojskowa GROM, ale byli tam też komandosi z Lublińca, no i my. Tworzyliśmy na poziomie sekcji swoją grupę specjalną TG-493 Bravo, którą miałem zaszczyt dowodzić. Wykonywaliśmy zadania z rozpoznania specjalnego, czyli głównie zbieraliśmy dane o rozmieszczeniu i siłach przeciwnika oraz występujących zagrożeniach. Te informacje były wykorzystywane do wskazywania potencjalnych celów operacji. Poza tym TF-49 prowadził akcje bezpośrednie. Operowaliśmy w Kandaharze, nazywanym wówczas siedliskiem zła.

Pewnego dnia dostaliśmy informację, że poszukiwani przez nas terroryści przebywają w jednej z wiosek i tam

produkują materiały wybuchowe używane do ataków na wojska koalicji. Mieliśmy przeszukać obiekty i potwierdzić produkcję improwizowanych urządzeń wybuchowych – IED oraz zatrzymać osoby za to odpowiedzialne. Wsparcie naszych działań zabezpieczali rozmieszczeni na posterunkach obserwacyjnych operatorzy oraz snajperzy z GROM-u i JWK. Do operacji ruszyliśmy w nocy z 30 na 31 października. Wioska, do której zmierzaliśmy, była oddalona o jakieś 100 km, wiedzieliśmy zatem, że czeka nas długa podróż. Hummerami nie jeździło się szybko, a my poruszaliśmy się bezdrożami albo korytami rzek. Mieliśmy świadomość, że od momentu wyjazdu z bazy jesteśmy obserwowani przez talibów albo osoby z nimi współpracujące. Żeby utrudnić im zadanie, zmienialiśmy kierunek jazdy oraz charakter działania.

W końcu dojechaliśmy na miejsce. Był już 1 listopada. Na początku przeprowadziliśmy izolację obiektu, czyli ➔

zablokowaliśmy wszystkie możliwe wjazdy, wyjazdy, wyjścia i drogi ucieczki. Przeszukania wioski nie przyniosły jednak żadnych rezultatów. Na terenie nie było ani poszukiwanych talibów, ani broni czy innych środków używanych do produkcji materiałów wybuchowych. Ustaliliśmy, że rebelianci obserwowali nasze działania, więc uciekli do innej wioski. Ruszyliśmy dalej. Wiedzieliśmy, że na drodze na pewno są przygotowane ładunki wybuchowe.

Zakładanie „ajdików” nie było trudne. Talibowie potrzebowali zaledwie około 15 minut, by przy drodze wkopać minę. W celu zminimalizowania ryzyka natrafienia na ładunki, zdecydowaliśmy, że pojedziemy po wysuszonych zaoranych polach. To była droga przez mękę, bo

ciężkie pojazdy ciągle się zapadały. Zmniejszała nam się mobilność, słabła manewrowość, a czas dojazdu do celu się wydłużał. To zaś znaczyło jedno: stajemy się coraz łatwiejszym celem dla przeciwnika. Gdy dotarliśmy w końcu do kolejnej wioski, od razu przeprowadziliśmy izolację obiektu i rozpoczęliśmy tzw. czesanie.

W tym samym czasie dostaliśmy wiadomość, że z wioski przed naszym przyjazdem ktoś się ewakuował, a na wzgórzach dookoła obiektu zobaczyliśmy obserwujących nas przez lornetki mężczyzn. Chłopaki zatrzymały jedną osobę mającą przy sobie karabin maszynowy z taśmą amunicji oraz materiałami wybuchowymi. Tego jednak, po co przyjechaliśmy, nie było. W pewnym momencie nasze ubezpieczenie snajperskie się wycofało (skończył

IRAK / 2016–2017 ROK

JACEK / JEDNOSTKA
WOJSKOWA AGAT



SPECINSTRUKTORZY



**SZKOLILIŚMY IRACKICH SPECJAL-
SÓW. MAM NADZIEJĘ, ŻE NAUCZY-
ŁEM ICH CZEGOŚ, CO MOŻE URA-
TOWAĆ IM ŻYCIE.**

Najmłodszą jednostką polskich wojsk specjalnych jest Agat. To jednak wcale nie oznacza, że plasujemy się na szarym końcu. Odróżniamy się jednak od innych, chociażby dlatego, że jesteśmy uzbrojeni w ciężki sprzęt. Nasze główne zadanie to wsparcie ognio-
we pozostałych jednostek specjalnych. Operatorzy z zespołów bojowych Agatu niemal cały rok szkolą

się na poligonach w Polsce i Europie. Trenujemy nie tylko z najlepszymi pododdziałami wojsk lądowych i powietrznych, lecz także z funkcjonariuszami Straży Granicznej i policji. Szkolimy się wspólnie ze specjalsami z topowych jednostek na świecie, a codzienne ćwiczenia odbywamy najczęściej u boku operatorów GROM-u czy Formozy. Przychodzą też takie momenty, kiedy to my – żołnierze jed-

nostki Agat, możemy wejść w rolę instruktorów. Takim wyzwaniem dla nas jest teraz służba w Iraku na misji doradczo-szkoleniowej. Właśnie wróciłem ze zmiany, na której wspólnie z żołnierzami GROM-u szkoliliśmy iracką jednostkę specjalną (Iraqi Counter-Terrorist Forces – ICTF) oraz tamtejszych policjantów.

W jednostce Agat służę od pięciu lat. We wcześniej byłem w Oddzia-

się im czas na wykonanie zadania) i zostaliśmy sami. Nam też kończył się czas na przeprowadzenie operacji, dlatego musieliśmy się zwinąć.

Dostaliśmy informację, że na drodze przygotowano dla nas niespodzianki w postaci dwóch „ajdików”. Jechaliśmy ostrożnie, ale nagle doszło do eksplozji. W powietrze wyleciał jadący za mną wóz afgańskiej policji. Najprawdopodobniej sprawcą był ładunek kontaktowy, który aktywowały wcześniej przejeżdżające humpery. Przeprowadziliśmy szybką ocenę sytuacji. W skutek wybuchu zginęło dwóch afgańskich policjantów, a pięciu zostało rannych, w tym jeden był w stanie krytycznym. Połowa pojazdu została kompletnie zniszczona, a pozostała część przypominała stertę złomu.

Zabezpieczyliśmy teren, udzieliliśmy poszkodowanym pomocy i wezwaliśmy MEDEVAC. Gdy ranni już zostali podebrani, ruszyliśmy dalej. Pamiętaliśmy, że na drodze ma być jeszcze drugi „ajdik”. Jeden z gunnerów w pewnym momencie wypatrzył, że ktoś się skradła do drogi. Mężczyzna chciał zdetonować podłożony wcześniej ładunek. Nie udało mu się to jednak, bo odstraszyliśmy go granatami hukowymi i strzałami ostrzegawczymi. Do bazy wróciliśmy już bez problemów, ale ten 1 listopada na długo został w naszej pamięci. Cudem uniknęliśmy śmierci. ■

Pamięci kpt. Jacka Motyczki,
oficera Formozy i GROM-u

le Specjalnym Żandarmerii Wojskowej. Mam na swoim koncie misje w Czadzie i Afganistanie, a teraz również w Iraku. To była moja pierwsza misja jako żołnierza Agatu i pierwsza, podczas której mogłem przekazać innym swoje umiejętności oraz doświadczenie zawodowe. Przez pół roku stacjonowaliśmy w międzynarodowej bazie w Bagdadzie. Po kilka godzin dziennie przez sześć dni w tygodniu mieliśmy zajęcia z żołnierzami. Żartujemy czasami, że w Iraku plan szkolenia układała pogoda. Było tam cieplej niż w Afryce, a myślałem, że to niemożliwe! W lecie, gdy temperatura sięgała 50°C, musieliśmy tak organizować treningi, by ominąć porę największego upału.

Szkolenie prowadziliśmy z żołnierzami Złotej Dywizji, czyli Iraqi Counter-Terrorist Forces (ICTF), oraz miejscowymi policjantami. Irakijczycy służący w ICTF w większości nie mieli doświadczenia bojowego, choć muszę przyznać, że część z nich sprawdziła się już podczas walki

z tzw. Państwem Islamskim w Syrii. Jednak ze względu na to, że większość jednostki stanowili młodzi żołnierze, naukę musieliśmy zacząć od podstaw. Program dostosowaliśmy do ich umiejętności i oczekiwań. Jednym z etapów szkolenia był np. kurs snajperski. Prowadziliśmy go wspólnie z instruktorami z Włoch.

Podczas treningów używaliśmy broni Irakijczyków, czyli karabinów wyborowych SWD. Jacy byli nasi podopieczni? Dzieliło nas wiele barier. Różnie było u nich z angielskim, dlatego czasami nie mogliśmy się porozumieć. Poza tym, żeby do nich dotrzeć, potrzeba było czegoś więcej niż znajomości języka, należało zdobyć ich szacunek, zaimponować swoim wyszkoleniem. Pewnego dnia zabrałem Irakijczyków na strzelnicę. Chciałem zbudować swój autorytet, więc zaprezentowałem własne umiejętności, przekraczając limity czasowe i wyśrubowane normy dotyczące celności. Kiedy zobaczyli, co potrafią polscy żołnierze, od razu zaczęli nas słuchać. Błyskawicznie

przyswajali wiedzę z zasad celowania i trzymania broni. Muszę przyznać, że dostrzegłem wśród nich kilka talentów, bardzo zdolnych ludzi, których nie bałbym się wziąć ze sobą na operację. Bardzo ważne było to, by cały czas byli zmotywowani i zaangażowani w zajęcia. Codziennie robiliśmy im sprawdziany. Zasady były proste: nie ćwiczysz, nie słuchasz, nie starasz się, spóźniasz albo nie przychodzisz – odpadasz z kursu. Nie mogliśmy sobie pozwolić na to, żeby ktokolwiek odstawał od reszty. I bez wyrzutów sumienia powiem, że kilku osobom podziękowaliśmy.

Szkoliliśmy też jednostkę policyjną, wyjątkowo dobrą, jedyną, z którą chcieli współpracować żołnierze sił specjalnych Iraku. To właśnie ci policjanci brali udział w odbijaniu Al-Falludży i szkolili się przed wyjazdem na front do Syrii. Czasami, kiedy oglądałem relacje telewizyjne z Syrii, myślę o nich i zastanawiam się, jak sobie radzą w walce. Mam nadzieję, że nauczyłem ich czegoś, co może uratować im życie. ■

AFGANISTAN / 2011 ROK**ROLNIK** / 7 ESKADRA DZIAŁAŃ
SPECJALNYCH

OSIEM KUL



NA WSPÓLNYCH OPERACJACH CZULIŚMY ODPOWIEDZIALNOŚĆ ZA CHŁOPAKÓW, KTÓRZY ROBIŁI SVOJĄ ROBOTĘ NA ZIEMI. NAWET GDY DO NAS STRZELANO, CZUWALIŚMY NAD NIMI TAK DŁUGO, JAK TYLKO MOGLIŚMY.

Operacja, o której opowiem, odbyła się mniej więcej na półmetku IX zmiany. Załogi Mi-17 tworzyły w Afganistanie Samodzielną Grupę Powietrzno-Szturmową. Lataliśmy z żołnierzami

Task Force 50 i Task Force 49. Przewoziliśmy ich na miejsce i zajmowaliśmy się ich eskortowaniem, jeśli była tak potrzeba. Tym razem mieliśmy lecieć z operatorami GROM-u i afgańskimi policjantami – antyterrorystami

AFGANISTAN / 2013 ROK**KILLER** / JEDNOSTKA
WOJSKOWA NIL

DRONEM PO INFORMACJE



W AFGANISTANIE WYKONYWALIŚMY ROZPOZNANIE ZA POMOCĄ BEZZAŁOGOWYCH ŚRODKÓW ROZPOZNAWCZYCH SCAN EAGLE I FLY EYE.

Byłem dowódcą sekcji rozpoznania obrazowego (Imagery Intelligence – IMINT), a z naszej pracy

korzystały nie tylko polskie wojska specjalne i lądowe, lecz także siły sojusznice. Wyglądało to tak, że dostawaliśmy konkretne zadanie:

trzeba sprawdzić teren, zrobić zdjęcia, ocenić z powietrza, czy w rejonie, gdzie będą działać nasi operatorzy, jest bezpiecznie. Bezzało-

z bazy w Ghazni, do prowincji Gardez, gdzie według informacji służb miał się znajdować magazyn z bronią i materiałami wybuchowymi. Nie więcej niż 15 minut lotu. Wiadomość dostaliśmy wcześniej, był więc czas na zaplanowanie wszystkiego. Zwykle na operacje wysyłało się pary śmigłowców, i tak też było tym razem. Zdecydowaliśmy, że polecą dwie załogi Mi-17, żeby transportować operatorów, a jednocześnie maszyny miały się wzajemnie eskortować.

Wyruszyliśmy po południu. Pierwszą grupę operatorów wysadziliśmy niedaleko miejscowości, w której miał się znajdować magazyn. Gdy żołnierze wysiedli ze śmigłowca, wystartowaliśmy i zajęliśmy się eskortowaniem drugiej maszyny, z której miała desantować się kolejna grupa. Tak jak w każdej tego typu operacji, mieliśmy na pokładzie snajpera z wojsk specjalnych, który siedział w wejściu dla pasażerów. Lecieliśmy nisko, tak aby mógł bez problemu obserwować teren oraz, w razie potrzeby, celnie strzelić.

Wszystko odbywało się bez niespodzianek, gdy nagle usłyszeliśmy huk i poczuliśmy zapach prochu. Dostaliśmy! Strzelają do nas! Jedna z kul uderzyła w śmigłowiec dosłownie kilka centymetrów nad wejściem, w którym siedział snajper. Gdyby trafiła 20 cm niżej, byłoby

źle. Szybko sprawdziliśmy parametry lotu, czy maszyna nie dostała w jakiś wrażliwy element. W tym samym czasie z drugiego Mi-17 desantowali się operatorzy. Terroryści zaczęli strzelać również do nich. Ogień prowadzono z wioski. Snajper, który był z nami, nie mógł użyć broni, żeby nie doprowadzić do strat w ludności cywilnej. Podjęliśmy decyzję: oba śmigłowce przechodzą do eskorty dwóch grup operatorów, którzy są już na ziemi. Zawsze lepiej, żeby strzelano do nas niż do szturmaków. Lataliśmy nad nimi i odwracaliśmy uwagę rebeliantów, aż do momentu, kiedy żołnierze znaleźli się w bezpiecznym, jak na tamte warunki, miejscu. Non stop sprawdzaliśmy parametry lotu, wszystko było w porządku, ale wiedzieliśmy, że technik musi skontrolować śmigłowiec. Daliśmy więc znać, że wracamy do bazy. W drodze powrotnej minęliśmy się z ekipą, która leciała, by eskortować albo podbrać chłopaków z miejsca ostrzału.

Bilans operacji? Nikomu nic się nie stało, ale Mi-17 miał osiem przestrzeleń. To jest dużo, choć zdarzało się około 20 dziur. Po takiej akcji zwykle odbywa się jej omówienie, żeby stwierdzić co poszło nie tak, co można było zrobić lepiej. Miło jest usłyszeć słowa uznania, że dobrze wykonaliśmy zadanie, dla nas jednak najważniejsze jest, że wszyscy wrócili do bazy cali. ■

gowce wysyłał w dzień i w nocy. Nie jest to takie proste, jakby się mogło wydawać. Po pierwsze, musieliśmy przestrzegać przepisów lotniczych, które obowiązywały w Afganistanie, żeby nie doszło do kolizji w powietrzu z samolotem lub śmigłowcem. Po drugie, nie bez znaczenia były panujące tam warunki klimatyczne. Przede wszystkim byliśmy wysoko w górach, gdzie jest specyficzna aura, niskie ciśnienie, inna gęstość powietrza i niejednokrotnie ogromne zapylenie. To wszystko ma wpływ na możliwości techniczne bezzałogowców.

Rozpoznanie z powietrza robiliśmy niemal codziennie. Niewiele było takich dni, w których nasze urządzenia miałyby wolne. Często prowadziliśmy obserwację, zanim

żołnierze wyruszyli z bazy na patrol. Zdarzyło się na przykład, że nasze scan eagle zarejestrowały, jak terroryści podkładają przy drodze ładunki wybuchowe albo rozdają broń miejscowym. Było więc niemal pewne, że coś się szykuje, że budowana jest zasadzka na patrol, który miał tamtędy jechać. Dane obrazowe od razu były analizowane w Centrum Operacji Taktycznych (Tactical Operation Center – TOC) przez kadrę dowódczą bazy.

Ręce pełne pracy mieliśmy też w sierpniu 2013 roku, kiedy została porwana afgańska parlamentarzystka Fariba Kakar, która razem z dziećmi jechała taksówką autostradą Highway 1. GROM został postawiony na nogi, my też. Jeszcze nie wiedzieliśmy, że czeka nas

29 dni niezwykle wyczerpującej pracy. Przez ten czas polowaliśmy na porywaczy niemal codziennie. Byliśmy w ciągłej gotowości, tak jak żołnierze GROM-u. Kiedy tylko dostawaliśmy informację, że kobieta jest przetrzymywana w konkretnym miejscu, natychmiast wysyłał tam nasze bezzałogowce. W tę operację było zaangażowanych wielu żołnierzy Jednostki Wojskowej Nil.

Do akcji włączyli się specjaliści od rozpoznania nie tylko obrazowego, lecz także i dźwiękowego oraz osobowego. Rozwiązanie tej sprawy nastąpiło, gdy w Afganistanie pojawiła się kolejna zmiana żołnierzy. Na szczęście finał był pozytywny – parlamentarzystka po negocjacjach została uwolniona. ■

MAGDALENA MIERNICKA

MARSZ DO FORMOZY

Sześćdziesiąt osób stanęło oko w oko z żołnierzami Jednostki Wojskowej Formoza, aby przygotować się do jednego z najważniejszych egzaminów w życiu.

Zostać żołnierzem wojsk specjalnych – dla jednych jest to nieosiągalne marzenie, dla innych – wyzwanie. Droga do elitarnych jednostek Wojska Polskiego nie jest bowiem łatwa. Morderczą selekcję przechodzą tylko najwytrwalsi i najlepiej przygotowani kandydaci, a o eliminacji mogą zdecydować drobiazgi. O tym, jak się przygotować, by mieć szansę na zdanie egzaminu, kandydatów do jednostki instruowali żołnierze z Jednostki Wojskowej Formoza.

Inicjatorem szkolenia było Stowarzyszenie Kulturalno-Rekreacyjno-Sportowe „Formoza”, które zajmuje się działalnością charytatywną i promocją jednostki. „Zauważyliśmy, że często osoby przystępujące do selekcji popełniają niewielkie błędy, ale przez nie odpadają w przedbiegach”, mówi Dariusz Terlecki, były żołnierz jednostki oraz prezes KRS Formoza. „Czasem aż przykro patrzeć, jak z powodu błahostek są zaprzepaszczone miesiące przygotowań, dlatego postanowiliśmy zorganizować szkolenie, na którym kandydaci na żołnierzy naszej formacji dowiedzą się, jakich błędów unikać”.

Wtórzuje mu żołnierz Formozy, jeden z instruktorów prowadzących szkolenie. „O tym, że ktoś odpadnie, może zdecydować na przykład brak dokumentu tożsamości, nieodpowiednia odzież czy nadmiar sprzętu”, mówi. Wspomina też testy, które sam przechodził. „Kiedy pierwszy raz przystępowałem do selekcji, miałem ze sobą dużo baterii. Dla instruktora był to wystarczający powód, aby kazać mi ćwiczyć tak długo, dopóki nie zrezygnuję. Udało mu się skłonić mnie do oddania numeru, dlatego przy kolejnym podejściu już nie popełniłem tego błędu. Dziś przed zrobieniem go chcę ustrzec osoby, które ten egzamin dopiero mają przed sobą”.



Szkolenie odbyło się w Jarocinie, w ośrodku Camp Formoza. Chociaż nie miało formy morderczego treningu, odbywało się w formule selekcji – każdy z uczestników stawał się numerem, a za najmniejsze przewinienie groziło dziesięć pompek.

SPRAWNY JAK KOMANDOS

Jednym z najbardziej oczywistych wymogów, które musi spełnić kandydat do jednostki, jest doskonała forma fizyczna. Dokładne wytyczne są umieszczone na stronie Jednostki Wojskowej Formoza. Bieg na 3000 m, wspinaczka po linie, podciąganie na drążku, uginanie i prostowanie ramion na poręczach to tylko część ćwiczeń, które trzeba wykonać na egzaminie ze sprawności fizycznej. Jak zauważa instruktor, tutaj liczy się nie tylko liczba powtórzeń, lecz także, a może przede wszystkim technika oraz umiejętne rozłożenie sił. „Zdarza się, że podczas podciągnięcia na drążku uczestnicy zastosują zły chwyt, a przy robieniu brzuszków rozplotą ręce, które powinni trzymać na głowie, lub nie dotkną łokciem kolan w czasie skłonów. To wszystko są szczegóły, które mogą zdecydować o dyskwalifikacji”, tłumaczy instruktor. Wyjaśnia także, że chojracy, którzy za wszelką cenę będą chcieli się popisać, też nie są mile widziani. „Kiedy instruktor widzi, że ktoś na siłę chce pokazać swoje umiejętności – na przykład robi pompki, opierając się na kostkach, a nie na całych dłoniach – może być pewien, że zostanie dodatkowe ćwiczenia do wykonania”.

O tym, jak ten etap selekcji wygląda w praktyce, uczestnicy szybko przekonują się na szkoleniu. Najpierw muszą wspiąć się po linie, potem podciągać na drążku. „Musicie to zrobić 20 razy, to niedużo. Stop! Nie liczy się! Nie obją-



JAROSŁAW WIŚNIEWSKI

JEDNYM Z NAJBARDZIEJ
OCZYWISTYCH WYMOGÓW,
KTÓRE MUSI SPEŁNIĆ
KANDYDAT DO JEDNOSTKI,
JEST **DOSKONAŁA FORMA
FIZYCZNA**. DOKŁADNE
WYTYCZNE SĄ UMIESZCZONE
NA STRONIE JEDNOSTKI
WOJSKOWEJ FORMOZA

Jeś dłonią drążka! Cała seria do powtórki!” instruktora gani jednego z kursantów. „80 brzusków! Macie dwie minuty! Czas start!” wydadł kolejne polecenie. „Tak szybko zrobiłeś? To świetnie, masz czas na kolejne 40”, upomina kolejnego twardziela.

EKWIPUNEK IDEALNY

Po testach sprawnościowych kandydaci mają chwilę wytchnienia. Przyszedł czas na odrobinę teorii. Kolejnym tematem szkolenia jest bowiem ekwipunek. Ta część kursu ma przygotować kandydatów do pobytu w górach. W takich warunkach sprawdza się ich wytrzymałość i orientację w terenie, a także reakcję na zimno, głód i zmęczenie.

„Pierwsza zasada – lista rzeczy, które musicie mieć ze sobą, jest opublikowana na stronie jednostki. Dokładnie się z nią zapoznacie. Druga – wszystko, co macie ze sobą, musi być przetestowane. Żadnych nowych butów, plecaków czy noży”, mówi kmr ppor. rez. Cezary Cierzan, były dowódca zespołów bojowych w Jednostce Wojskowej →

expo
MAZURY



HONOROWY PATRONAT



MINISTER
OBRONY
NARODOWEJ



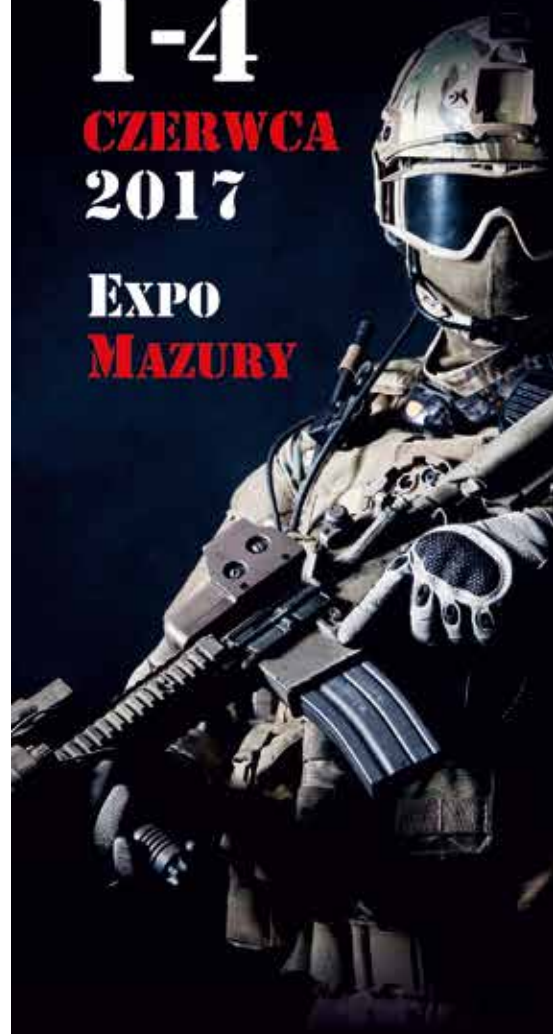
MINISTER
EDUKACJI
NARODOWEJ

**NAJWIĘKSZE
TARGI**

PROOBRONNE W POLSCE

**1-4
CZERWCA
2017**

**EXPO
MAZURY**



WWW.PRO-DEFENSE.PL



JAROSŁAW WIŚNIEWSKI

NA KURSIE PROWADZONYM PRZEZ ŻOŁNIERZY FORMOZY MOŻNA SIĘ PRZYGOTOWAĆ DO SELEKCJI DO TEJ JEDNOSTKI

Formoza, a także szef szkolenia, który kilkakrotnie kierował selekcją.

Kursanci po kolei wyciągają zawartość swoich plecaków. Instruktor uważnie przygląda się ich wyposażeniu. „Butelki z wodą? Miał być pojemnik na wodę!”, zwraca się do jednego z kandydatów. „Dlaczego masz tylko jedną parę spodni, przecież na liście są dwie?”, upomina kolejnego. Przestrzega także, aby podczas pakowania brać pod uwagę ciężar każdego z przedmiotów. „Wiadomo, że podczas takiej wyprawy może się przydać na przykład taśma klejąca, tzw. silvertape. Można ją wykorzystać choćby do sklejenia butów czy podklejenia plecaka, ale to nie znaczy, że trzeba brać całą rolkę, ważącą na ogół pół kilograma”, tłumaczy. Radzi także, aby zabrać ze sobą leki. Dozwolone są te, które można nabyć bez recepty. „Przy dużym wysiłku fizycznym oraz braku higieny niemal zawsze się pojawiają problemy żołądkowe, warto być na to przygotowanym”, mówi.

Górski etap selekcji to także test z orientacji w terenie. Każdy z uczestników dostaje dane miejsca, do którego musi trafić. Samemu trzeba je zlokalizować na mapie, a później za pomocą kompasu wyznaczyć trasę. O tym, że nie jest to łatwe zadanie, może świadczyć fakt, że szkolenie z nawigacji odbywa się także... w czasie samej selekcji. „Ale nie miejcie złudzeń. Instruktorzy nie będą dla was łaskawi. Prawdopodobnie te zajęcia odbędą się w najmniej komfortowym dla was momencie – po ćwiczeniach fizycznych albo w środku nocy”, mówi Cierzan.

KANDYDACY NA SPECJALSOŹ

Podczas szkolenia razem z komandosami ćwiczyło 60 osób. Wśród nich byli zarówno ci, którzy swoją przyszłość wiążą z wojskami specjalnymi, jak i śmiałowie, chcący sprawdzić swoją formę. Aby przygotować się do selekcji, do Jarocina przyjechali m.in. żołnierze z 5 Pułku

Inżynieryjnego ze Szczecina. „Jestem dobrze przygotowany kondycyjnie, umiem też nawigować. Zdecydowałem się tu jednak przyjechać, aby podpatrzeć, z jakiego sprzętu korzystają żołnierze z jednostki oraz jak go prawidłowo spakować”, mówił szer. Mariusz Pacholczak. Podobną motywacją kierowała się Martyna Trocha, studentka ratownictwa specjalistycznego, która swoją przyszłość wiąże z Jednostką Wojskową Komandosów z Lublińca: „Marzę o służbie w zespole bojowym, ale wiem, że jako kobieta nie mam zbyt wielkich szans, dlatego będę się starała dostać do zespołu zabezpieczenia medycznego. Podczas tego szkolenia zdobyłam wiedzę, która na pewno mi w tym pomoże”.

Zupełnie inne powody zmotywowały do udziału w kursie Gabriela Dobosza, który na szkolenie przyjechał z Łodzi. „Ze względu na wiek raczej nie mam szans na to, aby dostać się do wojska, ale staram się żyć aktywnie. Po tym szkoleniu wiem, że muszę popracować nad formą, aby móc równać się z najlepszymi z najlepszych”, mówił. Silna ekipa z Katowic – Piotrek, Mateusz, Mateusz i Konrad – ma natomiast zamiar wykorzystać wiedzę zdobytą na szkoleniu podczas marszu w górach. „Pesel nas goni, więc raczej kariery w wojsku już nie zrobimy. Chcieliśmy się sprawdzić i nauczyć czegoś od ekspertów. Zawsze to wiarygodniejsze informacje niż te, które można znaleźć na forach internetowych. Poza tym aktywnie spędzamy czas, więc na pewno wykorzystamy tę wiedzę w praktyce”, komentowali po zajęciach.

Dariusz Terlecki zdradza, że jedna z osób, która uczestniczyła w takim szkoleniu, rzeczywiście przystąpiła do selekcji i dziś służy w wojskach specjalnych. Czy wśród uczestników tej edycji kursu także jest przyszły żołnierz Formozy? O tym przekonamy się pewnie jesienią, bo wtedy odbywa się kolejny nabór do jednostki. Chętni mogą wysłać swoją aplikację do 31 sierpnia. ■



INSTYTUT TECHNICZNY WOJSK LOTNICZYCH

ul. Księcia Bolesława 6, 01-494 Warszawa, skr. poczt. 96

tel.: 261 851 300; faks: 261 851 313

www.itwl.pl

e-mail: poczta@itwl.pl

Prowadzimy działalność innowacyjną w zakresie:

- Badania naziemne i w locie
- Systemy diagnostyczne dla techniki lotniczej
- Wspomaganie sterowania eksploatacją
- Symulacja i modelowanie
- Awionika
- Uzbrojenie lotnicze
- Systemy rozpoznania, dowodzenia i szkolenia
- Integracja systemów C4ISR
- Bezzałogowe statki powietrzne
- Diagnostyka powierzchni roboczych lotnisk
- Badania paliw i cieczy roboczych
- Testy i certyfikacja wyrobów

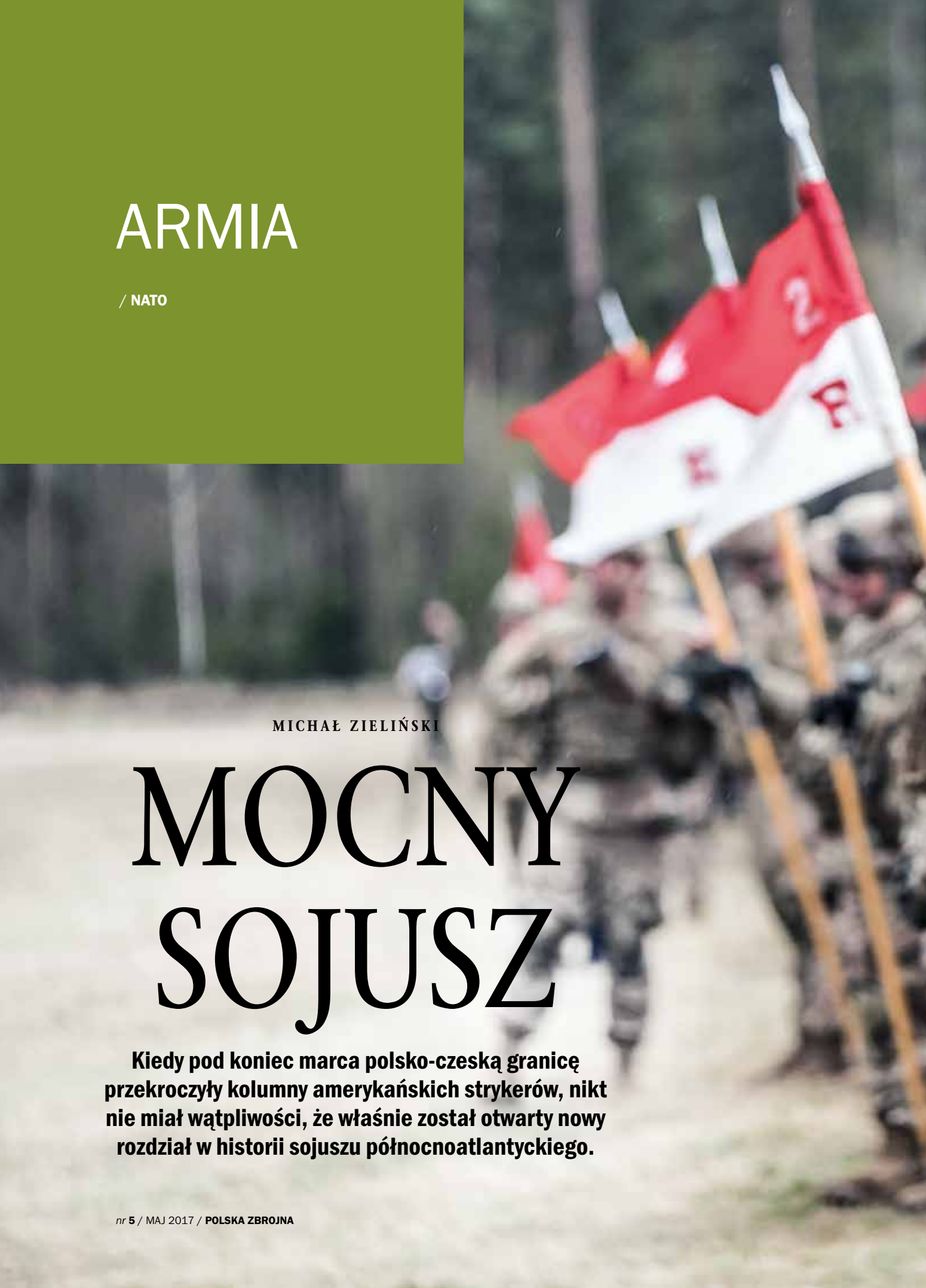


Posiadamy:

- Natowski Kod Podmiotu Gospodarki Narodowej (NCAGE) 0481H
- Wewnętrzny System Kontroli Nr W-45/8/2015 w zakresie naukowo-badawczego wspomaganie eksploatacji lotniczej techniki wojskowej
- Uprawnienia do nadawania tytułu naukowego doktora habilitowanego



ULEPSZYMY KAŻDĄ TECHNOLOGIĘ



ARMIA

/ NATO

MICHAŁ ZIELIŃSKI

MOCNY SOJUSZ

Kiedy pod koniec marca polsko-czeską granicę przekroczyły kolumny amerykańskich strykerów, nikt nie miał wątpliwości, że właśnie został otwarty nowy rozdział w historii sojuszu północnoatlantyckiego.



W

ysunięte siły NATO rozpoczęły pierwszą zmianę w Orzyszu. Lokalizacja nie jest przypadkowa – to właśnie przesmyk suwalski został uznany za jedno z najbardziej newralgicznych miejsc na terytorium sojuszu i jednocześnie najbardziej narażoną na atak część Polski. Jego opanowanie oznaczałoby odcięcie państw bałtyckich od reszty sojuszników i tak naprawdę uniemożliwienie ich obrony.

Na czele I zmiany Międzynarodowej Batalionowej Grupy Bojowej stanął ppłk Steven E. Gventer, dowódca 2 Szwadronu (ew. Skrzydła, ang. Squadron) 2 Pułku Kawalerii. To właśnie Amerykanie, których jednostka na co dzień stacjonuje w Vilseck w Niemczech, będą stanowić trzon wysuniętych sił NATO w Polsce. Pod dowództwo ppłk. Gventera trafiło również 150 Brytyjczyków ze Szwadronu A lekkiej kawalerii (Light Dragoons) oraz ponad stu Rumunów wydzielonych z 205 Batalionu Artylerii Przeciwlotniczej „Blue Scorpions”. Łącznie blisko 1,5 tys. żołnierzy.

„Międzynarodowe batalionowe grupy bojowe to fizyczna manifestacja politycznej decyzji podjętej w zeszłym roku w Warszawie. Przywódcy uzasadnili ją zagrożeniami, które ze wschodu mogą uderzyć w sojusz, zwłaszcza w kraje bałtyckie oraz w Polskę. Rozmieszczenie oraz rozwój powołanych sił będą uwarunkowane sytuacją na świecie. Jako Amerykanie stoimy na czele pierwszej grupy, stacjonującej w Orzyszu. Pozostałe trzy znajdują się na Litwie, Łotwie i w Estonii”, wyjaśnia ppłk Steven Gventer i podkreśla, że obecnie żołnierze mają przygotować pole dla kolejnych zmian. Nie kryje jednak, że nadrzędną rolą wojsk jest odstraszanie. Amerykańskie, brytyjskie oraz rumuńskie flagi mają przypominać, że nawet naj-

mniej szy przejaw agresji wiąże się z bardzo poważnymi konsekwencjami.

PIERWSZY TEST

Mimo że Amerykanie, Brytyjczycy oraz Rumuni bezpośrednio podlegają ppłk. Gventerowi, natowski batalion stał się integralną częścią 15 Giżyckiej Brygady Zmechanizowanej. Jednocześnie z polskiej brygady został wydzielony bliźniaczy pododdział, który przez najbliższe sześć miesięcy będzie ćwiczył ramie w ramie z sojusznikami. Za koordynację tych sił oraz ich wykorzystanie w razie kryzysu odpowiada gen. bryg. Jarosław Gromadziński.

„Z poziomu 15 Brygady Zmechanizowanej nie ma różnicy, czy dołączony batalion jest batalionem natowskim, czy polskim. Jesteśmy na tyle rozwiniętą strukturą, że z punktu widzenia dowodzenia włączenie kolejnego batalionu niczego nie zmienia. Zmiany następują dopiero w procedurach, takich jak systemy ognia połączonego, ich koordynacja, do tego koordynacja przestrzeni powietrznej. To jest najważniejsze i to będziemy ćwiczyć na symulacjach, ale przede wszystkim w polu”, tłumaczy gen. Gromadziński i przypomina, że pierwsze ważne ćwiczenia odbyły się jesienią zeszłego roku. Podczas „Tumaka '16”, czyli certyfikacji 15 Brygady Zmechanizowanej, dowodził on 16 batalionami. Jest to liczba dwukrotnie przewyższająca wielkość brygady w czasie pokoju. Egzamin został zaliczony na ocenę bardzo dobrą i stanowił preludium do nadchodzących szkoleń.

„W najbliższych miesiącach poligon przejdziemy wzdłuż i wszerz, będziemy się szkolić m.in. właśnie z procedur. Przykładowo – przez nasze przeszkody wodne BWP-y idą z marszu, dla strykerów trzeba wybudować mosty towarzyszące. Polscy saperzy będą musieli włączyć je w ten system i przygotować przeprawę, która z kolei musi być broniona. Dopiero wtedy stry-



ZA STACJONUJĄCĄ W **ORZYSZU** MIĘDZYNARODOWĄ BATALIONOWĄ GRUPĄ BOJOWĄ STOI DWÓCH DOWÓDCÓW:

**GEN. BRYG. JAROSŁAW GROMADZIŃSKI ORAZ
PPŁK STEVEN E. GVENTER.** OD ICH DECYZJI MOŻE ZALEŻEĆ
NIE TYLKO BEZPIECZEŃSTWO WSCHODNIEJ CZĘŚCI POLSKI,
LECZ TAKŻE PRZYSZŁOŚĆ CAŁEGO SOJUSZU

kery będą mogły ją pokonać. Obecnie zaczynamy serię szkoleń przygotowujących, ale pierwszy szerszy obraz da »Puma '17«. Ćwiczenia będą sprawdzianem, czy obrane przez nas procedury rzeczywiście działają. Na pewno wyjdą jakieś mankamenty i będziemy je analizować oraz zmieniać to, co trzeba», dopowiada gen. Gromadziński.

Prawdziwym testem będą międzynarodowe manewry „Saber Strike '17”. W pierwszej połowie czerwca do stacjonujących w Orzyszu żołnierzy dołączą dodatkowe pododdziały amerykańskie oraz Kanadyjczycy i Litwini. Po zakończeniu głównej części ćwiczeń amerykański komponent w sile kompanii wraz z pododdziałami bry-

tyjskimi oraz polską artylerią zostanie przerzucony do państw bałtyckich i weźmie udział w „Silver Arrow”.

„Po realizacji wymienionych celów przystąpimy do jednych z największych polskich ćwiczeń, które odbędą się jesienią – »Dragon '17«. Weźmie w nich udział cała Międzynarodowa Batalionowa Grupa Bojowa. W ciągu roku będziemy również uczestniczyć w innych ćwiczeniach i prowadzić własny trening, by mieć pewność, że każda jednostka wchodząca w skład Grupy Bojowej zachowuje najwyższe zdolności. Jesteśmy świetnie wyszkoleni oraz wyposażeni, ale zawsze można znaleźć pole do doskonalenia w przyszłości. W momencie, w którym ➔

zakończy się nasza zmiana, każdy żołnierz z każdej jednostki wchodzącej w struktury Grupy Bojowej będzie jeszcze lepiej wyszkolony”, podkreśla ppłk Steven E. Gventer.

Obaj dowódcy zaznaczają, że pierwsza rotacja wysuniętych sił NATO odbędzie się za sześć miesięcy i nie wprowadzi znaczących zmian w strukturach Grupy Bojowej. 2 Szwadron 2 Pułku Kawalerii zostanie zastąpiony przez praktycznie identyczny pod względem sprzętu i liczebności 3 Szwadron z tej samej jednostki. Analogiczne zmiany czekają Brytyjczyków z Light Dragoons oraz rumuński Blue Scorpions. Najprawdopodobniej do tego czasu natowski batalion zostanie wzmocniony przez Chorwatów, ale wciąż oczekuje się zatwierdzenia ich rozmieszczenia w Orzyszu.

JESTEŚMY PIONIERAMI

Zarówno amerykański 2 Pułk Kawalerii, jak i Light Dragoons mogą się pochwalić bogatą historią, ale przede wszystkim znaczącym doświadczeniem zdobytym na współczesnych polach walki. Przez ostatnią dekadę kawalerzyści obu nacji brali udział we wszystkich fazach wojny w Iraku i Afganistanie. Płk Steven E. Gventer zauważa, że misja rozpoczęta w Polsce pod względem charakteru znacząco odbiega od zadań realizowanych na Bliskim Wschodzie, jednak podlegli mu żołnierze jej nie bagatelizują.

„Najtrudniejszym aspektem naszej służby jest to, że jesteśmy pionierami, ale jednocześnie czujemy się zaszczytzeni tą rolą. Jesteśmy oddani naszej misji, a kawalerzystom nie brakuje zapału do jej realizowania. Jednocześnie, jeżeli robimy coś jako pierwsi, wkraczamy na nieznany grunt, to musimy nauczyć się kilku nowych rzeczy. Jednostki, które przyjdą po nas, zostaną rozmieszczone we w pełni rozwiniętej bazie, będą ćwiczyć w działającym centrum treningowym i skorzystają z naszych doświadczeń ze współpracy z jednostkami obec-

nie wchodzącymi w skład Międzynarodowej Batalionowej Grupy Bojowej. Mamy nadzieję, że przekazanie zmiany odbędzie się bez utrudnień i bogatsi o nowe doświadczenia zwiększymy jeszcze swój potencjał”.

Mimo doświadczeń, wyszkolenia oraz dobrego wyekwipowania żołnierzy służących w ramach wysuniętych sił NATO, dowódcy nie ukrywają, że ich rozmieszczenie ma przede wszystkim znaczenie polityczne. Idea skutecznego odstraszenia została oparta na ukazaniu determinacji sojuszu gotowego do obrony wschodniej flanki przede wszystkim poprzez manifestację jedności. To realna siła także w znaczeniu strategicznym.

Jak podkreśla gen. Gromadziński, jeden batalion nie zmienia pola walki. Mogą jednak zrobić to kolory flag – symbole tych, którzy stali się jego częścią.

„15 Brygada Zmechanizowana jest największą jednostką na tym terenie, ale za nami jest coś więcej, czego nie można przedstawić w wymiarze militarnym. To

moc flagi NATO, moc artykułu 5. Wobec naszej ilości sił zbrojnych ten batalion nie jest wielką potęgą. Ale w tym wypadku siłę dają nie lufy armat, tylko niebieska flaga nad żołnierzami”.

MIMO ŻE AMERYKANIE, BRYTYJCZYCY ORAZ RUMUNI BEZPOŚREDNIO PODLEGAJĄ PPŁK. GVENTEROWI, NATOWSKI BATALION STAŁ SIĘ INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ 15 GIŻYCKIEJ BRYGADY ZMECHANIZOWANEJ



MICHAŁ ZIELIŃSKI

Czasy, w których pisesz list, wrzucasz go do skrzynki i czekasz dwa tygodnie na odpowiedź, na szczęście już minęły. Żyjemy w dobie nowych technologii. Możesz włączyć FaceTime i obserwować, jak rosną twoje dzieci, nawet jeżeli znajdują się one po drugiej stronie monitora. Dbamy o to, żeby zapewnić żołnierzom taką możliwość”, sierż. sztab. Zackary Cowher łączy w sobie wszystkie cechy stereotypowego Amerykanina. Jest bezpośredni, dowcipny i dysponuje niewyczerpanymi zasobami niewymuszonego luzu. W US Army służy od ponad dziesięciu lat, obecnie trafił do zespołu prasowego 2 Szwadronu 2 Pułku Kawalerii. Właściwy człowiek na właściwym miejscu.

„Wiecie, jaki mamy dzisiaj dzień? Dla mnie jest poniedziałek, mimo że dla was już środa. Odkąd przyjechałem do Polski, każdy kolejny dzień to poniedziałek. Nawet w piątek jest poniedziałek. No do brze, chodźcie, pokażę wam bazę”.

JESTEŚMY NORMALNYMI LUDŹMI

Od końca marca Ośrodek Szkolenia Poligonowego Wojsk Lądowych w Bemowie Piskim stał się nowym domem dla żołnierzy z Międzynarodowej Batalionowej Grupy Bojowej. Służba w ramach wysuniętych sił na wschodniej flance NATO wiąże się nie tylko z licznymi obowiązkami. Sojusznicy muszą zmierzyć się z nowym środowiskiem oraz sześciomiesięczną rozłąką z bliskimi.

„Z tym najtrudniej pogodzić się nowym chłopakom. Bardziej doświadczonym jest znacznie łatwiej. Sam wielokrotnie byłem odseparowany od bliskich. Z czasem po prostu przyzwyczajasz się do tego. Rodzina również zaczyna akceptować twoją nieobecność i przełącza się na specjalny tryb. Wówczas znacznie więcej piszecie ze sobą na Facebooku, oglądacie nagrania wideo. Każdy żołnierz musi zrozumieć i zaakceptować to, że w czasie służby w końcu przychodzi czas rozłąki”, mówi sierż. Cowher. Zarówno on, jak i większość



MICHAŁ ZIELIŃSKI

JAKBY BYLI STĄD

Dla większości Amerykanów z Międzynarodowej Batalionowej Grupy Bojowej służba w Europie Środkowo-Wschodniej nie jest nowym doświadczeniem. Podobnie jak poczucie tęsknoty za domem.

żołnierzy z Dwa-Dwa (potoczne określenie 2 Szwadronu 2 Pułku Kawalerii) ma już za sobą podobne doświadczenia. Amerykanie służyli w Iraku oraz Afganistanie, gdzie praktycznie nieustannie towarzyszyły im stres oraz poczucie odseparowania. Misja prowadzona w ramach wysuniętej obecności (Enhanced Forward Presence – eFP) wiąże się nie tylko z nieporównywalnie mniejszym obciążeniem psychicznym, lecz także z bardziej komfortowymi warunkami życia.

Kwatery Amerykanów na terenie jednostki w Bemowie Piskim różnią się od baz znanych z Bliskiego Wschodu, zwłaszcza od wysuniętych posterunków bojowych (COP). Kawalerzyści śpią w koszarach, do dyspozycji mają również stołówkę oraz siłownię. W wielu miejscach zostały wydzielone place, na których można uprawiać sport.

„Międzynarodowa Batalionowa Grupa Bojowa to nie tylko 2 Szwadron. Na co dzień widzimy tu Rumunów grających w rugby, Brytyjczyków kopiących piłkę oraz Amerykanów, którzy próbują swoich sił w obu dyscyplinach. W wolnych chwilach, a nie mamy ich dużo, żołnierze cenią sobie aktywność fizyczną. Lubimy także trenować na siłowni. W imię zasady – im jesteś większy, tym większą możesz siać destrukcję. Tak to działa”, sierż. Zackary Cowher wie, że morale podnosi nie tylko stały dostęp do

sztang, ale także stabilne połączenie internetowe.

„Jesteśmy normalnymi ludźmi. Oglądamy filmy na Netflixie, przeglądamy strony internetowe. Poza tym jesteśmy strasznymi gadułami. Możemy się zebrać w jakimkolwiek miejscu i rozmawiać na każdy temat, w nieskończoność”.

BEZ STRACHU

Specjalista Piotr Drwał na pierwszą zmianę wysuniętych sił NATO trafił jako artylerzysta. W 2 Pułku Kawa-

MICHAŁ ZIELIŃSKI





lerii służy od niespełna roku, to jego pierwsza misja. Z racji tego, że urodził się w Polsce, w Tarnowie, bardzo szybko zaaklimatyzował się w nowym miejscu. Teraz stara się ułatwić to swoim kolegom.

„Spodziewaliśmy się, że będzie znacznie gorzej. Jedzenie jest bardzo dobre, bliskie mojemu sercu. Od początku cieszyłem się, że będę służył w Polsce, wiedziałem jednak, że najbliższe kilka miesięcy spędzę z dala od domu. Na razie nie możemy brać przepustek, więc nieprędko zobaczymy się z rodziną. Mamy za to wycieczki krajoznawcze, zwiedziliśmy Wilczy Szaniec, Giżycko. Jeżeli będzie szansa, aby otrzymać dłuższą przepustkę, moja żona na pewno przyjedzie mnie odwiedzić”. Piotr Drwał podkreśla, że armia amerykańska dba również o najbliższych żołnierzy. Cywile mają stały dostęp do

informacji. W przypadku sytuacji nadzwyczajnych są także bezzwłocznie o nich powiadamiani.

Odpowiednie kroki podejmuje się również w momencie, w którym coś ważnego dzieje się na przykład w rodzinie kawalerzystów. Odpowiada za to amerykański oddział Czerwonego Krzyża, który kontaktuje się bezpośrednio z dowództwem. W trybie pilnym analizuje się wtedy każdy zgłoszony przypadek i decyduje, czy konkretny żołnierz jest niezbędny na miejscu, czy może zostać wysłany do domu. Procedura wygląda na trudną do przejścia, ale według sierż. Cowhera w praktyce większość spraw kończy się pozytywnie. „Niedawno mieliśmy kawalerzystę, na którego czekała żona w ciąży. Kiedy nadszedł czas rozwiązania, a było to jego pierwsze dziecko, dostał przepustkę i wrócił do

MIĘDZYNARODOWA BATALIONOWA GRUPA BOJOWA TO NIE TYLKO 2 SZWADRON. NA CO DZIEŃ WIDZIMY TU RUMUNÓW GRAJĄCYCH W RUGBY, BRYTYJCZYKÓW KOPIĄCYCH PIŁKĘ ORAZ AMERYKANÓW, KTÓRZY PRÓBUJĄ SWOICH SIŁ W OBU DYSCYPLINACH



MICHAŁ ZIELIŃSKI (4)

domu. Podchodzimy do tego bardzo poważnie. Chcemy mieć pewność, że pomagamy naszym żołnierzom najlepiej, jak to możliwe, zwłaszcza w sprawach osobistych”, zaznacza sierżant.

Niezależnie od losowych sytuacji żołnierze podkreślają, że do misji w ramach wysuniętych sił NATO podchodzą na spokojnie, bez strachu. Większość z nich poznała już Europę Wschodnią podczas ćwiczeń w Polsce, na Litwie, Łotwie czy w Estonii. Ich pobyt w Orzyszu nie jest misją bojową, więc może zostać wykorzystany jako sposób na pogłębienie współpracy z sojusznikami. Jest to możliwe dzięki m.in. szkoleniom kulturowym przygotowywanym przez stronę polską. Przed przyjazdem żołnierze brali również udział w spotkaniach, podczas których dowódcy wprowadzali ich

w realia służby, tłumaczyli ich rolę oraz uświadamiali trudności, które będą musieli pokonać.

Sierż. Zackary Cowher zapewnia, że nowi kawalerzyści mogą liczyć na pomoc starszych kolegów, którzy wprowadzą ich w nieznanne środowisko. W ten sposób odnajdą się w każdych warunkach. „Jesteśmy Amerykanami, nasza kultura jest zbiorem różnych kultur. Adaptujemy się bardzo szybko. To swego rodzaju styl życia, dla nas tym bardziej naturalny, że od początku bazujemy w Europie, w Niemczech. Musieliśmy się tam nauczyć, jak zamówić jedzenie, zrobić zakupy w sklepie, po prostu radzić sobie w codziennych sytuacjach. Tutaj również poznamy miejscowe zwyczaje, tradycje i po sześciu miesiącach będziemy mówić »dziękuję«, jakbyśmy się tu urodzili”.

Tuż po przyjeździe do Polski poszedłem do banku, żeby otworzyć rachunek oszczędnościowy i dostać karty kredytowe. Pani w okienku zapytała mnie o adres. Zbaraniałem, dlatego że jeszcze wtedy nie miałem wynajętego mieszkania. Okazało się to sporym problemem, ponieważ w Polsce karty wysyłane są pocztą. Nie bardzo mogłem to zrozumieć, u nas wszystko dostaje się w placówce banku”, wspomina pierwsze dni w Lublinie mjr Kostas Petrovas z Litwy. „Ostatecznie moje karty płatnicze dotarły na adres Wielonarodowej Brygady, a ja stałem się pełnoprawnym posiadaczem rachunku bankowego”, przyznaje z uśmiechem szef sekcji szkolenia LITPOLUKRBRIG.

Żołnierze z Litwy i Ukrainy, szczególnie na początku swojego pobytu, często spotykali się z zaskakującymi sytuacjami. „Pierwszego dnia świąt Bożego Narodzenia wybrałem się do sklepu. Obszedłem całe miasto i wszystko było pozamykane”, opowiada mjr Petrovas. „Na Litwie placówki handlowe i lokale są tego dnia pootwierane do godziny 20.00. Uważam jednak, że polskie podejście jest dobrym rozwiązaniem, bo ludzie, którzy w święta muszą

pracować, nie mogą spędzić tego czasu ze swoją rodziną”, zaznacza Litwin.

JĘZYKOWE PRZESZKODY

Codzienne wizyty w sklepach na początku sprawiały oficerom z zagranicy sporo kłopotów. Głównie ze względu na barierę językową. Ci, którzy pochodzili z terenów przygranicznych, posługiwali się łamaną polszczyzną. Pozostali byli zdani na pomoc innych. „Przed wyjazdem wydawało mi się, że w Polsce większość ludzi rozmawia po angielsku i załatwienie podstawowych spraw nie będzie żadnym problemem. Niestety, nawet najprostsze zakupy okazały się sporym wyzwaniem. Dlatego już w pierwszych dniach pobytu w Lublinie moja motywacja do nauki polskiego szybko wzrosła. Postanowiłem, że muszę go poznać na tyle, by móc zapytać o podstawowe rzeczy. Zacząłem dużo czytać w waszym języku i oglądać telewizję. W nauce pomagała mi też koleżanka z Polski”, przyznaje kpt. Andrii Brodskyi, zastępca szefa służby zdrowia w LITPOLUKRBRIG.

Z kolei mjr Anatolii Ichenskyi, zastępca szefa sekcji rozpoznania, opowiada, że pierwsze problemy z komunikacją miał przy wynaj-

PIOTR RASZEWSKI

Misja Lublin

Żołnierze z Litwy i Ukrainy służący w dowództwie Wielonarodowej Brygady okres aklimatyzacji mają już za sobą, choć zgodnie podkreślają, że Polska cały czas ich zaskakuje, zadziwia i zachwyca.



POLACY CHCĄ, BY OFICEROWIE Z LITWY I UKRAINY CZULI SIĘ W LUBLINIE JAK NAJLEPIEJ. DLATEGO STWORZYLI W JEDNOSTCE PROGRAM, KTÓRY ROBOCZO NAZWALI „FAMILY CARE”

stawianiu mieszkania. „Nie wiedziałem nawet, gdzie szukać ofert, nie wspominając już o negocjowaniu cen i warunków wynajmu. Pomoc zaoferował jednak konsul ukraiński w Lublinie. Wspierali nas też polscy oficerowie. Dzięki temu wszystkie podstawowe sprawy udało mi się pozatłatwiać w ciągu dwóch, trzech miesięcy”, przyznaje ukraiński oficer.

Z pomocy polskiego personelu obcokrajowcy służący w Wielonarodowej Brygadzie korzystają do dziś, choć Polacy wspominają, że pierwsze miesiące rzeczywiście były najtrudniejsze. „Zawsze najgorzej mają ci, którzy są pierwszą zmianą. Nie wiedzą, co ich czeka w nowym kraju, jak załatwiać najważniejsze sprawy związane z codziennym życiem, a przecież przyjechali tu na trzy lata. Musieli więc znaleźć mieszkania, założyć konta w bankach, kupić telefony komórkowe, poszukać szkół dla dzieci i pracy dla żon”, podkreśla mjr Wojciech Jakubczuk, szef sekcji wizyt i protokołu Wielonarodowej Brygady.

Polscy oficerowie przyznają, że próśb o pomoc jest coraz mniej, choć nadal zdarzają się sytuacje, gdy ich wsparcie jest niezbędne. „Pomagamy m.in. w opiece medycznej. Mamy sekcję medyczną z polskim persone-

lem, więc gdy pojawia się problem, wysyłamy naszych przedstawicieli, by pomogli w załatwieniu wszelkich formalności, bo trzeba przyznać, że w sprawach medycznych bariera językowa wciąż jest duża. Czasem takie sytuacje zdarzają się nawet dwa, trzy razy dziennie i nie dotyczą wyłącznie personelu brygady, lecz także rodzin oficerów”, przyznaje ppłk Michał Małyska, zastępca szefa sztabu LITPOLUKRBRIG.

Polacy chcą, by oficerowie z Litwy i Ukrainy czuli się w Lublinie jak najlepiej. Dlatego stworzyli w jednostce program, który roboczo nazwali „Family care”. Organizują imprezy integracyjne, wspólne wyjazdy, a także naukę języka dla rodzin zagranicznego personelu jednostki. „To oczywiście są wyłącznie prywatne inicjatywy. Sami inicjujemy różnego rodzaju rozrywki. W ubiegłym roku, gdy wróciliśmy z ćwiczeń »Anakonda«, pojechaliśmy do pobliskiego Muzeum Zamojskich w Kozłowiec na piknik rodzinny. Niebawem planujemy wycieczkę do Lwowa. Stale organizujemy też krótkie wypadki, np. na kajaki z bliskimi. Jednym słowem, dbamy o to, by nasze rodziny się integrowały i uważam, że robimy to na całkiem niezłym poziomie”, wylicza ppłk Małyska. „Ponadto niedawno przygotowaliśmy ➔



wraz z Uniwersytetem Marie Curie-Skłodowskiej w Lublinie kurs języka polskiego dla naszego personelu ukraińskiego i litewskiego oraz dla rodzin. Chcemy, by jak najlepiej wykorzystali te trzy lata pobytu w Polsce”, zaznacza polski oficer.

RAZEM CZY OSOBNO

Zwykle po pracy ukraińscy i litewscy żołnierze żyją jednak stałym rytmem codziennym. Ci, którzy przyjechali tu z rodzinami, większość pozasłużbowego czasu poświęcają na domowe obowiązki i sprawy najbliższych. „Mój syn jest w gimnazjum. Uczy się po polsku. Najwięcej problemów stwarzają mu nauki ścisłe – matematyka i fizyka – ze względu na dużo specyficznych terminów. Dlatego mocno nad tym pracujemy. Na początku było mu ciężko, bo znalazł się w zupełnie nowym środowisku. Koledzy z klasy przyjęli go jednak bardzo dobrze. Pomogło to, że języka zaczął się uczyć przed przyjazdem do Lublina. Wspiera go również wychowawczyni i jednocześnie nauczycielka polskiego – syn ma dodatkowe zajęcia, dostaje więcej lektur do czytania i dzięki temu robi szybkie postępy”, przyznaje mjr Anatolii Ichenskyi.

Rodzina ukraińskiego oficera niebawem się powiększy, bo na świat przyjdzie kolejne dziecko. „Cieszę się, że w tych ważnych chwilach możemy być razem, choć decyzja o wyjeździe do Polski całą rodziną nie była łatwa. Żona musiała zrezygnować z pracy. Jest fizjoterapeutką i bardzo lubi swój zawód. Tu również chciałaby go wykonywać, ale na razie nie zna za dobrze języka polskiego”, wyjaśnia ukraiński oficer.

Nie wszyscy zdecydowali się na przyjazd do Polski z rodzinami. Biorąc pod uwagę kadencyjność służby w Wielonarodowej Brygadzie, sporo oficerów musiało podjąć trudną decyzję o rozłące z najbliższymi. „Dla wielu młodszych kolegów, którzy nie mają jeszcze rodziny, przyjazd do Polski był pewnie nieco mniejszym problemem. My mieliśmy spory dylemat”, przyznaje kpt. Andrii Brodskyi, którego bliscy pozostali w Żytomierzu. „Mój starszy syn ma 14 lat i jest w ósmej klasie, drugi syn jest dziesięć lat młodszy i chodzi do przedszkola. Po wielu dyskusjach i nieprzespanych nocach podjęliśmy decyzję, że do Polski pojedę sam, bo nie chcieliśmy, by ten starszy zmieniał szkołę. Żona z kolei jest wojskowym psychologiem i chodziło nam o to, żeby nie musiała rezygnować z pracy. Mieliśmy też świadomość, że trudno byłoby jej znaleźć tu odpowiednie stanowisko, na którym mogłaby pracować przez te trzy lata. Poza tym w Żytomierzu mamy służbowe mieszkanie i jeśli wyjechalibyśmy do Polski całą rodziną, musielibyśmy je zwolnić. A na Ukrainie niezwykle ciężko jest dostać taką kwaterę”, zwierza się mędyk z LITPOLUKRBRIG.

Mjr Kostas Petrovas z Litwy



Kpt. Andrii Brodskyi, zastępca szefa służby zdrowia w LITPOLUKRBRIG

Rozłąkę z rodzinami muszą rekompensować jedynie krótkie urlopy, podczas których zagraniczni żołnierze wracają w swoje strony bądź zapraszają najbliższych do siebie. Większość ukraińskich oficerów pochodzi z zachodu kraju, teoretycznie więc czas podróży nie powinien być długi. „Lublin i Żytomierz dzieli zaledwie 500 km. To blisko, ale jest jeszcze granica. By ją pokonać, trzeba czasami odstać nawet sześć czy siedem godzin, czyli dokładnie drugie tyle, ile wynosi czas jazdy. Dlatego nie bywam w domu zbyt często, zwykle tylko w święta i na dłuższy urlop. Żona z dziećmi odwiedziła mnie raz, ale udało nam się zwiedzić nie tylko Lublin, lecz także Warszawę i Kraków”, mówi kpt. Brodskyi, który przed wyjazdem do Polski służył w 95 Aeromobilnej Brygadzie w Żytomierzu.

Problemów z przekraczaniem granicy nie mają natomiast Litwini, choć oni z Lublina do swych rodzinnych domów mają nieco dalej. Wielu z nich urlopy spędza w ojczyźnie. „Nie jestem żonaty, więc decyzja o podjęciu służby w Wielonarodowej Brygadzie była dla mnie z pewnością łatwiejsza niż dla kolegów, którzy musieli



Mjr Anatolii Ichenski,
zastępca szefa
sekcji rozpoznania

PIOTR RASZEWSKI (3)

LITEWSCY I UKRAIŃSCY ŻOŁNIERZE SĄ W POLSCE OD NIEMAL DWÓCH LAT. ZA NIMI POŁOWA POBYTU W NASZYM KRAJU, BO PERSONEL TEJ JEDNOSTKI JEST WYMIENIANY ROTACYJNIE CO TRZY LATA

zostawić w swoim kraju żony i dzieci. Raz na dwa, trzy miesiące jeżdżę jednak do Wilna, gdzie mieszka mój brat. Nie są to długie wyjazdy, zwykle na tydzień albo nawet krócej. Jedynie w wakacje udaje mi się tam spędzić nieco więcej czasu”, zdradza mjr Kostas Petrovas.

SŁUŻBA PO POLSKU

Mimo rozłąki z najbliższymi żołnierze chwalą sobie pobyt w Lublinie i warunki, w jakich przyszło im służyć.

„Przedtem mieszkaliśmy we Lwowie, bo byłem oficerem tamtejszej 80 Brygady Powietrznodesantowej. Oba miasta są piękne, ale Lublin jest bardziej zadbane, a zabytkowe kamienice odnowione”, zwraca uwagę mjr Anatolii Ichenski. „Ponadto miasto jest dobrze oznakowane, więc nie ma żadnego problemu, np. z poruszaniem się samochodem”, dodaje ukraiński oficer. Z kolei kpt. Andrii Brodskyi dostrzega różnice w prozaicznych rzeczach: „Wydaje się, że Lublin i Żytomierz, w którym mieszkalem, to miasta zbliżone wielkością, a jednak inne. Drogi i transport miejski są tu zdecydowanie lepsze. Poza tym łatwiej jest np. kupić bilet autobusowy, bo są specjalne automaty, a dzięki taksometrom w taksówkach można szybko sprawdzić, ile rzeczywiście kosztuje dany kurs”.

Żołnierze nie mają jednak zbyt dużo czasu na poznanie miasta, bo większość dnia spędzają w jednostce. Tu musieli szybko znaleźć wspólny język z kolegami z innych państw, bo gdy pojawili się w Polsce, postawiono przed nimi zadanie wypracowania odpowiednich procedur i przygotowania Wielonarodowej Brygady do osiągnięcia pełnej gotowości bojowej. „Dla nas od początku była to służba podobna do tej w zwykłej jednostce wojskowej, z tą różnicą, że pracujemy w środowisku międzynarodowym i posługujemy się językiem angielskim. Pozytywna certyfikacja pokazała, że ze wszystkich obowiązków wywiązaliśmy się znakomicie, a trzeba pamiętać, że została ona przeprowadzona na podstawie natowskiego dokumentu CREVAL, którego nie mogliśmy przetwarzać na miejscu, bo Ukraina nie jest członkiem NATO”, podkreśla ppłk Michał Małyska, zastępca szefa sztabu Wielonarodowej Brygady. „Od początku dogadywaliśmy się bezproblemowo. Chociaż pochodzimy z trzech różnych krajów, to nasze kultury są zbliżone. Kraje europejskie to nie Chiny, Indie czy Afganistan. W pewnych sprawach oczywiście się różnimy, ale jesteśmy w stanie zrozumieć swoje zachowania, sposób myślenia czy bycia”, podsumowuje mjr Petrovas.

W dowództwie Wielonarodowej Brygady służy 18 Ukraińców, pięciu Litwinów, 58 Polaków oraz 13 polskich pracowników cywilnych. Miejscowy personel zaznacza, że już przygotowuje gotowe rozwiązania, mające ułatwić pierwsze miesiące służby nowym oficerom, którzy przyjadą do Lublina w 2018 roku. „Bazując na doświadczeniach tych, którzy przetrarli szlaki, chcemy opracować specjalny przewodnik. Opublikujemy go na naszej oficjalnej stronie internetowej i udostępniemy wszystkim oficerom, którzy będą u nas służyć. Zależy nam, by przekazać obcokrajowcom podstawowe informacje i wskazówki, tak aby pierwszy okres pobytu był dla nich jak najłatwiejszy”, kreśli plany na przyszłość mjr Wojciech Jakubczuk, szef sekcji wizyt i protokołu Wielonarodowej Brygady. ■



MARCIN GÓRKA

TAJNA OPERACJA GENERAŁA

Kluczem do tych ćwiczeń była szybkość
– myślenia, podejmowania decyzji i działania.

MARCIN GÓRKA / MGPR (4)

Generał zapytał swoich oficerów sztabowych: „Da się to zrobić?”. „Nie, wodzu, to niemożliwe”, usłyszał w odpowiedzi. „No to tak zrobimy”, zdecydował ostatecznie dowódca. Podobno tak powstał pomysł przeprowadzenia unikatowych w naszej armii ćwiczeń sztabowych. Ich skala, rozmach, a przede wszystkim sposób przeprowadzenia przekroczyły granicę wytyczaną latami przez sztaby, które ćwiczyły głównie na mapach, w salach gimnastycznych i na poligonach.

CENTRUM DOWODZENIA W BIBLIOTECE

Scenerią tego nowatorskiego treningu sztabowego stało się całe województwo zachodniopomorskie. Kilkuset żołnierzy i około 200 sztuk sprzętu na kołach: rosomaki, ciężarówki, transportery BRDM, wozy dowodzenia i honkery, wyjechało na tamtejsze drogi.

Operacja opierała się na scenariuszu hipotetycznej sytuacji kryzysowej. Agresywne mocarstwo Monda chciało zagarnąć tereny sąsiedniej Wislandii, na których odkryto duże złoża gazu ziemnego i ropy naftowej. Dlatego na jej terytorium organizowano akty sabotażu, terroru i przygotowano ataki cybernetyczne. Przeciwnika od przeprowadzenia zmasowanego ataku miały odstraszyć wojska Wislandii, w które wcielili się żołnierze 12 DZ.

„Najważniejsza jest prędkość: myślenia, przemieszczania się, adaptacji i podejmowania decyzji. Liczę też na waszą inicjatywę”, wyliczał przed wyjazdem na ćwiczenia gen. dyw. Rajmund Andrzejczak, dowódca 12 Dywizji Zmechanizowanej. „Będę zwracał uwagę na dowodzenie na każdym szczeblu, a także na pozytywne podejście do cywilów, z którymi będziemy mieć bezpośredni kontakt”.



ROSOMAKI ZAJĘŁY STRATEGICZNE PUNKTY ZABEZPIELAJĄCE DZIAŁANIA SZTABU



Stanowisko dowodzenia rozlokowano w bibliotece.

Jeśli żołnierze popełniają błędy, to w ten sposób zdobywają doświadczenie. O to w tych ćwiczeniach chodzi.



Wojsko, które do ostatniej chwili utrzymywało operację w tajemnicy (kryptonim manewrów do dziś pozostaje tajny), kilka godzin przed jej rozpoczęciem poinformowało społeczeństwo przez lokalne rozgłośnie radiowe o „możliwych utrudnieniach w ruchu na terenie całego województwa zachodniopomorskiego”. Przez tydzień mobilne stanowiska dowodzenia 12 Dywizji Zmechanizowanej przemieszczały się z miejsca na miejsce w zależności od rozwoju sytuacji, tak jak by to robiono w czasie faktycznych działań wojennych. „To ma wyglądać tak, jak w czasie realnego konfliktu”, mówił gen. Andrzejczak. „Działamy nie w terenie znanym, jakim dla wojska jest poligon, lecz w cywilnej infrastrukturze”.

I tak konwój dowództwa 12 Szczecińskiej Dywizji Zmechanizowanej, złożony z rosomaków, wozów łączności, ciężarówek i transporterów BRDM, pewnego dnia

wjechał do maleńkiego Suliszewa. Dramatyczna zmiana biegu wydarzeń wymusiła bowiem szybkie przemieszczenie dowodzenia operacją przeciwko wrogiej Mondzie. Kiedy dowódca, gen. dyw. Rajmund Andrzejczak, zobaczył w pewnym momencie wioskę, zdecydował, że to z niej będzie dowodził.

Wojsko wjechało do wsi, w jej centrum, obok biblioteki i kościoła, rosomaki zajęły strategiczne punkty zabezpieczające działania sztabu. Obserwatorzy obsadzili najwyższej umiejscowione stanowiska obronne, a żołnierze z przeciwlotniczymi zestawami Grom – skrzyżowanie dróg. Sztab skierował się do wiejskiej biblioteki.

„Wojsko? Co tu się dzieje?”, nie ukrywała zdziwienia bibliotekarka, pani Elżbieta Likas, kiedy zobaczyła wchodzących do świetlicy żołnierzy w hełmach i kamizelkach kuloodpornych, uzbrojonych w karabinki Beryl. ➔



MARCIN GÓRKA / MGPR

ŻOŁNIERZE DZIAŁALI NIE W TERENIE ZNANYM, JAKIM DLA WOJSKA JEST POLIGON, LECZ W CYWILNEJ INFRASTRUKTURZE

Przez okno zauważyła też rosomaka stojącego przed wejściem do budynku. „Dzień dobry. My tu tylko ćwiczymy. Trochę pani poprzekszkadzamy, ale nie narobimy kłopotów”, zapewnił gen. Andrzejczak. Aby rozładować sytuację, w czasie gdy żołnierze rozwijali mapy, nawiązywali łączność z jednostkami i obsadzali stanowiska obronne w oknach i na podwórzu, on zwiedził bibliotekę. Dopytywał się o mieszkańców wioski i ich zainteresowania czytelnice.

Wkrótce stanowisko dowodzenia zaczęło działać. Teraz żołnierze mogli pójść patrolować wioskę. Dowodził nimi sam generał. Odwiedził sklep, tartak, gospodarstwa rolne, plebanię. Uspokajał mieszkańców. „Przestraszyłam się nie na żarty”, mówiła młoda kobieta z kilkumiesięcznym dzieckiem w wózku. „Dobrze, że to tylko ćwiczenia”. Mieszkańcy na początku się wystraszyli, ale zaciekawieni wyszli na ulicę, żeby zobaczyć poczynania wojska.

SERIA NIESPODZIANEK

Tymczasem doszło do zaskakujących wydarzeń. Nagle, najprawdopodobniej od kul snajperów, zostało „rannych” dwóch żołnierzy – st. szer. Witosław Boguński i gen. dyw. Rajmund Andrzejczak. Dowódcę trzeba było natychmiast ewakuować do jednego z rosomaków. „To było kompletne zaskoczenie dla moich żołnierzy. Nie wiedzieli, że będziemy ćwiczyli taki dramatyczny epizod. Chciałem sprawdzić, kto przejmie dowodzenie w takiej sytuacji i jak zachowa się nasz sanitariusz”, wyjaśnił dowódca. Ewakuacja przebiegła sprawnie, a dowodzenie przejął jeden z oficerów sztabu gen. Andrzejczaka.

To jednak nie była jedyna niespodzianka w czasie ćwiczeń. Obsługi tzw. bazowych węzłów łączności (BWŁ) w pewnym momencie zostały zdane na siebie. Ich zada-

niem było rozstawienie sprzętu w odpowiedniej odległości, tak by zapewnić stanowiskom dowodzenia łączność. Jeden z zespołów BWŁ trafił na odludzie. Żołnierze rozstawili sprzęt na polu – jak się okazało – sołtysa małej wioski w okolicach Chociwła. „Mielismy koordynaty i podążaliśmy w określone miejsce, ale nie mogliśmy dojechać, bo nastąpił odwilż i ciężarówka ugrzęzła w błocie”, mówi st. sierż. Robert Lewandowski. „Nie możemy się rozstawić gdziekolwiek. Potrzebujemy takiego miejsca, żeby zmieścił się cały system. Ono musi być na odpowiedniej wysokości, a na dodatek w okolicy, gdzie nie ma wysokich drzew i w oddaleniu od domostw”. Żołnierze zapytali właścicieli pola o pozwolenie. „Reakcja ludzi była bardzo fajna. Gospodarz nawet traktorem przeciągnął przez błoto naszą ciężarówkę”, dodaje st. kpr. Łukasz Podpora. Tylko raz ktoś ich odwiedził i zapytał, co robią. „Odpowiedzieliśmy, że mamy takie treningi. I tyle. A on nawet taśmy nie przekroczył, chociaż to jego ziemia”, mówi st. sierż. Lewandowski.

„Przyjechało wojsko i żołnierze spytali, czy mogą się rozbić”, relacjonuje pani sołtys Małgorzata Kujawska. „Oczywiście pozwoliłam, wojsko to wojsko. Są tu od kilku dni, ale jakby ich nie było. Raz poprosili syna o pomoc, kiedy ciężarówka się zakopała. Poza tym tylko agregat słychać w nocy. Wszystko jest jak trzeba. Trochę szkoda, że się nie pojawiają, bo chętnie bym ich zaprosiła na herbatę...”

„Wybieramy miejsca, które wymagają od nas dostosowania się do nowych warunków. Dzięki temu uczymy się działać w nieznanym terenie”, wyjaśnia charakter działań gen. bryg. Tomasz Piotrowski, kierujący ćwiczeniami zastępcą dowódcy 12 DZ. „Przecież żołnierze na każdym poziomie dowodzenia muszą szybko podejmować decyzje

w różnych sytuacjach. Jeśli popełniają błędy, to w ten sposób zdobywają doświadczenie. O to w tych ćwiczeniach chodzi. Wnioski zostaną później przeanalizowane i w przyszłości wykorzystane”. Manewry służyły także do rozpoznania miejsc, z których w przyszłości, w razie kryzysu, wojsko mogłoby korzystać podczas zakładania stanowiska dowodzenia czy ustawienia sprzętu łączności.

Udało się także przeciwzyć współpracy z cywilnymi systemami łączności i reagowania kryzysowego. 12 DZ sprawdziła współdziałanie np. z wojskową komendą transportu, wojewódzkim sztabem wojskowym oraz cywilnymi służbami, takimi jak policja, straż graniczna, a nawet gminne straże. Chodziło o ustalenie, jak szybko można przekazywać informacje, jak korzystać z baz danych instytucji i, co najważniejsze, jak szczelny jest system komunikacji, by w sytuacji kryzysowej przekazane informacje nie trafiły w niepowołane ręce.

PREMIERA ROCKOWEGO ROSOMAKA

Na tych ćwiczeniach pierwszy raz można było zobaczyć specjalnego rosomaka dowodzenia. W 12 Dywizji Zmechanizowanej znane jest muzyczne zamiłowanie gen. dyw. Rajmunda Andrzejczaka do ciężkiego brzmienia, więc na wozie, którym się przemieszcza, przytwierdzono dwie niewielkie tablice z napisem „R-Force One”, wykonanym czcionką zapożyczoną z logo zespołu Iron Maiden. „R” to pierwsza litera imienia generała, którą tu wykorzystano, bo Andrzejczak pod e-mailami czy esemesami podpisuje się skrótem „R6”.

Nie wiadomo, kto wpadł na taki pomysł. Żołnierze Dwunastej mówią tylko, że wyszedł on od załogi rosomaka. „A skoro dowódca nie rozkazał, by zdjąć tablice, to znaczy, że mu się spodobały”, mówi jeden z członków obsady wozu dowodzenia. Teraz „Run to the hills” czy „Speed of light” często słychać z głośników R-Force One.

Gen. Andrzejczakowi bardzo spodobał się „podrasowany” rosomak. „Moja miłość do Iron Maiden trwa już od ponad 30 lat”, mówi dowódca 12 DZ. „Zacząłem ich słuchać od albumu »Powerslave«, w czasach gdy miałem dłuższe włosy i należałem do garażowej kapeli metalowej Agresor. Po latach ten zespół był całkiem dobrze znany w moim rodzinnym mieście. Grałem utwory Iron Maiden jako basista, w roli Steva Harrisa, co było niezmiernie trudne, ale okazało się możliwe”, dodaje generał.

Podkreśla, że docenia inicjatywę załogi, bo świadczy ona o tym, że żołnierze nie traktują wszystkiego na poważnie, mają dystans do siebie i w taki sposób rozładują napięcie przed ważnymi zadaniami. „Cenię umiejętność podchodzenia do życia z przymrużeniem oka”, mówi gen. Andrzejczak. „Na co dzień robimy bardzo poważne rzeczy i taki dystans jest potrzebny”. ■



Firma Rheinmetall Defence Polska sp. z o.o.

zatrudni pracowników
w specjalnościach:

- technik obsługi
pojazdów kołowych;
- technik obsługi
pojazdów gąsienicowych;
- technik obsługi
systemów wieżowych;
- technik obsługi
modułów uzbrojenia.

Zainteresowanych prosimy o kontakt
pod numerem tel. (32) 734 52 83
lub e-mail:
katarzyna.zrubek-kunc@rheinmetall.com



Moje pierwsze wspomnienie z okrętu podwodnego? Zszedłem po trapie na pokład, prosto w gąszcz rur i zaworów”, wspomina kmdr ppor. Tomasz Witkiewicz: „Akurat czytałem wtedy »Dywan« Pratchetta. Pojawiają się tam bohaterowie mieszkający w jednopensowej monecie i stwierdzenie »Przecież ludzie, którzy żyją w metalu, nie mogą być normalni!«. A ja poczułem się trochę jak oni... Jakby ktoś wrzucił mnie w środek jakiejś pokręconej historii, pomyślałem sobie”.

WITAMY W STREFIE ZAKAZANEJ

Drogi prowadzące na okręt podwodny bywają bardzo kręte. Witkiewicz chciał zostać specjalistą od rakiet. Jako podchorąży Akademii Marynarki Wojennej napisał na ten temat pracę dyplomową. Zebrał świetne oceny. A potem przyszedł przydział: ORP „Orzeł”, dział broni podwodnej. Jak bohater Pratchetta czuł się tylko przez chwilę, bo szybko wsiąkł w ten „nienormalny” świat i trwa w nim od 19 lat. Dziś jest dowódcą ORP „Sęp”.

Na „Sępie” służy też bsm. Tomasz Orański. „W 2003 roku trafiłem do Centrum Szkolenia Marynarki Wojennej w Ustce. Spędziłem tam trzy miesiące, po czym dowie-

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

Ludzie z metalu

Wodę trzeba nieustannie oszczędzać, naturalnego światła nie ogląda się czasem przez kilkanaście dni, najtrudniejsza jest jednak monotonia: te same twarze, podobne czynności.

działem się, że mam się zameldować w Dywizjonie Okrętów Podwodnych”, wspomina. „To było trochę jak wejście do zakazanej strefy. Na trałowiec czy okręt rakietowy też nie wejdzie nikt wprost z ulicy, ale jednostki podwodne zawsze otaczała jakaś szczególna aura tajemniczości. Przynajmniej tak odczuwaliśmy to my, ludzie z zewnątrz”, opowiada. Najpierw wszedł do załogi ORP „Wilk”, nieistniejącej już jednostki typu Foxtrot. Na pytanie, za co wówczas odpowiadał, mówi ze śmiechem: „Na szczęście za nic”, śmieje się. „Starsi marynarze oprowadzali mnie po okręcie, tłumaczyli co i jak, a ja myślałem sobie: »Już

JESTEŚMY TROCHĘ JAK GÓRNICY, KTÓRZY ZJEŻ- DZAJĄ POD ZIEMIĘ I RO- BIĄ SWOJE. TAKA RUTYNA MA TEŻ DO- BRE STRONY

po mnie». Za dużo systemów, obwodów, za dużo wiedzy naraz”.

Na „Wilku” Orański służył krótko, szybko został przerzucony na kobbeny – niewielkie okręty, które w początkach XXI wieku polska marynarka dostała od Norwegii. „Rozpocząłem od ORP „Sokół” i to właśnie na tej jednostce po raz pierwszy zszedłem pod wodę”, tłumaczy. Pamięta ekscytację, ale przede wszystkim niepewność. „Na dzień dobry usłyszałem: »Nie bój się młody. Jak pier...nie, to tak, że nawet kombinezonu nie zdążysz włożyć«. Żarty takie...”, wspomina.

Swoją historią chyba wszystkich przebija jednak Łukasz Dettlaff.

W dywizjonie pojawił się dwa lata temu. „Ja to proszę pana sporo pływałem. Dobrze poznałem na przykład wschodnie wybrzeże Afryki...”, zaczyna. „Jak to?! Chyba nie na pokładzie okrętu podwodnego?”, pytam zdziwiony. „No, nie... Ukończyłem Akademię Morską. Mam dyplom oficerski żeglugi handlowej”.

Na statkach pracował przez kilka lat. A potem postanowił zmienić swoje życie o 180 stopni. Jak mówi: „z powodów wyłącznie osobistych”. Dettlaff wstąpił do Narodowych Sił Rezerwowych, przeszedł szkolenie i nie wiedział, co dalej robić. „Chciałem dostać się do marynarki, ale nie bardzo wiedziałem, jak to zrobić. Miałem zapisane trochę telefonów. Pierwszy był do oficera dyżurnego w Dywizjonie Okrętów Podwodnych”, wspomina. Chwytał więc za słuchawkę, wystukał numer, wyjaśnił, w czym rzecz i usłyszał: „Złóż dokumenty i czekaj”. Po jakimś czasie się doczekał. W ten sposób blisko dwumetrowy dryblas zamienił oficerski etat w cywilu na pierwszy szczebel w wojskowej hierarchii, a przestronną kabinę na statku, na 20 m² pokładu dzielonego z prawie trzydziestką innych marynarzy.

DZIEWIEĆ LITRÓW NA GŁOWĘ

„Kiedyś zawinęliśmy do Szkocji. Idziemy przez port, a jeden z brytyjskich oficerów rzuca do nas: »O, zapach okrętu podwodnego«. Rozpoznał bezbłędnie”, wspomina kmr ppor. Witkiewicz i dodaje, że w języku angielskim jest nawet na to specjalne określenie: „smell of diesel submarine”. To, jak mówią marynarze, specyficzna mieszanka spalin, smarów i potu. „Mówiąc wprost: załoga okrętu podwodnego po rejsie zawsze musi trochę śmierdzieć”, przyznaje dowódca ORP „Sęp”. Kobbeny mogą zabrać na pokład 5 t wody. Załoga każdego z okrętów liczy 25 ofice-

rów, podoficerów i marynarzy. Wypada więc 200 l na głowę. W przypadku trzytygodniowego rejsu – średnio 9,5 l dziennie: na przygotowywanie posiłków, zmywanie, mycie. Rachunek jednak nie jest aż tak prosty. Kucharze na przykład muszą kąpać się codziennie. Podobnie motorzyści, którzy pracują przy silnikach. Zapasy wody na bieżąco kontroluje okrętowy mechanik. I on zwykle raz na tydzień pozwala marynarzom wziąć prysznic. Trudno to jednak porównać z kąpielą na lądzie. Największy polski okręt podwodny ORP „Orzeł” zbiorniki ma oczywiście odpowiednio większe, ale też znacznie liczniejsza jest załoga (li-

czy 61 osób), poza tym jednostka może dłużej pozostawać w morzu. Tak więc proporcje się wyrównują.

Najbardziej dokuczliwie, jak zgodnie powtarzają podwodniacy, są jednak ograniczona przestrzeń i powtarzalność czynności. Na „Orle” można jeszcze mieć namiastkę prywatności – okręt ma dwa pokłady, sześć przedziałów, a marynarze schodzący z wachty mogą się położyć we własnej koi. W kobbenach jest to już niemożliwe. „Czy to wachta, czy czas wolny, człowiek pozostaje w tym samym pomieszczeniu”, przyznaje bsm. Orański. Odizolować się można przez zaciągnięcie zasłonki w swojej koi. Choć przymiotnik „swojej” też jest nie do końca precyzyjny. „Miejsc do spania jest mniej niż członków załogi, więc musimy się zmieniać. Zajmują je ci, którzy akurat nie mają wachty. Dlatego mówimy, że mamy »gorące koje«”, tłumaczy Orański.

W czasie wolnym można czytać, wspólnie obejrzeć film, do rangi rozrywki urastają też posiłki. Dlatego kucharz odgrywa tu kluczową rolę. Oczywiście jemu też nie jest łatwo, bo zapasy świeżej żywności szybko się kończą i posiłki zaczynają stawać się monotonne. W ten schemat wpisuje się też sama służba. „Jesteśmy trochę jak górnicy, którzy zjeżdżają pod ziemię i robią swoje. Taka rutyna ma też dobre strony, bo marynarz musi wyrobić w sobie pewne nawyki i automatyzm działania, by w sytuacji kryzysowej szybko zareagować. Rutyna jednak potrafi być zgubna, dlatego nie można wyłączać myślenia”, podkreśla kmr ppor. Witkiewicz.

Bsm. Orański i mar. Dettlaff służą w dziale VI, który odpowiada za silniki i zespoły napędowe. „Uruchomienie mechanizmów i nadzór nad ich pracą nie są skomplikowane. Schody zaczynają się, kiedy okręt staje na chrapach”, przyznaje Dettlaff. Jednostka wychodzi wówczas na głę- ➔

bokość peryskopową i wystawia na powierzchnię przewody doprowadzające powietrze. Dzięki temu może pracować spalinyowy silnik, który z kolei ładuje generator. „W tym momencie jednak okręt zostaje w dwóch miejscach rozszczelniony. Trzeba bardzo pilnować, by do wnętrza nie dostała się woda, która mogłaby zalać i unieruchomić silnik”, tłumaczy mar. Dettlaff.

Wachta, służba, czas wolny. Podobne czynności, te same twarze. Kmdr ppor. Witkiewicz: „Przy dłuższym wyścigu w morze robi się z tego dzień świstaka. Zwłaszcza jeśli kilkanaście dni spędzamy w zanurzeniu i nie można wyjść choćby na kiosk, by zobaczyć naturalne światło, pooddychać świeżym powietrzem. Marynarze powtarzają czasem, że pod koniec rejsu na pokładzie trzeba chować noże i widelce, żeby ludzie się nie pozabijali. U nas mimo wszystkich niedogodności, aż tak źle naprawdę nie jest”.

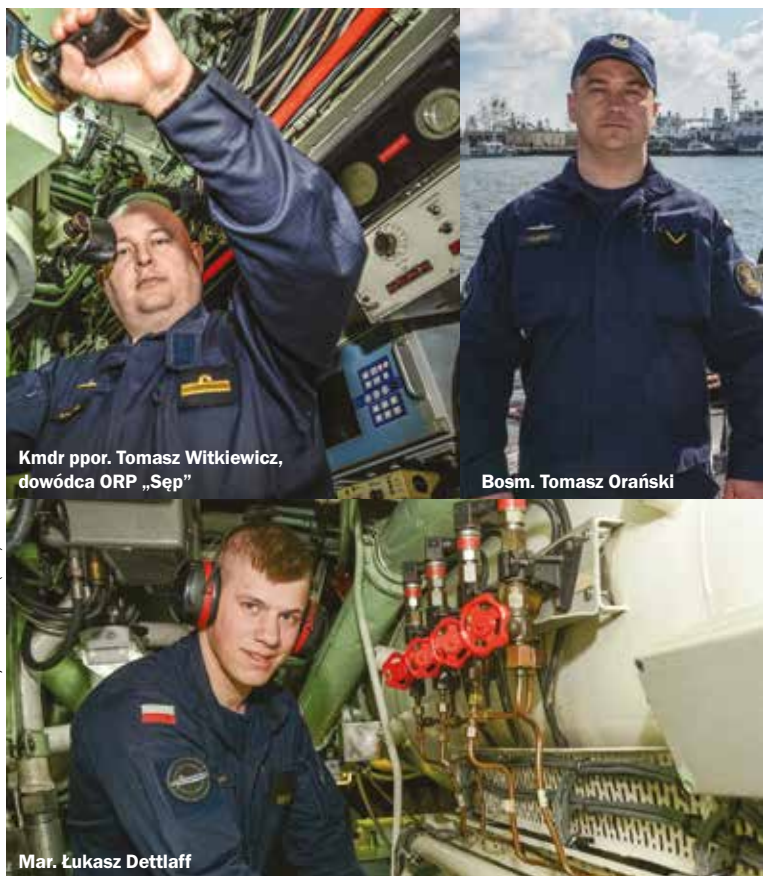
PRZEMYTNIICY I DELFINY

„Na okręt podwodny nikt nie trafia przypadkowo. Trzeba mieć końskie zdrowie, ale też mocną psychikę. Ludzie muszą się ze sobą dogadywać. Od tego zależy bezpieczeństwo okrętu, a co za tym idzie, ich samych” – podkreśla kmdr ppor. Witkiewicz. Na pokładzie, jak to w wojsku, wymagana jest dyscyplina, ale panujące tutaj stosunki są specyficzne. „Oficerowie i podoficerowie mówią do siebie po imieniu. W załogach są marynarze, którzy służą dłużej niż oficerowie. Często stopnie widoczne są tylko w pensji”, przyznaje dowódca ORP „Sęp”.

Duże znaczenie mają też dystans do rzeczywistości i poczucie humoru. Służba na okręcie podwodnym to także dziesiątki historii i anegdot. „Každy kto po raz pierwszy schodzi na okręcie pod powierzchnię morza, musi przejść chrzest. Zgodnie ze zwyczajem pije wodę z głębokości, na której się znalazł. Kiedyś mieliśmy marynarza, który bardzo się opierał. Nie posłuchał nawet rozkazu dowódcy. A kiedy został przyparty do muru, przyznał: »Nie wypiję tego, bo jestem abstynentem!«”, opowiada kmdr ppor. Witkiewicz.

Była też historia z prezydentem Estonii. „Kiedy jeszcze służyłem na ORP »Orzeł«, poszliśmy do Tallina. Tam w porcie miał nas powitać prezydent, który okazał się postacią dość ekscentryczną. Liczący metr dziewięćdziesiąt literat, w luźnej marynarce zaczął do nas przemawiać po estońsku. W odpowiednim momencie mieliśmy krzyknąć: »Czołem, panie prezydencie!«. Tyle że on mówił i mówił, a my lekko przysnęliśmy. Rękę na pulsie trzymał jedynie pewien komandor, który nie należał do załogi. Kiedy z ust prezydenta padło słowo »Tallin«, wykrzyczał powitalną formułkę. Sam”, wspomina oficer.

Wyjścia w morze to jednak przede wszystkim ciężka praca. Setki godzin ćwiczeń, działań na misjach, czasem



Kmdr ppor. Tomasz Witkiewicz,
dowódca ORP „Sęp”

Bosm. Tomasz Orański

Mar. Łukasz Dettlaff

PIOTR LEONIAK / 3 FO (3)

dramatycznych zwrotów akcji. Kmdr ppor. Witkiewicz wspomina manewry „Bold Monarch”, w których brał udział jako zastępca dowódcy ORP „Sęp”. Odbływały się one u wybrzeży Norwegii. Chodziło o niesienie pomocy załogom okrętów podwodnych. „Kłódlimy okręt na dnie i czekaliśmy na ewakuacyjne pojazdy podwodne, które się do nas podłączały”, opowiada.

Witkiewicz brał też udział w antyterrorystycznej operacji „Active Endeavour”. Okręty NATO monitorowały wtedy szlaki żeglugowe na Morzu Śródziemnym. „Zostałem wówczas oddelegowany do natowskiego dowództwa w Neapolu. Na morzu operował jeden z naszych kobbenów. W sumie ORP »Bielik« i ORP »Kondor« wzięły udział kolejno w czterech misjach. Na pokładzie jednego z okrętów służył bsm Orański”, wspomina. „Wyjścia trwały po dwa, trzy tygodnie. Cały ten czas spędzaliśmy w zanurzeniu. Namierzaliśmy i śledziliśmy jednostki wskazane przez Neapol, a dane o nich przekazywaliśmy naszym okrętom”, wspomina. Misję zapamiętał też z innego powodu. „Pewnego razu niedaleko okrętu pojawiały się delfiny. Mogliśmy je obserwować przez peryskopy”, opowiada.

ODROBINA HISTORII

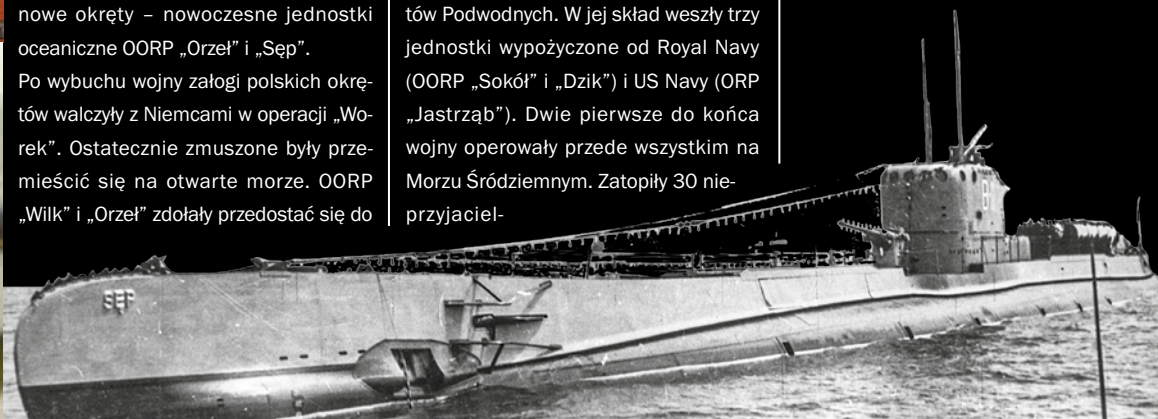
DYWIZJON OKRĘTÓW PODWODNYCH ŚWIĘTUJE 85-LECIE POWSTANIA.

Jego historia rozpoczyna się 1 maja 1932 roku. Wówczas to w Marynarce Wojennej RP został utworzony Dywizjon Łodzi Podwodnych. W jego skład weszły trzy okręty typu Wilk – OORP „Wilk”, „Ryś” i „Żbik” – oraz jednostki nawodne: torpedowiec ORP „Kujawiak”, który kolejno pełnił funkcje szkoleniowe, okrętu-bazy, wreszcie okrętu-celu, i dwa hulki OORP „Lwów” i „Sławomir Czerwiński”. Cztery lata później zmieniła się nazwa dywizjonu („Łódzie” zostały zastąpione „okrętami”), a tuż przed wojną dostał on nowe okręty – nowoczesne jednostki oceaniczne OORP „Orzeł” i „Sęp”.

Po wybuchu wojny załogi polskich okrętów walczyły z Niemcami w operacji „Worek”. Ostatecznie zmuszone były przenieść się na otwarte morze. OORP „Wilk” i „Orzeł” zdołały przedostać się do

Wielkiej Brytanii, a pozostałe trzy jednostki zostały internowane w Szwecji. ORP „Orzeł” patrolował potem Morze Północne, zatopił też niemiecki transportowiec „Rio de Janeiro”. Wiosną 1940 roku w tajemniczych okolicznościach poszedł na dno. Z kolei ORP „Wilk” podczas rejsów patrolowych na Morzu Północnym został kilka razy uszkodzony przez niemieckie lotnictwo. Do końca wojny służył jako jednostka szkoleniowa. W 1941 roku polscy marynarze rozpoczęli służbę w Grupie Okrętów Podwodnych. W jej skład weszły trzy jednostki wypożyczone od Royal Navy (OORP „Sokół” i „Dzik”) i US Navy (ORP „Jastrząb”). Dwie pierwsze do końca wojny operowały przede wszystkim na Morzu Śródziemnym. Zatopiły 30 nieprzyjaciel-

skich jednostek różnego typu. Historia „Jastrzębia” była niestety krótka. Został zatopiony podczas pierwszego wyjścia w morze. Dywizjon Okrętów Podwodnych odtworzono w grudniu 1945 roku. Jego podstawę stanowiły okręty, które wróciły z internowania w Szwecji. Potem przez lata zmieniał się sprzęt i nazwy jednostek. Dziś dywizjon korzysta z pięciu okrętów: czterech podarowanych przez Norwegię kobbenów (OORP „Sęp”, „Bielik”, „Sokół” i „Kondor”), a także okrętu typu Kilo – ORP „Orzeł”.



Kmdr ppor. Witkiewicz przyznaje, że wtedy obeszło się bez większych komplikacji. Chwile niepewności przeżył za to wcześniej, na Oceanie Atlantyckim. „Był rok 2001, a ja służyłem w załodze ORP »Orzeł«, wspomina kmdr ppor. Witkiewicz. „Braliśmy udział w międzynarodowych ćwiczeniach KEFTACEX organizowanych przez USA. Kiedy przechodziliśmy ze Szkocji do Islandii dostaliśmy informację, by natychmiast przerwać zadanie i kierować się do Reykjavíku. Tam usłyszeliśmy, że Nowy Jork został zaatakowany i jest 50 tys. ofiar. Pierwsza myśl – broń jądrowa. Z czasem zaczęło do nas docierać coraz więcej informacji. Usłyszeliśmy, że celem ataku były wieżowce World Trade Center i Pentagon, że jednak zginęło mniej ludzi”.

CZEKAJĄC NA OKRĘTY

Od tamtych chwil upłynęło sporo czasu. „Dzięki członkostwu w NATO wiele się nauczyliśmy. Przez lata zmienił się też stosunek

sojuszników do nas. Kiedyś Polska wydawała im się krajem niemal egzotycznym, teraz traktują nas jak partnerów”, przyznaje kmdr ppor. Witkiewicz. Niestety, jest i druga strona medalu. „W 2001 roku braliśmy udział w obchodach stulecia brytyjskich sił podwodnych. Nasz »Orzeł« zacumował obok wiekowej jednostki z Portugalii OP »Delfim«, a ja zastanawiałem się, jak to jest służyć na tak starym okręcie, bo nasz był jeszcze stosunkowo młody. Dziś sytuacja się odwróciła”, przyznaje.

W Dywizjonie Okrętów Podwodnych jest pięć jednostek. Najmłodsza ma blisko 30 lat. „Oczywiście wszystkie przechodziły modernizacje, nadal wychodzą w morze i wykonują swoje zadania, ale nie ma co ukrywać: z niecierpliwością czekamy na nowe okręty”, zaznacza kmdr Sławomir Wiśniewski, dowódca dywizjonu. Zaraz jednak dodaje, że w przyszłość spogląda z optymizmem. „Myślę, że przed nami jeszcze sporo dobrych lat”.

MAGDALENA MIERNICKA

Z kamerą na froncie

Jedni zamierzają wyjechać w rejon konfliktu zbrojnego, inni są weteranami dziennikarstwa wojennego. Wszyscy jednak uczyli się współpracować z żołnierzami tak, by nie stwarzać zagrożenia ani dla nich, ani dla siebie.

Program tego szkolenia jest owiany tajemnicą. Wiadomo jedynie, że zajęcia odbywają się głównie „w terenie” i uwzględniają „pełne spektrum sytuacji taktycznych”. Obowiązkowymi elementami wyposażenia są hełm i kamizelka kuloodporna. Co zatem czeka dziennikarzy, którzy zdecydują się na udział w kursie przygotowującym do pracy w rejonie objętym konfliktem zbrojnym?

Duże wrażenie robi już samo miejsce zakwaterowania uczestników. Do złudzenia przypomina bazy, w których stacjonują żołnierze na misjach – są tam m.in. schron i stanowiska ogniowe, a całość jest otoczona drutem kolczastym. Samo szkolenie natomiast zaczyna się spokojnie. Po kilku godzinach wykładów dziennikarze wiedzą, co zabrać ze sobą na front, jak zachować się w nieznanym terenie oraz jakich sytuacji unikać, aby nie wplątać się w kłopoty. Później jednak przychodzi czas na praktykę. Pod okiem żołnierzy z 21 Brygady Strzelców Podhalańskich uczestnicy uczą się poruszać w wojskowym patrolu, przeprowadzać ewakuację spod ostrzału i udzielać pomocy rannym. Nie brakuje też zadań związanych z pracą reportera. Aby zaliczyć ten punkt programu, nie wystarczy jednak wykazać się doskonałą znajomością dziennikarskiego rzemiosła. Tu liczą się także wiedza i spryt, bo instruktorzy zadbali o to, aby kursanci pracowali w jak najmniej komfortowych warunkach. Nawet w bazie nie można zaznać spokoju. Nigdy nie wiadomo, w którym momencie zacznie się ostrzał.



Wówczas każdy musi włożyć hełm, kamizelkę i jak najszybciej pobiec do schronu. Przy czym te symulacje najczęściej odbywają się w nocy. Punktem kulminacyjnym szkolenia jest budowa obozowiska – każdy z uczestników musi samodzielnie, nocą w lesie przygotować sobie schronienie, rozpalić ognisko i zdobyć wodę. To jednak nie wszystko, bo przed snem każdego czeka kilkugodzinny marsz po lesie w strugach deszczu. Czy może być gorzej?

Okazuje się, że tak. Kiedy reporterzy po ciężkiej nocy stawiają się w bazie, marzą tylko o gorącym prysznicu i śniadaniu. Tyle że instruktorzy zarządzają odprawę. To nie koniec niespodzianek, bo nagle na teren bazy wkraczają terroryści. Wszyscy dziennikarze zostają obezwładnieni, wrzuceni do samochodów i wywiezieni w nieznanym kierunku. Mają skute dłonie, a na głowach worki. I tak są zdezorientowani, a jeszcze słyszą krzyki i strzały.

BEZCENNE DOŚWIADCZENIA

Na tegoroczną edycję kursu stawilo się 15 dziennikarzy. Wśród nich reporterzy i operatorzy z Telewizji Polskiej, TVN-u, „Gazety Polskiej”, Wirtualnej Polski, Onetu, Telewizji Republika oraz „Polski Zbrojnej”. Każdy z nich z bagażem różnych doświadczeń oraz planami na przyszłość. „Praca korespondenta wojennego zawsze była moim marzeniem. Zgłosiłam się na to szkolenie, bo chciałam się dowiedzieć, jak zachowywać się w strefie konfliktu i poznać zasady współpracy z żołnierzami na misji”.



TU NIE MA LITOŚCI – KAŻDE SŁOWO WYPOWIEDZIANE PRZEZ REPORTERA MOŻE BYĆ JEGO OSTATNIM

PIOTR APOLINARSKI

mówi Małgosia Krakowska, współpracująca z „Gazeta Polska” i portalem Niezależna.pl.

„Planuję wyjazd w rejon objęty konfliktem zbrojnym. Wiedza i umiejętności zdobyte na kursie mogą okazać się niezbędne do tego, aby cało wrócić do domu. Poza tym z pewnością mam teraz większą świadomość, jak współpracować z Wojskiem Polskim na misjach zagranicznych, aby nie stwarzać dodatkowego zagrożenia zarówno dla siebie, jak i dla żołnierzy”, dodaje Łukasz Gniewkowski, operator kamery z TVN-u.

Wśród kursantów nie zabrakło też prawdziwych weteranów dziennikarstwa wojennego. Po co przyjechali do Kielc, skoro mają duże doświadczenie w pracy na froncie? Bianka Zalewska, reporterka Dzień Dobry TVN i Espresso TV, relacjonowała już wydarzenia z linii frontu na Ukrainie, w Syrii i Iraku. „Na żadnej z wojen, na których byłam, nie było polskiego kontyngentu wojskowego. W Syrii przygotowywałam co prawda materiał o batalionach kobiecych walczących z Państwem Islamskim, towarzyszyłam też żołnierzom na Ukrainie. Żadne z tych wojsk nie działa jednak w taki sposób jak regularna, dobrze wyszkolona armia NATO. Przyjechałam na kurs, aby nauczyć się z nią

współpracować, bo w swoich materiałach chciałabym też pokazać pracę polskich żołnierzy”, mówi.

Podobną motywacją kierował się Marcin Fonfara, operator kamery Telewizji Republika, który przez trzy lata regularnie pokazywał to, co dzieje się na Ukrainie. „Nigdy nie byłem na misji z Wojskiem Polskim, a chciałbym pokazać, czym zajmują się nasi chłopacy poza granicami kraju. Przyjechałem do Kielc, żeby dowiedzieć się, jak działać, aby im nie przeszkadzać w pracy”, podkreśla.

W krótkim czasie kursanci musieli przyswoić sporą dawkę informacji, na dodatek raczej w mało komfortowych warunkach. W tym szkoleniu jednak o to chodziło i przyniosło efekty. „Duże wrażenie zrobiły na mnie zajęcia praktyczne, szczególnie te pokazujące kulturę i religię państw, w których stacjonują nasze kontyngenty. Muszę też się przyznać, że po raz pierwszy miałam okazję maszerować na azymut. W lesie zawsze byłam z żołnierzami i polegałam na nich. Nie zastanawiałam się nigdy nad tym, co by się stało, gdybym się zgubiła”, mówi Bianka Zalewska.

„Najciekawszym elementem kursu było dla mnie symulowane porwanie. Chociaż to były tylko ćwiczenia, dużo dowiedziałem się o samym sobie”, mówi Łukasz Gniewkowski. Wtórzy mu Marcin Fonfara. „Byłem już pod ostrzałem, ale nigdy nie znalazłem się w sytuacji zakładniczej. Kiedy ma się zasłonięte oczy, a życie zależy od kilku uzbrojonych facetów, naprawdę można się przekonać, gdzie znajduje się granica naszej wytrzymałości. To było bezcenne doświadczenie, ale mam nadzieję, że nigdy taka sytuacja nie wydarzy się naprawdę”.

POD OPIEKĄ ŻOŁNIERZY

Kurs przygotowujący dziennikarzy do pracy w strefie działań objętych konfliktem zbrojnym od dziewięciu lat przygotowują Centrum Operacyjne MON i Centrum Przygotowań do Misji Zagranicznych. Szkolenia odbywają się dwa razy w roku, a ich program jest cały czas modyfikowany. Wszystkie zajęcia prowadzą instruktorzy, którzy sami wielokrotnie brali udział w wojskowych operacjach poza granicami kraju.

„Celem szkolenia jest przygotowanie dziennikarzy do współpracy z żołnierzami w rejonach misji. Wszystkie elementy kursu – przetrwanie czy zasady udzielania pierwszej pomocy, są zaczerpnięte ze szkolenia wojskowego”, mówi kpt. Robert Rząca, dyrektor kursu z kieleckiego CPdMZ. „Uczymy korespondentów, jak przetrwać w obcym terenie, kiedy z jakichś powodów odłączą się od grupy, oraz co robić, jeśli dostaną się w ręce przeciwnika. Oczywiście wojsko dba o bezpieczeństwo korespondentów, ale na froncie wszystko się może wydarzyć. Trzeba być na to przygotowanym”.

KADR

/ LOTNICTWO



W szkoleniu Aviation Detachment wzięły udział załogi polskich i amerykańskich herculesów.

KRZYSZTOF KUSKA

TANIEC LOADMASTERÓW

Lot herculesem to niezapomniana przygoda i okazja do podglądania pracy załogi w czasie desantowania ładunku.



PIOTR ŁYSAKOWSKI





W SAMOLOTACH KRÓLUJĄ PILOCI, ALE W MASZYNACH TRANSPORTOWYCH WŁADZĄ DZIELĄ SIĘ Z LOADMASTERAMI

W trakcie sojuszniczych ćwiczeń „Aviation Detachment” miałem okazję zobaczyć, na czym polega służba loadmasterów, czyli żołnierzy odpowiedzialnych za to, co dzieje się w przedziale ładunkowym.

Jeszcze przed startem C-130E, zaraz po zamknięciu drzwi maszyny zaczyna się „taniec” tych specjalistów, czyli harmonijna praca ludzi, którzy szybko, sprawnie, płynnie i bez zbędnych ruchów wykonują swoje obowiązki zgodnie z obowiązującymi procedurami. Najważniejsze na tym etapie jest upewnienie się, że wszystko zostało dobrze przymocowane, pasy dociągnięte, a każda klamra sprawdzona mocnym szarpnięciem. W sytuacji awaryjnej lub choćby w czasie silnych turbulencji luźne przedmioty mogą bowiem stanowić zagrożenie. Następnie kolej na kontrolę pasażerów i ich bagażu.

Po uzyskaniu zgody z wieży kontroli lotów – startujemy. To jest zupełnie inne doświadczenie niż w samolotach cywilnych. Na kimś, kto pierwszy raz leci maszyną wojskową, może robić wielkie wrażenie. Tymczasem loadmasterzy jakby nie zarejestrowali samego startu – na ich twarzach malują się spokój i skupienie. Podczas wznoszenia na wysokość przelotową

mam okazję przyjrzeć się wnętrzu C-130E. Dopiero teraz zwróciłem uwagę na liczbę zaczepów, klamer, punktów mocowań i innych rozwiązań, dzięki którym loadmasterzy mogą maksymalnie efektywnie wykorzystać przestrzeń ładunkową C-130.

Po dłuższej chwili żołnierze jakby ożywają i znów zaczynają spokojnie, metodycznie przygotowywać się do kolejnego etapu ćwiczeń – zrzutu tary desantowej. Będzie otwierana rampa, więc sprawdzają uprząże. Widzę czerwone światła sygnalizacyjne, słyszę chrzęst mechanizmu otwierania rampy i moim oczom ukazuje się... drugi C-130. Lecimy bowiem w formacji. Polska maszyna prowadzi, a tuż za nią, po prawej stronie, majestatycznie przemieszcza się C-130H, należący do 166th Airlift Wing z Delaware Air National Guard. Po chwili mamy zielone światło. Widać, jak nasz C-130 i ten z tyłu zadzierają delikatnie dziób, by umożliwić swobodne wypadnięcie przewożonego ładunku. Dzięki takiej konfiguracji i rolkom na pokładzie grawitacja robi swoje... Wkrótce rampa zostaje zamknięta, czyli koniec pierwszego etapu ćwiczenia. ■

Dr KRZYSZTOF KUSKA jest ekspertem zajmującym się lotnictwem wojskowym.



WE WNĘTRZU
C-130E UWAGĘ
ZWRACA
MNOGOŚĆ
ZACZEPÓW
I KLAMER
DO MOCOWANIA
ŁADUNKU

PIOTR ŁYSAKOWSKI (4)



ELITARNA SŁUŻBA

W Polsce mamy zaledwie 13 certyfikowanych loadmasterów na pięć samolotów C-130. Wszyscy swoje szlify zdobywali w Stanach Zjednoczonych. Podczas lotu w samolocie transportowym zawsze powinien się znajdować jeden loadmaster, ale w wypadku przeprowadzania zrzutów, transportu ładunków lub lotów w strefę działań wojennych konieczna jest dwójka.



TRZEBA MIEĆ ZA SOBĄ PÓŁ ROKU PRACY PRZY OBSŁUDZE SAMOŁOTU C-130, BY APLIKOWAĆ NA **STANOWISKO LOADMASTERA**

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Przysięga zobowiązuje

**To był strzał w dziesiątkę – cykl spotkań
w jednostkach wojskowych, które wysyłały
na misje najwięcej żołnierzy.**

Jestem przekonany, że osobiste spotkania z weteranami są najskuteczniejszą formą pozwalającą w pełni dotrzeć do tego środowiska i poznać problemy, o których nie każdy chce opowiadać przez telefon lub za pośrednictwem poczty elektronicznej”, pisał kilka miesięcy temu płk Leszek Stępień, dyrektor Centrum Weterana Działań poza Granicami Państwa, w liście do dowódcy generalnego rodzajów sił zbrojnych. Okazuje się, że taki kontakt jest konieczny, bo choć na temat ustawy o weteranach (obowiązuje od marca 2012 roku) napisano już chyba wszystko, to niektórzy żołnierze nadal nie wiedzą, jak wystąpić o nadanie statusu weterana.

KIERUNEK GARNIZON

Pełnomocnik dowódcy generalnego rodzajów sił zbrojnych do spraw weteranów i poszkodowanych płk Janusz Zajac oraz kierownik zespołu wsparcia w Centrum Weterana Marek Rzdokiewicz pod koniec marca 2017 roku odwiedzili 11 Dywizję Kawalerii Pancernej. W Żaganiu stacjonuje 34 Brygada Kawalerii Pancernej. Kilkanaście kilometrów dalej, w Świętoszowie, ma siedzibę 10 Brygada Kawalerii Pancernej, a w odległym o ponad 100 km Międzyrzeczu – 17 Brygada Zmechanizowana. W tych garnizonach spotykali się z weteranami, weteranami poszkodowanymi, żołnierzami rannymi na poligonach w kraju oraz ich opiekunami. Większość została ranna na misji w Afganistanie lub w Iraku, dziś mają status weterana poszkodowanego i pracują lub służą.

Czarna Dywizja wysyłała swoich żołnierzy niemal na wszystkie zmiany PKW do Iraku i Afganistanu, a niektórzy brali udział w misjach kilka razy. Samodzielnym referentem do spraw pomocy weteranom poszkodowanym i rodzinom poległych jest tam Krzysztof Gradys (poprzednio pełnomocnik dowódcy wojsk lądowych do

spraw poszkodowanych w misjach). Ma pod opieką 120 weteranów poszkodowanych oraz sześć rodzin poległych żołnierzy. Od niedawna wspomaga go dwóch etatowych opiekunów – w Świętoszowie (10 Brygada Kawalerii Pancernej) i w Międzyrzeczu (17 Brygada Zmechanizowana), a także nieetatowi opiekunowie indywidualni. Jednym z nich jest Katarzyna Bałut, która w 34 Brygadzie Kawalerii Pancernej pracuje od 15 lat i bardzo dobrze zna swoich podopiecznych.

„Chcemy wsłuchać się w wasz głos. W Warszawie czytamy raporty, ale w nich nie widać każdego żołnierza. A niektóre sprawy wymagają indywidualnego podejścia”, powtarzał na spotkaniach z weteranami w kolejnych garnizonach płk Zajac i opowiadał, jak funkcjonuje system pomocy. „Chodzi nam o to, aby był on bardziej efektywny”, podkreślał. Marek Rzdokiewicz (sam ranny w 2004 roku w Iraku, więc problemy poszkodowanych zna z autopsji) opowiadał o integracyjnej roli Centrum Weterana: „Nie możemy wam bezpośrednio przyznać pomocy ani rozwiązać waszych problemów, ale możemy wskazać drogę, żebyście mogli sobie z nimi poradzić”.

Gdy Marek Rzdokiewicz pytał: „kto był na misji?”, podnosił się las rąk. Po kolejnym pytaniu: „kto ma legitymację weterana?”, zgłosiło się zaledwie kilkanaście osób. „Nie macie legitymacji, więc nie obejmują was przepisy ustawy”, tłumaczył i zachęcał, aby złożyć do Ministerstwa Obrony Narodowej niezbędne dokumenty: wniosek





W 11 DYWIZJI KAWALERII PANCERNEJ

NA STANOWISKACH Z/O SŁUŻY **13** ŻOŁ- NIERZY POSZKODO- WANYCH W MISJACH I NA POLIGONIE

o nadanie statusu weterana, wyciąg z rejestru karnego i zaświadczenie o pobycie na misji.

ZANIŻONA OCENA

Przedstawiciele DGRSZ i Centrum Weterana w Czarnej Dywizji wcześniej odwiedzili 16 Dywizję Zmechanizowaną i planują kolejne takie wizyty. Już teraz widać, że w jednostkach, zarówno na północy kraju, jak i na południowym zachodzie, poszkodowani żołnierze mają podobne problemy. Jednym z nich jest zaliczenie sprawdzianu z wychowania fizycznego. Jeżeli ktoś dostanie trójkę, dowódca zaniża jego ocenę w rocznej opinii. Obecne zapisy jednak praktycznie uniemożliwiają zdanie tego egzaminu przez ciężiej poszkodowanych, co sprawia, że są oni pomijani podczas przyznawania nagród oraz nie mają szans na skierowanie do szkoły podoficerskiej. „Ja 20 lat temu złożyłem ślubowanie, a przysięga zobowiązuje”, mówi mł. chor. Andrzej Sinkiewicz z 10 Brygady Kawalerii Pancernej. Takich jak



Płk Janusz Zając,
pełnomocnik do-
wódcy generalnego
rodzajów sił zbroj-
nych do spraw
weteranów i po-
szkodowanych

PAMIĘCI POLEGŁYCH

Tradycją podczas wyjazdów przedstawicieli Centrum Weterana i Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych do jednostek wojskowych, które wysyłały żołnierzy na misje, jest odwiedzanie rodzin poległych żołnierzy. Tak było i tym razem. W Sulechowie przedstawiciele DGRSZ i Centrum Weterana spotkali się z bliskimi kpr. Huberta Kowalewskiego, żołnierza 10 Brygady Kawalerii Pancernej ze Świątoszowa, który w 2008 roku zginął na misji w Afganistanie. Rodzicom – Ewie i Wacławowi Kowalewskim – wręczyli okolicznościowy długopis wykonany przez jedną z amerykańskich firm, które upamiętniają każdego żołnierza poległego na misji.

on, którzy mimo odniesionych ran nie zamierzają się rozstać z armią, lecz chcą podnosić kwalifikacje i awansować, jest wielu.

Jak twierdzi płk Gradys, ważna jest również zmiana mentalności niektórych przełożonych. Zdarza się, że żołnierze, którzy wymagają długiej rehabilitacji i często przebywają na zwolnieniu, są traktowani jak bumelanci, uważa się, że unikają wykonywania obowiązków służbowych. Bywa, że dowódca uznaje żołnierza za niedyspozycyjnego i obniża mu ocenę w rocznym opiniowaniu. „Taki krok ma znaczące skutki służbowe, ale przede wszystkim jest bardzo niesprawiedliwy”, uważa Krzysztof Gradys.

„Czasem trudno jest pogodzić rehabilitację z pracą”, przyznaje mł. chor. Andrzej Sinkiewicz z 10 Brygady Kawalerii Pancernej (jest starszym instruktorem w Ośrodku Szkolenia „Leopard” w Świątoszowie). W 2010 roku na misji w Afganistanie grupa talibów zaatakowała jego patrol. „Podczas wymiany ognia dostałem z RPG”, wspomina. Komisja uznała, że ma 69% uszczerbku na zdrowiu – uszkodzony kręgosłup, poważne rany prawej ręki do dziś wymagają systematycznej rehabilitacji.

Żołnierzem poszkodowanym jest także st. szer. Tomasz Oziembłowski z 34 Brygady Kawalerii Pancernej, ale rany został (złamany kręgosłup) na poligonie w kraju, gdy doszło do kolizji rosomaka z czołgiem. Chce dalej służyć, zwraca jednak uwagę na to, że choć ma podobne problemy ze zdrowiem jak żołnierze ranni na misji, to nie ma ta- ➔

kich uprawnień przy korzystaniu z rehabilitacji.

Szef sztabu w 10 Brygadzie Kawalerii Pancernej ppłk Bogdan Rycerski był na misji, dlatego zna problemy weteranów poszkodowanych i rozumie, że chcą dalej służyć mimo odniesionych ran. „Boksuje się o każdego”, mówi i zdradza, że nie obniża oceny w opiniowaniu, gdy żołnierz zatrudniony na stanowisku o kategorii z/o [zdolny z ograniczeniami] zda egzamin z wychowania fizycznego na dostateczny. „Nieco inaczej wygląda sytuacja w wypadku nagród”, tłumaczy. Długie zwolnienie wyklucza weterana poszkodowanego z grona żołnierzy, którzy je dostają. Płk Rycerski przyznaje, że takiego podejścia nie regulują przepisy, ale nagradza się głównie bardziej zaangażowanych żołnierzy, którzy wyjeżdżali na poligony.

SZANSA NA AWANS

Z rozmów z żołnierzami wynika, że sprawdził się system stanowisk dla poszkodowanych z kategorią zdrowia „zdolny z ograniczeniem”, choć zasady orzekania jej przez wojskowe komisje lekarskie są dość rygorystyczne. W 11 Dywizji Kawalerii Pancernej 13 żołnierzy poszkodowanych w zagranicznych misjach lub na poligonach w kraju służy na takich stanowiskach (w całym kraju jest ich 78). Cieszą się oni z możliwości dalszego rozwoju służbowego – kursy podoficerskie ze specjalnym programem szkolenia dostosowanym do osób niepełnosprawnych otwierają im perspektywę objęcia stanowisk podoficerskich na specjalnie stworzonych etatach.

Zadowolony, że dostał taką szansę na awans, jest kpr. Paweł Szewczuk z 34 Brygady Kawalerii Pancernej. W 2016 roku ukończył kurs podoficerski i służy na stanowisku z/o w sekcji WF-u i sportu. Podczas XIV zmiany w Afganistanie jego patrol został ostrzelany. Wtedy żołnierz tak nieszczęśliwie zeskoczył z MRAP-a, że zerwał ścięgno Achillesa i mięsień piersiowy, który nie został wówczas zszyty. Zrosty i blizny sprawiły, że dziś operacja już nie jest możliwa. Przez uszkodzone płuco ma też problemy z oddychaniem. Uważa jednak, że 15-procentowy uszczerbek na zdrowiu nie jest powodem, aby rezygnować ze służby.

Na stanowisku z/o w sztabie brygady w sekcji personalnej pracuje st. szer. Karol Szewczyk z 10 Brygady Kawalerii Pancernej. Zajmuje się sprawami podofice-



Marek Rzodkiewicz, kierownik zespołu wsparcia w Centrum Weterana:

NIE MOŻEMY WAM BEZPOŚREDNIO PRYZNAĆ POMOCY ANI ROZWIĄZAĆ WASZYCH PROBLEMÓW, ALE MOŻEMY WSKAZAĆ DROGĘ, ŻE BYŚCIE MOGLI SOBIE Z NIMI PORADZIĆ

rów, ale wróciłby do wojska jako kierowca. Najchętniej jednak pojechałby na kolejną misję do Afganistanu. „MRAP ma automatyczną skrzynię biegów, dlatego dałbym radę”, uważa i podkreśla, że nigdy nie miał do czynienia z papierami, ale ze smarem.

Chociaż st. szer. Karol Szewczyk wrócił szczęśliwie z XIV zmiany PKW w Afganistanie, kilkanaście dni później uległ wypadkowi. Zapamiętał tylko uderzenie i świst, który skojarzył mu się z dźwiękiem, jaki na misji wydawała przelatująca obok rakiet. Świadkowie mówili, że samochód osobowy wymusił gwałtowne hamowanie motocykla, którym jechał Szewczyk. Mężczyzna przeokoziółkował i upadł na drogę, a następnie po jego nodze przejechała

ciężarówka. Konieczna okazała się amputacja. „Zawsze chciałem służyć w wojsku”, mówi i podkreśla, że to się nie zmieniło. „Chcę dostać się do szkoły podoficerskiej. Taki miałem plan po powrocie z Afganistanu. Nie zamierzam iść na rentę, przecież złożyłem ślubowanie”, mówi.

Nie wszyscy poszkodowani żołnierze chcą przejść na stanowisko z/o. Należy do nich m.in. kpr. Dariusz Gientek, ranny na misji w Iraku. Dziś jest dowódcą drużyny w 2 Batalionie Zmechanizowanym w 17 Brygadzie Zmechanizowanej. Jak mówi samodzielny referent Przemysław Adamuszek, kpr. Gientek przejdzie do służby z pododdziału liniowego do dywizjonu artylerii samobieżnej na stacji meteorologicznej BAR. Na tym stanowisku praca będzie lżejsza, bo żołnierz ma przekazywać dane meteorologiczne podczas ćwiczeń na poligonie. „Ranni na misji czy na poligonie zasłużyli się dla armii i trzeba o nich pamiętać”, podkreśla płk Wojciech Ziółkowski, zastępca dowódcy 17 Brygady Zmechanizowanej.

OWOCNY WYJAZD

Aby usprawnić system pomocy poszkodowanym żołnierzom, notatka z wyjazdu do 11 Dywizji Kawalerii Pancernej, jak twierdzi płk Zając, trafiła na biurko dowódcy generalnego rodzajów sił zbrojnych. Załatwienie niektórych zgłaszanych przez żołnierzy spraw wymaga zmian prawnych, ale część z nich leży w gestii dowódcy generalnego. Chodzi na przykład o zorganizowanie dla dowódców jednostek szkolenia na temat funkcjonowania systemu pomocy, bo w dużej mierze to od nich zależy, jak on będzie działał w praktyce. ■

ST. SZER. ROBERT LISICKI



Data i miejsce urodzenia:
26 maja 1988 roku,
Szczecinek.

W wojsku służy od: 2008–2009 służba zasadnicza. Od października 2010 roku zawodowa służba wojskowa w 12 BZ

Edukacja wojskowa: wiele kursów, m.in. celowniczych karabinu UKM-2000p, działonowych operatorów KTO Rosomak, kurs języka angielskiego STANAG 6001

Przełomowe wydarzenie w życiu: wylot na misję do Afganistanu, a prywatnie narodziny syna Oliwiera.

Zajmowane stanowisko: działonowy operator KTO Rosomak w 1 Batalionie Zmechanizowanym 12 Brygady Zmechanizowanej.

Zostałem żołnierzem, bo: zawsze chciałem nosić mundur i chyba po prostu przesiąknęłem wojskiem. Już jako dziecko mieszkalem blisko jednostki wojskowej, a do szkoły podstawowej chodziłem z dziećmi zawodowych żołnierzy. Po szkole średniej zdecydowałem się na służbę zasadniczą. Wtedy przekonałem się, że to dobry wybór i zostałem zawodowym żołnierzem.

W umundurowaniu polskiego żołnierza podoba mi się: mundur galowy z rogatywką, bo nawiązuje do naszej historii.

Moje największe osiągnięcie: jestem dumny z wojskowej odznaki sprawności fizycznej i tytułu wzorowego żołnierza 2008 roku. Dostałem także Gwiazdę Afganistanu, medal pamiątkowy ISAF i amerykańskie odznaczenie Combat Action Badge. Moja drużyna zmotoryzowana na zawodach użyteczno-bojowych wojsk lądowych w 2012 roku zajęła pierwsze miejsce, a w 2015 roku byliśmy najlepszym plutonem. Zdobyłem również tytuł szeregowego 2016 roku 12 Dywizji Zmechanizowanej. Jestem honorowym dawcą krwi II stopnia.

Misje i ćwiczenia: brałem udział w międzynarodowych ćwiczeniach poligonowych m.in. w Drawsku Pomorskim, Orzyszu i Uście. Byłem także w składzie Grupy Bojowej Unii Europejskiej i służyłem na XII zmianie PKW w Afganistanie.

Gdybym mógł coś zmienić w wojsku: to chciałbym, żeby żołnierze byli bardziej zauważani i doceniani, a system przyjmowania do szkoły podoficerskiej był inny niż obecnie.

Motto życiowe:
„Carpe diem”

Najlepsza broń:

UKM-2000p. Przez trzy lata byłem celowniczym tego karabinu i mogę uznać go za dobrą broń naszej armii.

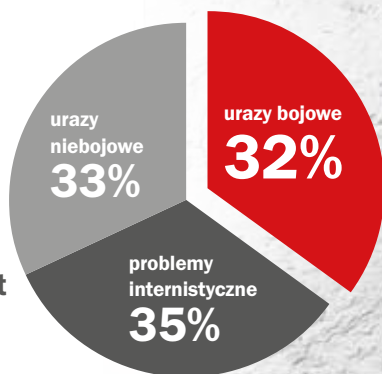
Co robię po służbie: spędzam czas z rodziną, trenuję brazylijskie jiu-jitsu, honorowo oddaję krew. Udzielam się też społecznie w klubie sportowym Koch Team Szczecin oraz w różnych akcjach charytatywnych.



OPRAC. MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
FOT. JANUSZ BŁASZCZAK / 12 BZ

ZŁOTE 72 GODZINY

Bez względu na to jak ciężki jest stan pacjenta, w PFC operator-medyk musi być przygotowany na to, aby udzielał mu pomocy nawet przez 72 godziny.



MANIEK

OIOM z plecaka

Kładąc nacisk na odpowiednie szkolenie operatorów-medyków oraz rozwój niezawodnego systemu wsparcia telemedycznego, jesteśmy w stanie podołać nowym wyzwaniom współczesnego pola walki.

Warszawa, godzina 23.24 czasu lokalnego. W centrum operacyjnym dzwoni telefon. Oficer dyżurny odbiera połączenie. Po drugiej stronie zgłasza się operator-medyk z Dongoli w Sudanie. Sytuacja jest naprawdę poważna. Zadaniowa grupa bojowa operuje w rejonie opanowanym przez lokalne bojówki islamskie. Podczas powrotu do „safe house” doszło do wypadku. Dwóch operatorów doznało lekkich obrażeń kończyn. Trzeci, niestety, wymaga szybkiej ewakuacji. Uszkodzony pojazd nie nadaje się do transportu rannego. Na domiar złego okazuje się, iż zorganizowanie alternatywnej drogi ewakuacji zajmie co

najmniej 12 godzin. Operator-medyk bezzwłocznie przystępuje do akcji. Ciężko ranny kolega ma otwarte złamanie lewej kości udowej, rozległą ranę prawego ramienia oraz prawdopodobnie odmę lub stłuczenie płuca. Trudności z oddychaniem, krwawienie i przeszywający ból zmuszają do szybkiego działania. Tu nie ma na co czekać! Pacjent powinien jak najszybciej trafić do szpitala. Jednakże przez kolejne pół doby natychmiastowość pozostanie na afrykańskich bezdrożach pojęciem względnym, a improwizacja stanie się standardem intensywnej terapii.

Ta sytuacja, choć wymyślona, znakomicie pokazuje, jak ważne jest odpowiednie przygotowanie operatorów-

KONTINUUM PFC



-medyków do sprawowania przez kilka godzin, a nawet dni całkowitej opieki nad poszkodowanym.

CZAS NA WAGĘ ZŁOTĄ

Przez ostatnie kilkanaście lat konfliktu na Bliskim Wschodzie ukształtował się bardzo wyrazisty obraz medycyny pola walki. Algorytmiczne zasady TCCC (ang. Tactical Combat Casualty Care) wyznaczały kolejne kroki postępowania z poszkodowanym oczekującym na ewakuację. W momencie powstania urazu zegar zaczynał odliczać cenne minuty ze „złotej godziny” (ang. golden hour of trauma), dzielące pacjenta od wyspecjali-

zowanej opieki lekarskiej. Rozpoczynał się morderczy wyścig z czasem, któremu były podporządkowane wszelkie działania ratownicze w warunkach taktycznych. Szeroko rozwinięta infrastruktura medyczna oraz stosunkowo niewielkie odległości sprzyjały błyskawicznym ruchom platform ewakuacyjnych. Radiowym zakłębieniem wzywano MEDEVAC, by po chwili gnać z noszami w tumanach kurzu. W siłach NATO funkcjonował skoordynowany łańcuch pomocy, dzięki czemu odnotowano bezprecedensową wręcz przeżywalność. I w momencie, gdy można by skoncentrować się na doskonaleniu tego, co już osiągnęliśmy, los rzuca nam rękawicę. Od nowa zaczynamy tworzyć kolejne karty historii medycyny taktycznej.

NOWE HORYZONTY

Zmieniające się krajobraz strategiczny i sposób prowadzenia konfliktów zbrojnych pociągają za sobą szereg istotnych zmian, zwłaszcza w pracy operatora-medyka. W myśl wszelkich założeń oraz glejtów precyzujących przyszłe zadania i wyzwania wojsk specjalnych (np. ARSOF 2022 lub USASOC 2035) przyjdzie nam działać w dużym rozproszeniu coraz mniej licznych zespołów. Będziemy wysyłani w najbardziej odległe zakątki globu, w których może brakować kranu z ciepłą wodą, a co dopiero ukształtowanego systemu opieki zdrowotnej. Nie będziemy więc dysponować wsparciem medycznym na dotychczasowym poziomie. Z całkiem prozaicznych powodów, organizacyjnych, kadrowych czy też finansowych, nikt nie wyśle całego szpitala ani nawet lekarza z każdym zespołem zadaniowym. W wielu przypadkach operator-medyk będzie jedyną medycznie przeszkoloną i godną zaufania osobą w promieniu dziesiątek, a nawet setek kilometrów. Przyjdzie nam nie tylko ratować, lecz także leczyć oraz zapobiegać. I do tej właśnie roli musimy się gruntownie przygotować.

TYRANIA ODLEGŁOŚCI

W obliczu tyranii odległości i mocno uszczuplonych zasobów przejmujemy najbardziej podstawową opiekę zdrowotną nad zespołem. Co istotniejsze, będziemy też udzielać pomocy kolegom, których stan niejednokrotnie wymagałby interwencji szpitalnego oddziału intensywnej opieki medycznej (OIOM). Tym samym powrócimy do założeń naszej profesji zakorzenionych w przedłużonej opiece polowej (prolonged field care – PFC). Na barki operatora-medyka spadnie wielogodzinna lub nawet wielodniowa terapia medyczna prowadzona na pustyni i w puszczy, tzn. w taktycznych warunkach przedszpitalnych. Naszych pacjentów w stanie krytycznym będziemy przyjmować na „OIOM z plecaka” pod gwiazdami. W miarę możliwości podniesiemy standard, kiedy ➔

W JEDNOSTCE WOJSKOWEJ GROM ROZPOCZĘTO JUŻ PRACĘ NAD UTWORZENIEM NOWATORSKIEGO KURSU DLA OPERATORÓW-MEDYKÓW Z ZESPOŁÓW BOJOWYCH

położymy poszkodowanego na furmance, przyczepie quada czy też pacy samochodu. Z pewnością wykorzystamy też całe spektrum środków lotniczych, by jak najszybciej przekazać pacjenta placówce kolejnego poziomu pomocy medycznej. W takim układzie nie ma szans na podtrzymanie zasad złotej godziny.

Bez wątpienia wyjdziemy poza dobrze nam znane podwórko TCCC, by tuż za miedzą zmierzyć się z o wiele silniejszym niż dotychczas przeciwnikiem. Zetknijemy się z dużo większą liczbą zagadnień medycznych, począwszy od urazów pola walki, poprzez urazy niebojowe, na problemach internistycznych skończywszy. Spójrzmy więc prawdzie w oczy. Stajemy tu przed niezmiernie trudnym, jednakże wykonalnym zadaniem. Kładąc nacisk na odpowiednią adaptację naszych szkoleń, oraz rozwój niezawodnego systemu wsparcia telemedycznego, jesteśmy w stanie podołać temu wyzwaniu.

NIE OD RAZU KRAKÓW ZBUDOWANO

Na pierwszy rzut oka można by sądzić, iż będzie konieczna kompletna przebudowa systemu edukacji rodzimego operatora-medyka. Sceptycy z pewnością zażądali programu na wzór trwającego dziewięć miesięcy amerykańskiego kursu SOCM (Special Operations Combat Medic) czy też sześciomiesięcznego europejskiego szkolenia NSOCM (NATO Special Operations Combat Medic). Pamiętajmy jednak, że nie od razu Kraków zbudowano. Obecnie takie rozwiązanie nie jest realne. Wymagałoby ogromnych nakładów finansowych, kadrowych oraz czasowych, którymi nie dysponujemy. O ile docelowo powinno się zmierzać w tym właśnie kierunku, o tyle doraźnie musimy poruszać się nieco innym torem. Należy opracować znacznie krótszy kurs pomostowy dla operatorów-medyków w służbie czynnej. Jego program powinien być zorientowany na doskonalenie umiejętności w zakresie dziesięciu aspektów PFC, które decydują o sukcesie przedłużonej opieki polowej. Kluczowym elementem z pewnością stanie się telemedycyna, jednakże najpierw należałoby stworzyć względnie nieskomplikowany system wirtualnego wsparcia, taki jak przykładowo VC3 (Virtual Critical

Care Consultation). Ta niezmiernie prosta i tania koncepcja tele-OIOM-u sprawdziła się w realiach naszych amerykańskich kolegów. Smartfon każdy z nas nosi już w kieszeni, a lekarze z pewnością życzliwie podejść do pełnienia wirtualnych dyżurów.

W Jednostce Wojskowej GROM rozpoczęto już prace nad utworzeniem takiego nowatorskiego kursu dla operatorów-medyków z zespołów bojowych. Z pełnym poparciem i zaangażowaniem dowództwa współtworzą go m.in. najbardziej doświadczeni operatorzy. Po prostu nie ma możliwości, aby całą kadrę medyczną nagle odesłać na sześciomiesięczne szkolenie. Kierowanie zaś poszczególnych osób zajęłoby całe lata. Nie możemy też czekać, aż ktoś stworzy nam kurs SOCM w polskim wydaniu. Wzięliśmy więc sprawy w swoje ręce. Budujemy program modułowy, który łatwo będzie dostosować do dynamicznie zmieniającego się tempa operacyjnego jednostki. Pierwszy etap, poświęcony pamięci mjr. Krzysztofa Woźniaka, który zginął w czasie akcji bojowej w Afganistanie, już za nami. Szkoliliśmy się z podstaw przedłużonej opieki polowej oraz wykorzystania USG w medycynie wojsk specjalnych. Z pewnością czeka nas herkulesowy wysiłek i oczywiste jest, że odsłoni się kilka słabych punktów, jednakże z siłą i z honorem będziemy zmierzać do celu.

21–25 maja 2017 roku w Charlotte w USA odbędzie się konferencja organizowana przez Special Operations Medical Association (SOMA) – stowarzyszenie o charakterze naukowym, wspierające rozwój medycyny wojsk specjalnych, którego inicjatywy edukacyjne są kierowane przede wszystkim do operatorów-medyków. Po stronie amerykańskiej to właśnie oni stanowią najliczniejszą grupę uczestników konferencji. ■

MANIEK jest jednym z najbardziej doświadczonych operatorów-medyków w polskich siłach specjalnych. Jest też pierwszym Polakiem działającym w strukturach organizacyjnych Special Operations Medical Association. Współtworzy wiele szkoleń medycznych dla kolegów po fachu, pracuje również nad rozwinięciem programu edukacyjnego dotyczącego polowej transfuzji krwi pełnej.



Wojskowe Zakłady Lotnicze Nr 4 S.A.

ul. Księcia Bolesława 1/3, 01-452 Warszawa, Polska

tel. +48 22 532 43 01, fax +48 22 532 43 04

www.wzl4.mil.pl, biuro@wzl4.mil.pl





2016
BUZDYGANY

LUSTRO WOJSKA

MACIEJ CHILCZUK

Każdy z nich stanowi wycinek pełnego obrazu. Dopiero kiedy wspólnie pozują do pamiątkowej fotografii, widać to, co w wojsku najważniejsze – jedność.

2016 BUZDYGANY

roda miesięcznika

Polska Zbrojna

Polska Zbrojna

Polska Zbrojna

Polska Zbrojna

Polska Zbrojna

Polska Zbrojna



Na pierwszy rzut oka nie ich nie łączy. Każdy z nich jest inny, czym innym ujął członków kapituły i za co innego został nagrodzony. Gdy jednak przyjrzemy się bliżej, możemy dostrzec, że tegoroczni laureaci Buzdyganów składają się na pełny obraz Wojska Polskiego.

Replikę buławy w tym roku otrzymał gen. Jarosław Gromadziński, odpowiedzialny za przygotowanie żołnierzy do boju. Ale dostała ją także Barbara Szymańska, psycholożka, która dba o to, by stres związany z wykonywaniem rozkazów nie odbił się na kondycji wojskowych. Wśród laureatów jest kpr. Piotr Małachowski, specjalista od pokonywania ograniczeń ciała i od

sportowej walki na wypełnionych kibicami stadionach. Z drugiej strony, w gronie nagrodzonych znalazł się ks. kmr. por. Radosław Michnowski, który pozwala zachować spokój duszy i pracuje w zaciszu konfesjonału. Troje laureatów – bracia Kopocińscy i Tomasz Sawicki – dbają o to, by etos i chwała oręża były na co dzień pielęgnowane i przenoszone z pokolenia na pokolenia. Gen. dyw. Janusz Brochwicz-Lewiński „Gryf” był dla żołnierzy właśnie taką legendą i swoją postawą zasłużył na miano wzorca.

Goście gali Buzdyganów przyznawali w kulturalnych rozmowach, że podobnie jak w wojsku, także wśród laureatów ważne jest wzajemne się dopełnianie. Każdy z nich w pojedynkę stanowi ➔



JAROSŁAW WIŚNIEWSKI (2)

OREŻ RYCERZY

Galeę uświetnił występ braci Krzysztofa i Roberta Szateckich biorących udział w profesjonalnych walkach rycerskich Brother of Steel.



**BUZDYGAN
TO ZOBOWIĄZANIE,
BY PRZEWODZIĆ INNYM I SWOJĄ
POSTAWĄ DAWAĆ PRZYKŁAD
DO NAŚLADOWANIA, MÓWIŁ
MINISTER MICHAŁ DWORCZYK**



2016 BUZDYGANY

Na galę wręczenia Buzdyganów przybyło wielu znamienitych gości. Na zdjęciu: kierownictwo Wojskowego Instytutu Wydawniczego wita ubiegłorocznego laureata, gen. dyw. Grzegorza Gielera.



TOMASZ MIELCZAREK



JAROSŁAW WIŚNIEWSKI (3)



„Moje historie w migawkach” to album fotografii Cezarego Pomykała, który zaprezentował rekonstruktorów formacji wojskowych z różnych epok.

bowiem tylko wycinek pełnego obrazu. Dopiero kiedy wspólnie pozują do pamiątkowej fotografii, widać to, co w wojsku najważniejsze – jedność. Tę prawdę o Buzdyganach można zauważyć nie tylko w tym roku. Poczet ponad 200 laureatów nagrody miesięcznika „Polska Zbrojna” jak w soczewce ogniskuje najnowszą historię Wojska Polskiego. W biografiach uhonorowanych widać, co było ważne w ciągu tego niemal

ćwierćwiecza, z jakimi problemami wojsko musiało się zmagać i ile udało się osiągnąć.

Możemy być pewni, że w przyszłym roku siódemka laureatów znów będzie zaskoczeniem. Ale tylko przez chwilę. Bo uważniejsze czytanie się w werdykt kapituły pozwoli stwierdzić, że ludzie ci idealnie pasują do założeń naszej nagrody i znakomicie się uzupełniają. Tak było przez ostatnie 23 lata. I będzie nadal. ■

PAULINA GLIŃSKA

Dodatki po nowemu

Obowiązujące od początku roku znowelizowane przepisy rozszerzyły grono żołnierzy, którym przysługuje prawo do finansowych dodatków.

Rozporządzenie MON-u określa rodzaje dodatków do wynagrodzeń żołnierzy zawodowych oraz warunki ich otrzymywania. W dokumencie jest mowa m.in. o dodatku specjalnym (dostają go np. piloci i skoczkowie spadochronowi), służbowym (przynawanym np. żołnierzom na stanowiskach dowódczych), motywacyjnym i kompensacyjnym.

DODATKI SPECJALNE

Żołnierze otrzymują je za szczególne właściwości lub warunki pełnienia służby. Dodatek przysługuje m.in. za: wykonywanie lotów w składzie załóg wojskowych statków powietrznych, pełnienie służby w składzie załóg jednostek pływających marynarki wojennej wychodzących w morze, wykonywanie prac podwodnych, skoków ze spadochronem, zadań polegających na bezpośrednim fizycznym zwalczaniu terroryzmu oraz na rozminowywaniu terenu lub jego oczyszczaniu z przedmiotów wybuchowych albo niebezpiecznych.

Zmiany przepisów objęły m.in. żołnierzy sił powietrznych. Chodzi tu o pilotów zajmujących stanowiska służbowe w jednostkach lub komórkach organizacyjnych resortu obrony narodowej powyżej szczebla brygady lotnictwa lub skrzydła lotnictwa, którzy wykonują loty inspektorskie w składzie załóg wojskowych statków powietrznych. Loty te odbywają się w wymiarze określonym w „indywidualnym rocznym planie szkolenia i treningu w powietrzu oraz na urządzeniach treningowych i symulatorach”. Po zmianie przepisów czas lotów jest wliczany do podstawowej (minimalnej) rocznej normy, od której jest uzależnione prawo żołnierza – pilota do dodatku specjalnego. Ci wojskowi mogą też liczyć na jednorazowy dodatek specjalny, ale warunkiem jest spędzenie w powietrzu co najmniej 15 lub 20

godzin (w zależności od statku powietrznego) w ciągu roku kalendarzowego.

MON doceniło też pilotów wykonujących loty pokazowe, które wymagają specjalnych predyspozycji oraz wysokiego poziomu doświadczenia i umiejętności lotniczych. Dodatek w wysokości 300 zł jest wypłacany za każdy taki lot.

W zmienionych przepisach uwzględniono też nurków. Zaproponowano dla nich nowe (niższe) roczne normy godzin nurkowania. Zdaniem kierownictwa MON-u zapewni to utrzymanie zdolności bojowych oraz jest odpowiedzią na potrzeby szkoleniowe w celu utrzymania umiejętności nurków do wypełniania zadań pod wodą. Uzależniono też zwiększenie dodatku o 450 zł miesięcznie od wykonywania nurkowania głębinowego na głębokości większej niż 50 m. Wzrósł dodatek dla kierowników prac podwodnych oraz kierowników podwodnych działań – dotyczy to kilkunastu nurków. Taka zmiana ma zmotywować tę grupę żołnierzy do zdobywania, w ciągu trwającego sześć lat szkolenia, kwalifikacji do kierowania pracami podwodnymi.

Na zmianach w przepisach zyskali też instruktorzy skoków spadochronowych. Choć od tej grupy żołnierzy wymaga się większej liczby oddanych skoków ze spadochronem w ciągu roku kalendarzowego niż od pozostałych spadochroniarzy, to zasady wypłaty dodatku były analogiczne dla wszystkich i uzależnione od liczby skoków. Dlatego dodatek dla nich został zwiększony o 450 zł miesięcznie.

Korzystne zmiany objęły żołnierzy Żandarmerii Wojskowej. Wcześniej do otrzymywania dodatkowych pieniędzy byli uprawnieni jedynie ci, którzy wykonują czynności operacyjno-rozpoznawcze lub dochodzeniowo-śledcze. Ze względu jednak na „ponadnormatywne

obciążenia psychofizyczne” resort chciał, by taki przywilej przysługiwał także pozostałym żołnierzom tej formacji. Dlatego po zmianach żandarmi, którzy wykonują czynności operacyjno-rozpoznawcze lub dochodzeniowo-śledcze, dostali podwyżkę dodatku w wysokości do 900 zł, a pozostali, w zależności od posiadanego stażu służby, do 450 zł miesięcznie.

Nowością jest też dodatek dla żołnierzy warszawskiego Oddziału Specjalnego Żandarmerii Wojskowej, którzy wykonują zadania polegające na bezpośrednim fizycznym zwalczaniu terroryzmu lub szkolą się w tej dziedzinie.

Wprowadzone zostały też zmiany w dodatkach dla żołnierzy wojsk specjalnych. Według wcześniej obowiązujących przepisów, taką należność otrzymywali wyłącznie spe-

DODATKI SPECJALNE ŻOŁNIERZE OTRZYMU- JĄ ZA SZCZEGÓLNE WŁAŚCIWOŚCI LUB WARUNKI PEŁNIENIA SŁUŻBY

cjalsi z jednostek bojowych. W praktyce jednak wyznaczenie żołnierza do pełnienia służby w komponencie dowódczym oznaczało utratę dodatku. Dlatego MON chciało stworzyć system wynagradzania, który pozwoli na przemieszczanie się żołnierzy między jednostkami wojsk specjalnych bez uszczerbku finansowego. W efekcie pieniądze zostały przyznane także tym, którzy planują i nadzorują operacje specjalne oraz nimi dowodzą, a także pełnią służbę w strukturach dowódczych wojsk specjalnych. Dodatek wynosi do 450 zł miesięcznie.

DODATKI SŁUŻBOWE

Żołnierze otrzymują je z tytułu zajmowania stanowiska służbowego. Pieniądze te przysługują m.in. dowódcom batalionów, dywizjonów, eskadr, kompanii, baterii, klucza, lekarzom i lekarzom dentystom pracującym w wojskowych komisjach lekarskich, a także kontrolerom ruchu lotniczego.

Znowelizowane przepisy zwiększyły dodatki dla żołnierzy zajmujących stanowiska dowódców kompanii. Wcześniej otrzymywali oni 150 zł, teraz mogą dostać maksymalnie 300 zł. Dodatek został też przyznany podoficerom-komendantom trzech szkół podoficerskich – w Poznaniu, Ustce i Dęblinie.

Pierwszy raz uprawnieni do dodatku służbowego zostali ci, którzy zajmują samodzielne stanowiska nawigatorów naprowadzania lub wysuniętych nawigatorów naprowadzania.

Choć od tych żołnierzy nie tylko jest wymagana specjalistyczna wiedza, lecz także muszą przejść długie szkolenie, wcześniej tylko im – w grupie stanowisk zabezpieczenia szkolenia lotniczego – taka należność nie przysługiwała. Teraz dodatek dla nich wynosi do 900 zł miesięcznie. Jego wysokość jest uznaniowa, ma on wzrastać wraz z podnoszeniem przez żołnierza kwalifikacji oraz być uzależniony od stażu służby. Taką należność będzie dostawać około 130 żołnierzy.

Przepisy wprowadziły też dodatek służbowy dla tych, którzy zajmują wybrane stanowiska w logistyce. Chodzi m.in. o szefów służb: żywnościowej, mundurowej, środków bojowych. Maksymalnie na 375 zł może liczyć około 400 żołnierzy służących na przykład w regionalnych bazach logistycznych, wojskowych oddziałach gospodarczych, komendach portu wojennego, bazach lotnictwa i brygadach logistycznych.

MON przyznało również prawo do dodatku służbowego żołnierzom zawodowym Inspektoratu Uzbrojenia, którzy zajmują się kontraktowaniem dostaw sprzętu i uzbrojenia. Zmiana obejmie około 130 osób.

Na dodatkowe pieniądze mogą też liczyć żołnierze zajmujący samodzielne stanowiska w korpusie osobowym kryptologii i cyberbez-



pieczeństwa. Zdaniem MON-u, to służba związana z bezpośrednim zwalczaniem cyberterrorizmu lub planowaniem operacji militarnych w cyberprzestrzeni, a ci, którzy ją pełnią, muszą się wykazać wysokim poziomem wiedzy specjalistycznej i stale podnosić swoje kwalifikacje. Maksymalna wysokość dodatku wynosi 900 zł miesięcznie, a objętych nim zostało około 80 osób.

Wprowadzono też dodatek dla żołnierzy zawodowych pełniących służbę w korpusie sprawiedliwości i obsługi prawnej. Rozwiązanie dotyczy około 140 wojskowych.

DODATKI MOTYWACYJNE I KOMPENSACYJNE

Dodatek motywacyjny wciąż przysługuje żołnierzom mającym klasę kwalifikacyjną. Nowym rozwiązaniem jest dodatek kompensacyjny – wypłacany tym, którzy w szczególnie uzasadnionych przypadkach zostali wyznaczeni na stanowiska służbowe wyższe o co najmniej dwa stopnie, bez mianowania na wyższy stopień wojskowy. W takiej sytuacji żołnierz zawodowy otrzymuje dotychczasowe wynagrodzenie zasadnicze i obliczony

od niego dodatek za długoletnią służbę wojskową oraz właśnie dodatek kompensacyjny, będący różnicą między wynagrodzeniem należnym na nowym stanowisku służbowym a otrzymywaną aktualnie pensją.

Przepisy doprecyzowały też mechanizm przywracania dodatków otrzymywanych w ostatnim miesiącu pełnienia przez żołnierzy służby. W różnej wysokości, zależnej m.in. od rodzaju służby i stażu, weszły w skład podstawy obliczenia wojskowej emerytury. Rozporządzenie doprecyzowało przy tym kwestię okresów, za jakie dodatek może być uwzględniony. Wcześniej czas przebywania na urlopie macierzyńskim lub zwolnieniu ze względu na konieczność sprawowania opieki nad najbliższym członkiem rodziny nie był zaliczany do okresu, za który przysługuje dodatek. Nowe przepisy to zmieniły. Uzasadniono to faktem, że w innym wypadku, gdy żołnierz nie wykonuje zadań służbowych, na przykład jest na urlopie, zwolnieniu lekarskim czy uczestniczy w kursie, dodatkowa należność mu przysługuje. ■

Laureat Nagrody Nobla w dziedzinie fizyki

prof. Shuji Nakamura

z wykładem

**„The Invention of High Efficient Blue LED
and Future Solid State Lighting”**

9 maja 2017 r.
w Wojskowej Akademii Technicznej

ORGANIZATORZY



PATRONI MEDIALNI

Polska Zbrojna

TVP INFO

Defence24
Bezpieczeństwo Wojsko Prasa

GŁOS AKADEMICKI

UHONOROWANI

Ustawa o weteranach działań poza granicami państwa przyznała weteranom uprawnienia socjalne, pracownicze i dotyczące łatwiejszego dostępu do leczenia, a oprócz tego także związane z ich uhonorowaniem.

→ **Rozdział drugi ustawy jest poświęcony kwestiom związanym z uhonorowaniem weteranów i weteranów poszkodowanych:**

1. DZIEŃ WETERANA DZIAŁAŃ POZA GRANICAMI PAŃSTWA

29 maja został wskazany w ustawie jako święto wszystkich uczestników misji pokojowych i stabilizacyjnych. Rezolucją Zgromadzenia Ogólnego ONZ przyjętą w grudniu 2002 roku dzień ten został wyznaczony na Międzynarodowy Dzień Uczestników Misji Pokojowych ONZ. Podczas prac nad ustawą o weteranach uznano za zasadne połączenie tych dwóch szczególnych świąt: Dnia Uczestników Misji oraz Dnia Weterana. Co roku 29 maja lub w najbliższy tej daty weekend są organizowane centralne obchody Dnia Weterana Działań poza Granicami Państwa.

2. ODZNAKA „ZA RANY I KONTUZJE”

Ta wojskowa odznaka jest przyznawana za rany i kontuzje odniesione podczas działań bojowych lub operacyjnych prowadzonych w czasie użycia sił zbrojnych poza granicami państwa. Nawiązuje ona do przedwojennych tradycji historycznych. Uzyskanie statusu weterana poszkodowanego – żołnierza (przepisy dotyczące odznaki stosuje się odpowied-

nio także do pracowników jednostek wojskowych, którzy posiadają status weterana poszkodowanego) uprawnia do otrzymania odznaki z oznakowaniem odpowiednim do uznanej liczby wypadków, w których zostały odniesione rany lub kontuzje. Szczegółowe zasady dotyczące trybu przyznawania, wręczania i noszenia odznaki wojskowej reguluje rozporządzenie ministra obrony narodowej z 26 marca 2012 roku. Warto wspomnieć, że weterani-funkcjonariusze oraz weterani-funkcjonariusze ABW mogą otrzymać odznakę honorową odpowiednio „Za Zasługi w Działaniach poza Granicami Rzeczypospolitej Polskiej” oraz „Za Zasługi w Zapewnieniu Bezpieczeństwa Państwa poza Granicami Rzeczypospolitej Polskiej”.

3. UMUNDUROWANIE

Wprowadzono rozwiązanie dla weteranów poszkodowanych – żołnierzy zwolnionych z czynnej służby wojskowej, którym w czasie jej pełnienia nie przysługiwało umundurowanie i wyekwipowanie wyjściowe. Obecnie mają oni prawo do otrzymania go jednorazowo bezpłatnie.

Żołnierze rezerwy lub w stanie spoczynku, którzy posiadają status weterana lub weterana poszkodowanego, mają prawo do noszenia umundurowania oraz odznak i oznak wojskowych w przypadkach określonych w przepisach szczególnych. Aby skorzystać z tego uprawnienia, należy wcześniej wystąpić do szefa wojewódzkiego sztabu wojskowego za pośrednictwem komendanta wojskowej komendy uzupełnień o zezwolenie na noszenie umundurowania oraz odznak i oznak wojskowych.

4. UROCZYSTOŚCI

Weterani i weterani poszkodowani, którzy zostali zaproszeni w charakterze uczestników działań poza granicami państwa na uroczystości organizowane przez ministra obrony narodowej, dowódców jednostek wojskowych lub inny właściwy organ wymieniony w ustawie o weteranach, mogą skorzystać z prawa do zwrotu kosztów przejazdu na nie, z uwzględnieniem przysługujących im ulg oraz zakwaterowania. Zwrot kosztów jest należny za udział w nie więcej niż dwóch uroczystościach w roku kalendarzowym, łącznie do wysokości najniższej emerytury – obecnie 1000 zł. Zwrotu kosztów dokonuje podmiot, na którego zaproszenie weteran lub weteran poszkodowany przyjechał, po złożeniu przez niego wniosku oraz oświadczenia o wysokości kosztów przejazdu i przedstawieniu oryginału rachunku za zakwaterowanie.

5. ASYSTA HONOROWA

Weteranom i weteranom poszkodowanym, którzy byli żołnierzami, przysługuje także wojskowa asysta honorowa podczas pogrzebu na terytorium RP. Informację o śmierci weterana przesyła się bezpośrednio do dowódcy garnizonu właściwego ze względu na miejsce pochówku. Zmarłym weteranom-funkcjonariuszom również przysługuje asysta honorowa na podobnych zasadach. O asystę może wystąpić rodzina weterana lub organizacja pozarządowa zrzeszająca weteranów. ■

IZABELA STELMACH,
prawnik Centrum Weterana Działań
poza Granicami Państwa

Podstawa prawna: art. 15–21 ustawy z 19 sierpnia 2011 roku o weteranach działań poza granicami państwa

ARSENAŁ

/ PRZEGLĄD

ARKADIUSZ DWULATEK/COMBAT CAMERA DORSZ



W połowie marca pod Orzyszem kraby przechodziły ostatnie poligonowe testy przed wejściem do służby.

KRZYSZTOF WILEWSKI

KRABY PODANO

155-milimetrowe armatohaubice na podwoziu
gąsienicowym dwadzieścia lat po ogłoszeniu
przetargu wreszcie trafią do wojska.



K

iedy na początku lat dziewięćdziesiątych rozpoczęliśmy dyplomatyczne starania o przyjęcie do sojuszu północnoatlantyckiego, dla najwyższych gremiów decyzyjnych polskiej armii było jasne, że musimy wymienić uzbrojenie i wyposażenie naszego wojska. W NATO istotna jest bowiem interoperacyjność, co w wypadku broni oznacza maksymalną unifikację amunicji. Dla ówczesnej polskiej armii oznaczało to konieczność wymiany właściwie wszystkich typów używanej wtedy broni. Postsowieckie karabiny zasilane amunicją kalibru 7,62x39 mm musieliśmy zastąpić bronią natowskiego kalibru 7,62x51 mm, a w wypadku haubic konieczne stało się wprowadzenie do służby kalibru 155 mm.

Dowództwo NATO zdawało sobie sprawę, że jak gigantycznymi kosztami wiąże się takie przebrojenie, dlatego każde postkomunistyczne państwo starające się wówczas o przyjęcie do organizacji mogło zadeklarować dowolny termin, w jakim je przeprowadzi. My zobowiązaliśmy się, że w ciągu 10 lat 152-milimetrowe armatohaubice Dana, poradzieckie 152-milimetrowe holowane haubicoarmaty wz. 37/85 i 122-milimetrowe haubice samobieżne Goździk zastąpimy konstrukcjami kalibru 155 mm. Dlaczego wyznaczaliśmy sobie taki ambitny termin? Nie tylko z powodów geopolitycznych. Ówczesne dowództwo Sił Zbrojnych RP miało pełną świadomość ograniczeń rodzimej artylerii. Wymienione systemy artyleryjskie umożliwiają bowiem rażenie celów oddalonych maksymalnie o kilkanaście kilometrów. Tymczasem amerykańska 155-milimetrowa armatohaubica M109, która była wówczas punktem odniesienia dla tego typu broni, umożliwiała atakowanie celów oddalonych aż o około 30 km.

REGINA PO ANGIELSKU

Było kilka pomysłów na to, w jaki sposób nasza armia powinna pozyskać działa, których

koszt jednostkowy oscylował wtedy między 5 a 6 mln dolarów (planowano zakup aż 20 dywizjonów nowych armatohaubic, czyli trzysta sześćdziesiąt dział, więc chodziło o kontrakt o wartości około 2 mld dolarów). Najpierw chcieliśmy je zbudować w kooperacji ze Słowakami. Taki pomysł się bronił, ponieważ wówczas zarówno my – a dokładniej Huta Stalowa Wola, produkująca wtedy haubice Goździk, jak i Słowacy – wytwarzający używane przez nas Dany, mieliśmy potencjał intelektualny i przemysłowy, aby zmierzyć się z takim zadaniem. Lata jednak mijały, a z polsko-słowackiej kooperacji nic nie wychodziło, bo każda ze stron chciała być liderem w tym projekcie. Tymczasem w HSW zaprzestano produkcji goździków. Na przełomie 1995 i 1996 roku stwierdziliśmy zatem, że kupimy licencję na produkcję jednego z zagranicznych systemów. W grę wchodziły wówczas trzy konstrukcje – mutacja amerykańskiego M109, brytyjski AS90 Braveheart i niemiecki PzH 2000.

W ogłoszonym w 1997 roku przetargu (rozstrzygnięcie nastąpiło po dwóch latach) zwyciężyli Brytyjczycy, którzy zgodzili się nie tylko na licencyjną produkcję wieży w Polsce, lecz także na to, aby podwozie opracował rodzimy przemysł zbrojeniowy. Moduł ogniowy krabów, bo taki kryptonim otrzymało działo, nazwano Regina. Wojsko miało dostać ją do testów najpóźniej w 2003 roku, ale tak się nie stało. Chociaż prototyp AHS Krab z podwoziem opracowanym przez Ośrodek Badawczo-Rozwojowy Urządzeń Mechanicznych, a produkowanym przez Bumar Łabędy, był już gotowy w 2001 roku, to rok później Ministerstwo Obrony Narodowej wstrzymało finansowanie prac badawczo-rozwojowych nad Regimą. Wrócono do tego projektu dopiero po sześciu latach. Hucie Stalowa Wola, której w 1999 roku powierzono do wykonania projekt kraba, w 2008 roku ponownie zlecono zbudowanie do 2011 roku modułu ogniowego Regina.

KRAB JEST BRONIĄ PRZEZNACZONĄ DO ZWALCZANIA WROGIEJ ARTYLERII, WIĘC JEDNYM Z WYMOGÓW KRYTYCZNYCH JEST TO, ABY PROWADZONO Z NIEGO BARDZO PRECYZYJNY OGIEŃ



KRZYSZTOF WILEWSKI

Huta z umowy wywiązała się z dwuletnim opóźnieniem, na dodatek wystąpiły znaczące problemy techniczne. Gdy pierwsze kraby zostały przekazane wojsku do testów, okazało się, że w podwoziach są mikropęknięcia. HSW przez kilka lat nie potrafiła rozwiązać tego problemu z ich producentem – Bumarem Łabędy. „Jestem przekonany, że gdyby nie personalne animozje między ówczesnymi szefami HSW i Bumaru, ten problem udałoby się rozwiązać. Niestety zwyciężyły partykularne interesy kosztem dobra polskiego przemysłu i polskiej armii”, komentuje Bartosz Kownacki, odpowiedzialny za zakupy nowego sprzętu i uzbrojenia wojskowego wiceminister obrony narodowej. Gordyjski węzeł rozwiązano dopiero w grudniu 2014 roku, gdy MON wymusił na HSW zakup od koreańskiej firmy Samsung Techwin licencji na produkcję konstrukcji wykorzystywanej w armatohaubicach K9 Thunder.

Dzięki temu program Regina ruszył do przodu. Krab na nowym podwoziu przeszedł zakładowe testy, próby i certyfikacje, więc ministerstwo obrony 14 grudnia 2016 roku mogło podpisać umowę na seryjną dostawę armatohaubicy. Pozytywne zakończenie prób zakładowych umożliwia również dokończenie wojskowych testów, które musi przejść każda broń przed wejściem do służby. Ich ostatnim etapem są natomiast badania eksploatacyjno-wojskowe. „To są badania, które służą nam do opracowania wszystkich niezbędnych dokumentów do codziennego użytkowania danego uzbrojenia, w tym również tych związanych z ich bojowym zastosowaniem, czyli np. normy zużycia amunicji, tabele strzelnicze”, wyjaśnia płk Waldemar Janiak, szef Oddziału Gestorstwa i Rozwoju z Zarządu Wojsk Rakietowych i Artylerii Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych, który kieruje zespołem odpowiedzialnym za wdrożenie krabów do służby w polskiej armii.

Płk Janiak twierdzi, że prosty rachunek matematyczny udowadnia, jak ważne są badania eksploatacyjno-wojsko-

we. Pocisk z pierwszym ładunkiem powinien w krabie osiągać prędkość początkową około 485 m/s. Jeżeli zostanie wystrzelony tylko z prędkością o jeden procent większą, czyli około 490 m/s, to pomyłka w celności ognia wyniesie około 100 m. Ktoś powie, że przy 40 km zasięgu taki margines błędu jest dopuszczalny. Owszem, może dla starszych systemów artyleryjskich, w krabach to niedopuszczalne. „Krab jest bronią przeznaczoną do zwalczania wrogiej artylerii, więc jednym z wymogów krytycznych jest to, aby prowadzono z niego bardzo precyzyjny ogień, gdyż inaczej nawet nie będziemy mieli szansy zniszczenia nieprzyjacielskich systemów ogniowych”, wyjaśnia płk Janiak.

STRZAŁ W DZIESIĄTKĘ?

Jak pokazały próby ogniowe przeprowadzone na przełomie 2016 i 2017 roku, kraby były bardzo blisko spełnienia narzuconych przez wojsko norm dotyczących parametrów mających bezpośredni wpływ na precyzję ognia. Czy faktycznie tak jest, przekonamy się wkrótce, kiedy znane będą wyniki strzałów przeprowadzonych w połowie marca na poligonie pod Orzyszem.

Podczas kilkudniowego zgrupowania dwa działa z 11 Pułku Artylerii z Węgorzewa wykonały kilkadziesiąt strzałów na różną odległość z użyciem rozmaitego typu ładunków. Każdy strzał był mierzony przez kilkanaście sensorów, w tym specjalnie w tym celu sprowadzony z WITU prototypowy radar artyleryjski (do weryfikacji prędkości początkowej pocisków). Jeżeli zebrane dane pokażą, że kraby spełniają wymagania wojska, komisja będzie mogła uznać badania eksploatacyjno-wojskowe za zakończone powodzeniem i – jak twierdzi płk Janiak – zniknie ostatnia przeszkoda uniemożliwiająca wdrożenie tej broni do służby. Jest więc spora szansa, że wreszcie po 20 latach od rozpoczęcia tego programu zbrojeniowego, doczekamy się jego zakończenia z happy endem. ■



GLOBALNA MARKA

Z Błazem Wojniczem

o strukturalnej, formalnej i finansowej rewolucji państwowej zbrojeniówki, która od kadry kierowniczej średniego szczebla będzie wymagać głębokiej zmiany mentalnej, rozmawia Krzysztof Wilewski.

Czy zaskoczyła Pana propozycja objęcia stanowiska prezesa Polskiej Grupy Zbrojeniowej?

Nie, nie zaskoczyła.

Bardzo krótka odpowiedź.

Bo i pytanie było bardzo krótkie.

Fakt, ale teraz na poważnie, nie miał Pan żadnych wątpliwości?

Teraz już bardzo poważnie. Wątpliwości nie miałem żadnych, co nie oznacza, że nie czułem wagi podejmowanej decyzji i odpowiedzialności, jaką biorę na siebie. Mam świadomość, że na barkach prezesa Polskiej Grupy Zbrojeniowej w jakimś sensie spoczywa odpowiedzialność za polski przemysł zbrojeniowy, który po 25 latach zaniedbań jest w takiej, a nie innej sytuacji. Dlatego gdy ludzie gratulowali mi wyboru, mówiłem im, żeby poczekali, aż zakończę swoją misję w PGZ, bo wtedy będę wiedział, czy jest mi czego gratulować. Samo pełnienie funkcji prezesa jeszcze nic nie znaczy.

Jakie zadania postawił Panu minister Antoni Macierewicz?

W sumie to nie jest nic nowego. Najważniejszym zadaniem stojącym przed PGZ jest terminowe, zgodne z harmonogramem dostarczanie sprzętu dla polskiej armii. Bardzo istotna jest kwestia obrony terytorialnej. Znaczna część sprzętu dla żołnierzy tej nowej formacji ma pochodzić właśnie z Polskiej Grupy Zbrojeniowej.

Mimo objęcia funkcji prezesa PGZ pozostawał Pan szefem Polskiego Holdingu Obronnego. W jakiej sytuacji jest ta spółka?

Gdy obejmowałem kierowanie PHO, spółka była w trudnej sytuacji finansowej i organizacyjnej. Doskonale oddaje to raport Najwyższej Izby Kontroli z jesieni 2016 roku, który wskazuje, że Polski Holding Obronny na podstawie jednej notatki, powstałej w Ministerstwie Skarbu Państwa, przestał być konsolidatorem przemysłu zbrojeniowego, a rolę tę powierzono Polskiej Grupie Zbrojeniowej. PHO zabrano więc wszystkie akcje, udzia-

ty, utrudniano prowadzenie działalności, a zostawiono długi i nieruchomości.

W jakim celu to zrobiono?

Nie ukrywam, że do dziś nie rozumiem tej decyzji. W mojej ocenie nie ma ona żadnego uzasadnienia – ani biznesowego, ani merytorycznego. Krążą jakieś informacje na temat konfliktów między spółkami, które mogły się do tego przyczynić. W odniesieniu jednak do decyzji, które są przecież strategiczne dla państwa, takie osobiste animozje absolutnie nie powinny mieć znaczenia.

A może chodziło o pozbycie się długów i zrobienie z PHO kozła ofiarnego?

Gdy patrzę na to, co się stało, na uwarunkowania i konsekwencje, przychodzi mi do głowy, że istotnie mogło o to chodzić. Jeżeli jednak intencją było doprowadzenie do upadłości PHO, to osoby za to odpowiedzialne powinny ponieść konsekwencje. Oczywiście bez dowodów to wszystko są tylko spekulacje.

Wróćmy jednak do PGZ. Wiemy już, jakie zadania postawił Panu minister. A jakie cele sam Pan sobie wyznaczył?

Chciałbym przede wszystkim uporządkować PGZ jako grupę kapitałową. Uważam, że bolączką polskiego państwowego przemysłu zbrojeniowego przez lata było to, że chociaż istniały podmioty nadrzędne, to spółki nie współdziałały ze sobą, nie miały wspólnych celów.

Każdy sobie rzepkę skrobał?

Właśnie. A przecież skoro jest konsolidacja, to nie może tak być, że spółki prowadzą działalność eksportową w swoim zakresie, mają własne działy marketingu. Za to powinna odpowiadać firma zarządzająca, czyli w naszym wypadku PGZ.

Czy to będzie korzystne dla tych spółek?

Zdecydowanie tak. Konsolidacja operacyjna czy funkcjonalna jest szansą na osiągnięcie bardzo konkretnych i wymiernych oszczędności w wielu obszarach: prawnym, finansowym, marketingowym. Gdy jakaś spółka z Grupy PGZ zabiega na przykład o kredyt, proponuje się jej oprocentowanie sięgające nawet ponad 5%. Jako Polska Grupa Zbrojeniowa możemy natomiast liczyć na warunki zdecydowanie lepsze, na oprocentowanie nawet w granicach procenta. To ogromna różnica. Skala oszczędności jest również ogromna. I dotyczy to wszystkich sfer funkcjonowania.

A wspólny marketing? Przecież niektóre firmy budowały swoje marki przez dekady...

I my nie zamierzamy im tego zabierać. Cały świat dziś działa jednak inaczej. Największe koncerny zagraniczne składają się z wielu mniejszych firm, ale na zewnątrz, na rynkach zagranicznych, występują jako jedna duża marka. My chcielibyśmy, aby taką marką rozpoznawaną na świecie, marką globalną, była Polska Grupa Zbrojeniowa.

I tylko PGZ będzie się zajmowała eksportem produktów Grupy?

Docelowo chciałbym doprowadzić do tego, że tylko PGZ będzie sprzedawała produkty. Teraz eksportem zajmują się wszystkie spółki Grupy, a niektóre w tym się specjalizują. Jakby tego było mało, Cenrex i Cenzin nie dość, że eksportują, to jeszcze importują asortyment bardzo często podobny do tego, co sami oferujemy.

Jeżeli chodzi o strukturę handlu zagranicznego, chcemy wskazać rynki strategiczne, na których skupimy naszą działalność. Może zdarzyć się tak, że realizując projekt, na przykład w Pakistanie, zainwestujemy pewne środki, żeby zdobyć ten kontrakt. Nawet jeśli się to nie uda, to kontakty, które nawiążemy, mogą zapoczątkować w przyszłości.

Zlikwidujecie zatem Cenrex i Cenzin?

Nie podjęliśmy jeszcze decyzji w tej sprawie. Wbrew obiegowym opiniom te spółki mają duże doświadczenie, kontakty i są podmiotami państwowymi, co jest ogromnym atutem na większości rynków zbrojeniowych.

A co z importem?

Jeszcze się nad tym się zastanawiamy. Być może utrzymamy import produktów, które nie kolidują z naszą ofertą. Tyle że gama tego, co mamy, jest bardzo szeroka, prawie kompletna.

Rewolucja w eksporcie, modyfikacja importu. Zderzy się Pan z wieloma interesami.

Zdajemy sobie sprawę z tego, że zderzymy się z oporem. Dlatego nie podejmujemy nagłych decyzji, tylko analizujemy wszystkie możliwości. Chcemy to zrobić skutecznie i efektywnie. Bez podjęcia tych działań nie rozwinie się jednak jako Grupa.

Kiedy możemy spodziewać się konkretnych decyzji?

Pracujemy nad usprawnieniem modelu zarządzania Grupą, żeby maksymalizować efekt synergii. Jest to wyjątkowo trudne zadanie, ponieważ mamy u siebie nie tylko firmy zbrojeniowe, lecz także na przykład towarzystwo funduszy inwestycyjnych, w którym są m.in. spółki zajmujące się nieruchomościami oraz stocznie. Jeśli chodzi o centralizację eksportu, to chcemy się do tego solidnie przygotować →

wać, aby nie popełnić żadnych błędów. Jesteśmy na etapie wybierania z poszczególnych spółek osób o odpowiednich zdolnościach i potencjale. Najlepszych chcemy ściągnąć do centrali i przy ich pomocy zbudować scentralizowany handel zagraniczny.

Nie boi się Pan powtórki z historii Bumar – holdingu giganta, który okazał się niesterwalny?

To nie historii należy się obawiać. Prawdziwym wyzwaniem jest zmiana mentalności ludzi, zwłaszcza średniego szczebla zarządzającego tak, żeby o podejmowanych działaniach zaczęli myśleć w kontekście grupy kapitałowej. To z pewnością nie stanie się z dnia na dzień, ale bez tego nie ruszymy. Będziemy zbiorem firm, które coś robią, ale ze sobą nie współpracują.

Nawet najlepsi ludzie muszą mieć jednak czym handlować. Jakie produkty PGZ mogą podbić zagraniczne rynki?

Takich produktów mamy bardzo wiele. Jest duże zainteresowanie gromem i piorunem. Dostaliśmy sporo zapytań dotyczących amunicji. Ostatnio kraje arabskie zainteresowały się krabami i rakami. Oczywiście jest też MSBS, który, mam nadzieję, już niedługo trafi do polskiego wojska. To bardzo dobra broń. Jest również oferta z PIT-Radwaru. To doskonale rozwinięta spółka, szczególnie pod względem technologii, ale zdecydowanie mniej, jeżeli chodzi o zdolności produkcyjne. Oferowane przez nią systemy radarowe są naprawdę znakomite. Tylko musimy być w stanie produkować je w ilościach, które będą mogły zaspokoić oczekiwania klientów. Centrum Techniki Morskiej też ma bardzo dobre wyroby, ale koncentrowało się do tej pory na pracach badawczo-rozwojowych i dziś nie ma potencjału, by wdrażać swoje rozwiązania do produkcji seryjnej.

Minister Bartosz Kownacki w wywiadzie dla „Polski Zbrojnej” podkreślał, że Ministerstwo Obrony Narodowej obawia się sytuacji, w której zbrojeniówka nie podoła zleceniom. Trudno nie zauważyć, że spółką w PGZ, która w ostatnich miesiącach zgarnęła najwięcej kontraktów, jest Huta Stalowa Wola. Czy nie istnieje ryzyko zablokowania jej nadmiarem pracy?

Będziemy robili wszystko, aby do takich zatorów nie dochodziło. Jednym z moich priorytetów jest to, aby wszystkie zamówienia były realizowane zgodnie z harmonogramem, terminowo. Wcześniej pracowałem w Polskim Holdingu Obronnym, więc wiem, jakie problemy pojawiały się w trakcie realizacji kontraktów. Doprowadziło to do te-

*To nie historii
należy się
obawiać.
Prawdziwym
wyzwaniem jest
zmiana
mentalności ludzi*

go, że PHO, chociaż był właścicielem polskiego przemysłu obronnego, nie był w stanie wypłacać dywidendy, a jego działalność nie przynosiła dochodów.

Jaki ma Pan pomysł na to, co zrobić z firmą Rosomak? Ilu jeszcze KTO będzie potrzebowała polska armia?

Rosomak blisko współpracuje z fińską Patrią w obszarze produkcji części czy produkcji eksportowej, więc to nie jest tak, że firma nie ma pracy. Nie ukrywam jednak, że pojawiają się koncepcje połączenia spółek OBRUM, Rosomak, Bumar-Łabędy w jeden podmiot. Na razie prowadzone są analizy co do zgodności tego projektu ze strategią PGZ.

W ostatnich latach głośno było o dronowej rewolucji w polskim wojsku. Czy rzeczywiście bezzałogowce mogą stać się kołem zamachowym PGZ?

To, że bezzałogowce są przyszłością naszych sił zbrojnych, nie ulega wątpliwości. To, że nasza armia będzie potrzebowała ich bardzo dużo, także jest poza wszelką dyskusją. Dlatego musimy mieć taką ofertę. Od naszej determinacji i jakości produktów będzie zależało jednak, czy uda nam się je sprzedać. Rynek może jeszcze nie jest w pełni nasycony, ale ofert jest bardzo dużo. Powinniśmy mieć swoje systemy, żeby zaspokoić potrzeby polskiej armii.

PGZ realizuje kilka programów modernizacyjnych, przy okazji których mówi się o problemach i opóźnieniach. Faktycznie tak jest? Na jakim etapie jest na przykład program modernizacji czołgów Leopard 2 do standardu Leopard 2PL?

Odbyłem spotkanie z szefami spółek zaangażowanych w ten projekt i usłyszałem zapewnienie, że żaden z terminów zawartych w kontrakcie nie jest zagrożony. Mimo pewnych problemów absolutnie nic nie grozi temu projektowi.

A co z „Tytanem”?

„Tytan” jest programem zastanym i rzeczywiście były problemy z jego terminową realizacją. Niestety, w krótkim czasie nie da się wszystkiego naprawić. Są jednak pomysły, aby coś się zmieniło na plus. Właśnie prowadzimy z MON-em bardzo zaawansowane rozmowy na temat podpisania kontraktu na dostawy dla wojska opracowywanego w ramach tego programu karabinu MSBS. ■

BŁAŻEJ WOJNICZ jest prezesem Polskiej Grupy Zbrojeniowej i był szefem Polskiego Holdingu Obronnego.

TADEUSZ
WRÓBEL

Fregaty z antypodów



Polska rozważa zakup dwóch używanych australijskich fregat typu Adelaide. Jak zawsze transakcja dotycząca uzbrojenia z drugiej ręki ma zarówno zwolenników, jak i przeciwników. Czy takie okręty są nam potrzebne? Przedstawiona w lutym tego roku „Strategiczna koncepcja bezpieczeństwa morskiego” zawiera m.in. propozycję budowy marynarki wojennej średniej wielkości, opartej na fregatach wielozadaniowych. Jeśli zostanie oficjalnie przyjęta, to marynarka będzie musiała mieć jednostki gotowe do użycia w operacjach sił sojuszniczych, na różnych akwenach morskich, często daleko od Polski.

To znacząca zmiana zadań, jakie planowano wcześniej dla naszej floty wojennej. Dotąd miała ona koncentrować się na działaniach na Bałtyku, z możliwością wyjścia na Morze Północne. I pod kątem takich misji przygotowywano programy budowy jednostek typu Miecznik czy Czapla, czyli korwet, które z powodów PR-owych nazwano okrętami obrony Wybrzeża (po perturbacjach z budową „Gawrona” słowo „korweta” źle się kojarzyło) oraz dużych patrolowców. Te jednostki, ze względu na swe rozmiary, mają ograniczoną autonomię działania na morzu i nie nadają się do długotrwałych misji. Poza tym nie przewidziano dla nich śmigłowców pokładowych, co również zawęża możliwości ich wykorzystania.

Fregata w dzisiejszych czasach jest najpopularniejszą klasą dużych okrętów wojennych. Tylko nieliczne państwa stać obecnie na budowę i utrzymanie większych od nich niszczycieli, a tym bardziej krążowników. Niemniej jednak fregata też nie jest tania. Uznawane za jedne z tańszych duńskie jednostki typu Iver Huitfeldt kosztowały ponad 300 mln dolarów za okręt. W przypadku sąsiedniej Norwegii cena jednostkowa fregaty Fridtjof Nansen oscylowała wokół 500 mln dolarów, natomiast francusko-włoskich jednostek typu FREMM mieściła się w przedziale 470–670 mln euro.

Dlatego kwota potencjalnej transakcji z Australią wynosząca kilkaset milionów złotych, choć jest w naszych warunkach wysoka, to stanowi tylko ułamek tego, ile kosztuje nowy okręt tej klasy. My zaś potrzebujemy pieniędzy na bardziej z naszego punktu widzenia priorytetowe programy zbrojeniowe. ■



Siłły zbrojne Francji za kilka lat otrzymają nowy śmigłowiec wielozadaniowy. Rozpoczęcie kolejnej fazy programu „Wspólny lekki śmigłowiec” (Hélicoptère Interarmées Léger – HIL) ogłosił 3 marca 2017 roku minister obrony Jean-Yves Le Drian podczas wizyty w zakładach w Marignane, należących do Airbus Helicopters. Podobnie jak wcześniej, Francuzi wybrali dla swych sił zbrojnych, bez jakiegokolwiek przetargu czy negocjacji z różnymi oferentami, śmigłowiec, którego dostawcą będzie firma mająca swe zakłady na terytorium ich państwa. Le Drian poinformował, że zgodnie z decyzją rządu HIL powstanie na bazie nowej maszyny firmy Airbus Helicopters, H160.

NOWA GENERACJA

Zanim w planach wojskowych na lata 2014–2019, które przyjęto w 2013 roku i zaktualizowano dwa lata później, pojawił się HIL, na lata 2008–2013 przygotowano program czterotonowego śmigłowca bojowego (Hélicoptère de Combat de la classe des 4 tonnes – HC4). Kryterium masy wskazywało na to, że być może wojsko wybierze inny produkt firmy Airbus Helicopters – H145M. Jego wersję oznaczoną jako UH-72 Lakota zamówiły siły zbrojne

Stanów Zjednoczonych. Francuski resort obrony postanowił jednak postawić na supernowoczesną konstrukcję cywilnego śmigłowca, który jeszcze nie wszedł do produkcji. Na razie trwają testy prototypów H160. Maszyna ma być dostępna na rynku pod koniec 2018 lub na początku 2019 roku.

Minister Jean-Yves Le Drian nie podał, kiedy resort obrony złoży pierwsze zamówienie, ale powiedział, że dostawy H160 do sił zbrojnych rozpoczną się w 2024 roku. Oznacza to, że producent będzie miał około siedmiu lat na dopracowanie wariantów wersji wojskowej. Z pewnością będzie to wymagało sporego wysiłku, bowiem maszyna ma wykonywać różnorodne zadania, zarówno nad lądem, jak i morzem.

W planach wojskowych sprzed lat szacowano potrzeby wszystkich rodzajów sił zbrojnych na 188 lekkich śmigłowców, a ich dostawy miały się rozpocząć już w 2018 roku. Minister Jean-Yves Le Drian powiedział, że jego resort zamówi w ramach programu HIL od 160 do 190 sztuk H160. Według dyrektora operacyjnej agencji uzbrojenia (Direction générale de l'armement – DGA), gen. Monique Legrand-Larroche, zakupionych będzie od 155 do 190 egzemplarzy.

Choć program wojskowy ma w nazwie słowo „lekki”, producent zalicza H160 do śmigłowców średnich. Maszyna, która pierwszy raz wzbiła się w powietrze 13 czerwca

TADEUSZ WRÓBEL

Francuskie śmigła

Dzięki modernizacji floty śmigłowców sił zbrojnych Francuzi zmniejszą liczbę użytkowanych typów maszyn.



FRANCUZI, ZAMIAST KUPOWAĆ NOWE ŚMIGŁOWCE NA POTRZEBY SZKOLENIA, ZDECYDOWALI SIĘ NA **OUTSOURCING**

2015 roku, ma maksymalną masę 5,5–6 t. Jej napęd stanowią dwa silniki Turbomeca Arrano 1A, każdy o mocy 1100–1300 KM. Zapewnią one „sto sześćdziesiąt” prędkość przelotową 296 km/h i maksymalną 325 km/h, a być może nawet ponad 330 km/h. Wersję cywilną ma obsługiwać dwuosobowa załoga. Śmigłowiec będzie mógł zabrać do 12 pasażerów, każdy z bagażem o wadze nieprzekraczającej 25 kg. Alternatywnie będzie można przetransportować 1100 kg ładunku. Przewidywany zasięg lotu H160 to 834 km.

Francuzi podkreślają, że w porównaniu z podobnymi śmigłowcami innych producentów, H160 ma wiele walorów, m.in. będzie zużywał mniej paliwa – o 10–15%, a być może nawet o 20%. Unifikacja uprości obsługę oraz obniży koszty utrzymania wiroplatów.

JEDEN ZA KILKA

Najpilniejszą sprawą wydaje się wymiana maszyn Sud-Aviation SA316 Alouette III w lotnictwie francuskiej marynarki wojennej. Pierwsza prototypowa maszyna, SA3160, napędzana silnikiem Turbomeca Artouste, wzbiła się w powietrze 28 lutego 1959 roku. Alouette III zaczęły trafiać do lotnictwa morskiego w 1962 roku. W sumie otrzymało ono 37 maszyn w wersjach SA316B, SA316B VSV i SA319B (uzbrojone w dwie torpedy Mk 46). Obecnie w służbie pozostają tylko SA319B, które mają być użytkowane do 2026 roku.

Innymi śmigłowcami morskimi, które będą zastąpione przez HIL, są aérospatiale AS565SA Panther i AS365N2/N3 Dauphin. Lotnictwo francuskiej marynarki wojennej otrzymało 16 „panter”, które weszły do służby w latach 1994–1998. Z kolei pierwsze z 13 „delfinów” przekazano w latach 1989–1990. Prawdopodobnie maszyny z programu HIL zastąpią też częściowo śmigłowce pokładowe Westland/Aérospatiale WG-13 Lynx Mk.2/Mk.4. Począwszy od 1978 roku, do francuskiego lotnictwa morskiego trafiło 40 egzemplarzy tych maszyn, przeznaczonych do zwalczania okrętów podwodnych. Odmiana morska H160 ma być uzbrojona w lekkie pociski przeciwskrętowe, opracowywane przez firmę MBDA.

W siłach powietrznych HIL będzie następcą śmigłowców AS555AN Fennec (wcześniejsze oznaczenie AS.355M Equireill 2). Pierwsze z nich kupiono w 1988 roku, a do służby weszły dwa lata później. W sumie do Armée de l’Air trafiło kilkadziesiąt tych lekkich, dwusilnikowych maszyn. W lotnictwie wojsk lądowych H160 zastąpią SA342 Gazelle. Od lutego 1980 roku do →



Francuzi podkreślają, że w porównaniu z podobnymi śmigłowcami innych producentów, H160 ma wiele walorów, m.in. będzie zużywał mniej paliwa – o 10–15%, a być może nawet o 20%.

lipca 1988 roku dostarczono ich 161. Prawdopodobnie 80 nowych śmigłowców będzie pochodziło z programu HIL.

HIL zastąpi we francuskich siłach zbrojnych przynajmniej pięć różnych typów śmigłowców, w klasach od 2 do 7 t, których jest około 200. Przy czym warto pamiętać, że gazelle, które były dostarczone w wersjach bojowych, uzbrojonych w przeciwpancerne pociski kierowane HOT (SA342M) lub przeciwlotnicze Mistral (SA342M L1), lub działka (już wycofane SA341F), są częściowo zastąpione przez śmigłowce szturmowe Tigre (wcześniejsze oznaczenie EC665), których zamówiono 67 egzemplarzy.



REDUKCJA PLATFORM

Niewykluczone, że maszyny kupione w ramach programu HIL zostaną wprowadzone do służby w miejsce części starszych śmigłowców manewrowych z rodziny Puma. Ich w miarę szybkie wycofanie zapowiedział szef francuskiego resortu obrony podczas wizyty w Marignane. W komentarzach medialnych decyzję tę powiązano z tragiczną katastrofą śmigłowca Eurocopter EC225 Super Puma (obecne oznaczenie H225), która wydarzyła się 29 kwietnia ubiegłego roku. Maszyna lecąca z platformy wiertniczej na Morzu Północnym, należącej do Statoil, na lotnisko Bergen-Flesland na zachodnim wybrzeżu Norwegii rozbiła się o skały na wyspie Turøy. W katastrofie zginęło 13 osób. Późniejsze badania metalurgiczne elementów przekładni planetarnej „wykazały cechy silnie zbliżone” do nadmiernego zużycia. Śmigłowiec, który uległ katastrofie, był stosunkowo nowy, bo wyprodukowano go w 2009 roku.

Francuskie siły powietrzne mają śmigłowce SA330 Puma i AS332/EC225 Super Puma (nowe oznaczenie H215/H225), które są przeznaczone do bojowych misji poszukiwawczo-ratowniczych. Pumpy weszły do służby w 1974 roku, a pierwsze super pumpy dziesięć lat później. W ubiegłym roku siłom powietrznym przekazano dwa śmigłowce EC225 z lotnictwa morskiego. Od kwietnia 2010 roku służyły one we Flotylli 32F w bazie Lanvéoc-Poulmic, gdzie zastąpiły maszyny SA321G Super Frelon. Jednostka wykorzystywała je m.in. do misji poszukiwawczo-ratowniczych, szkolenia koman-

ŚMIGŁOWCE W SIŁACH ZBROJNYCH FRANCJI

(STAN Z 1 LIPCA
2016 ROKU)

WOJSKA LĄDOWE

EC665 Tigre	- 55
SA342 Gazelle	- 111
SA330 Puma	- 77
AS532 Cougar	- 26
NH90 Caiman	- 18
EC555 Fennec	- 18
EC725 Caracal	- 8

MARYNARKA WOJENNA

AS565 Panther	- 16
AS365 Dauphin	- 11
SA319 Alouette III	- 20
NFH90 Caiman	- 16
WG-13 Lynx	- 18

SIŁY POWIETRZNE

AS555 Fennec	- 40
EC725 Caracal	- 11
SA330 Puma	- 23
AS332 Super Puma	- 3
EC225 Super Puma	- 2

dosów oraz wsparcia strategicznych sił oceanicznych. Znacznie więcej pum ma lotnictwo wojsk lądowych, które było ich największym użytkownikiem. Śmigłowce SA330 są przeznaczone do transportu wojsk (12–15 żołnierzy) i ładunków. Lotnictwo armii ma jeszcze nowsze i większe maszyny, AS532 Cougar, mogące przewieźć do 21 żołnierzy. Od 1988 roku dostało 28 „kuguarów”.

W przyszłości, w operacyjnych jednostkach śmigłowców poszczególne rodzaje francuskich sił zbrojnych będą dwie lub trzy platformy. W wojskach lądowych oprócz tigre’a i HIL będzie jeszcze śmigłowiec wielozadaniowy średni NH90 Caiman, gdyż „karakale” zostaną prawdopodobnie przekazane siłom powietrznym. Dotychczas za-

mówiono 74 egzemplarze NH90. Jako że w planach była mowa o 115 śmigłowcach manewrowych, uwzględniwszy zachowanie 26 „kuguarów”, wojskowi widzieliby potrzebę zwiększenia zamówień na NH90 do 89 sztuk. Francuskie siły powietrzne będą miały w przyszłości tylko śmigłowce z programu HIL i „karakale”. Także w lotnictwie morskim pozostaną dwie platformy – NFH90 i HIL. Tych pierwszych maszyn zamówiono 27, w tym 14 w wersji do zwalczania okrętów podwodnych i 13 z rampami do działań desantowych.

Francuskie siły zbrojne nie mają ciężkiego śmigłowca transportowego, takiego jak CH-47 w Wielkiej Brytanii i we Włoszech lub CH-53 w Niemczech. Zapytany o to dowódca lotnictwa wojsk lądowych gen. dyw. Olivier Gourlez de la Motte odpowiedział, że nie produkuje ich przemysł. Francuzi od kilkudziesięciu lat wyposażają swe siły zbrojne w śmigłowce oferowane przez rodzimych dostawców. Obecnie przez Airbus Helicopters, a wcześniej – Eurocopter (1992–2014), Aérospatiale (1970–1992) czy Sud-Aviation (1957–1970). Kupowali maszyny zarówno krajowej konstrukcji, jak i wyprodukowane we współpracy z firmami zagranicznymi, np. NH90 jest produktem konsorcjum NHIndustries, które tworzą Airbus Helicopters (wraz z Airbus Helicopters Deutschland ma 62,5% udziałów), Leonardo Helicopters (32%) i Fokker Aerostructures (5,5%). Airbus Helicopters, choć główny zakład ma we Francji, jest firmą wielonarodową i część podzespołów śmigłowca H160 będzie produkowana poza Francją – w Niemczech (kadłuby) i Hiszpanii (belki ogonowe). ■

RAFAŁ CIASTOŃ

Wojsko z głębin

Flota podwodna Federacji Rosyjskiej po latach zapaści powoli nadrabia zaległości, związane zarówno z wcielaniem do służby nowych jednostek, jak i ze wzmocnieniem swej obecności na morzach i oceanach.

Rosyjska flota ma co prawda pięciokrotnie mniej jednostek niż w czasach Związku Radzieckiego, ale – jak podkreślają amerykańscy i brytyjscy dowódcy – skala jej działania jest największa od końca lat osiemdziesiątych XX wieku. Czy tak jest w rzeczywistości? Warto pamiętać, że Rosjanie są mistrzami dezinformacji i wyolbrzymiania swej siły oraz zdolności, chętnie prowokują rozmaite incydenty, na przykład ich uderzeniowe okręty podwodne wchodzą na obszar, na którym w ostatnich latach nie były spotykane.

PIERWSZY Z PIERWSZYCH

W ubiegłym roku, po dwudziestoletnim (!) okresie budowy i trwających trzy lata próbach, do służby wszedł pierwszy uderzeniowy nuklearny okręt podwodny (SSN) typu Jasień. Do końca przyszłego roku powinien się pojawić drugi, należący do zmodyfikowanego typu Jasień-M. Łącznie seria ma liczyć siedem–osiem jednostek. W kręgach dowódczych WMF (Wojenno-Morskij Flot) oraz wśród przedstawicieli przemysłu okrętowego mówi się także o dwóch klasach ich następców, a w zasadzie dwóch wariantach tego samego typu okrętu.

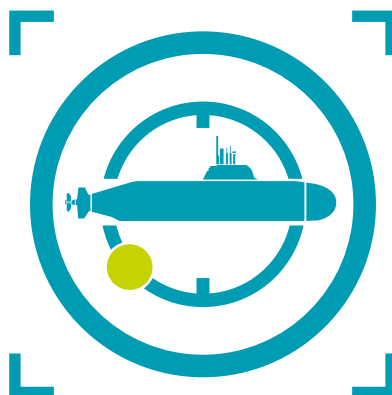
Jasień, określane też jako typ Siewierodwińsk (od nazwy pierwszej jednostki), na Zachodzie zaś znany jako Graney, to pierwszy typ niestrategicznego nuklearnego okrętu podwodnego zbudowanego w Federacji Rosyjskiej. Często postrzega się go jako następcę uderzeniowych jednostek typu Akula, ale koncepcyjnie jest on, przynajmniej częściowo,

sukcesorem także SSGN (nuklearny okręt podwodny uzbrojony w pociski manewrujące) typu Oscar, ciężkiego okrętu zaprojektowanego w czasach ZSRR, którego zasadniczym celem było i jest zwalczanie dużych okrętów na-

wodnych przeciwnika, głównie lotniskowców, pociskami przeciwokrętowymi P-700 Granit (zasięg, wg różnych źródeł, 550–625 km, masa głowicy 750–1000 kg lub głowica termojądrowa o mocy 500 kt, te ostatnie zostały jednak wycofane w ramach porozumienia START). Jasienie są zdecydowanie mniejsze od starszych kuzynów – mają 120 m długości (154 m) i 13 800 t wyporności w zanurzeniu (16 400–24 000 t), czyli są zbliżone rozmiarami do typu Akula (113 m długości i 13 800 t wyporności), jednakże ich uzbrojenie jest bardziej imponujące.

Jasienie są wyposażone w osiem wyrzutni torpedowych (po cztery kalibru 650 i 533 mm, choć według części źródeł, mają osiem wyrzutni tego pierwszego kalibru, a według innych, osiem kalibru 650 mm i dwa kalibru 533 mm), oraz osiem wertykalnych wyrzutni pocisków rakietowych, z których każda może pomieścić od trzech do czterech po-

cisków Kalibr (SS-N-27/30) lub Onyks (SS-N-26). Taka różnorodność uzbrojenia czyni z okrętu wielofunkcyjną platformę, którą można wykorzystać do wielu zadań: zwalczania okrętów podwodnych i nawodnych przeciwnika za pomocą torped, raketotorped i pocisków przeciwokrętowych, minowania, a także atakowania celów lądowych pociskami manewrującymi. O skuteczności tych →



W UBIEGŁYM ROKU, PO DWUDZIESTOLETNIM OKRESIE BUDOWY I TRWAJĄCYCH TRZY LATA PRÓBACH, DO SŁUŻBY WSZEDŁ PIERWSZY UDERZENIOWY NUKLEARNY OKRĘT PODWODNY (SSN) KLASY JASIEŃ

ostatnich świat miał okazję się przekonać kilku-krotnie w 2015 i 2016 roku, kiedy to najpierw okręty nawodne Flotyli Kaspijskiej, a następnie konwencjonalne jednostki podwodne Floty Czarnomorskiej zaatakowały cele w Syrii pociskami kompleksu Kalibr. Zaprezentowały tym samym możliwości dostępne dotychczas wyłącznie okrętom amerykańskim i brytyjskim wyposażonym w pociski Tomahawk.

Kalibry, w zależności od wersji, mogą przenosić około 500-kilogramową głowicę konwencjonalną bądź jądrową, poruszają się z prędkością do niemal 3 Ma, ich zasięg zaś może wynosić 2,5 tys. km, choć pojawiają się doniesienia o wariantach z jeszcze większym zasięgiem.

Dla okrętów potencjalnego przeciwnika również niebezpieczne są pociski Onyks, wyposażone w 250-kilogramową głowicę konwencjonalną, poruszające się z prędkością 2,5 Ma i rażące cele w promieniu 600 km. Jasień mogą także odpalać z wyrzutni torpedowych pociski Granat (SS-N-21) o zasięgu 2,4 km, uzbrojone w 400-kilogramową głowicę konwencjonalną lub jądrową. Ogółem zapas uzbrojenia dla wyrzutni torpedowych wynosi 30 sztuk, do tego należy doliczyć 24–32 pociski przenoszone w wyrzutniach pionowych, co czyni tę klasę okrętów wyjątkowo dobrze uzbrojoną.

Według rosyjskich doniesień, do uzbrojenia nowych okrętów, tak samo zresztą jak i typu Akula drugiej serii, a w przyszłości okrętów nowej generacji, mają zostać wprowadzone wciąż jeszcze testowane pociski Cyrkon. Przy zasięgu około 400 km mają one osiągać prędkość 5–6 Ma, co niemal uniemożliwi ich przechwycenie za pomocą obecnie stosowanych systemów przeciwrakietowych.

Kadłuby nowej klasy rosyjskich SSN są wykonane ze stali małomagnetycznej, co redukuje sygnatury pól fizycznych jednostek. Po raz pierwszy w przypadku rosyjskich konstrukcji zastosowano w nich także sferyczny sonar dziobowy, co wymusiło przesunięcie wyrzutni torpedowych w kierunku śródokręcia. Maksymalna głębokość zanurzenia sięga 600 m, a chłodzony wodą reaktor umożliwia

osiągnięcie prędkości maksymalnej co najmniej 35 w., przy czym do 20 w. jest to tzw. cicha prędkość. Według amerykańskich informacji, rosyjskie okręty mają być również wyjątkowo ciche, choć nie tak jak najnowsze SSN typu Virginia.

POWRÓT DO STARYCH KONCEPCJI

Jasień to typ uniwersalnego okrętu podwodnego, bliskiej koncepcyjnie konstrukcjom amerykańskim, które łączą w sobie cechy SSN i SSGN, przez co jest on także drogi – koszt budowy „Siewierodwiń-



Jasień, określany też jako typ Siewierodwińsk (od nazwy pierwszej jednostki), na Zachodzie zaś znany jako Graney, to pierwszy typ niestrategicznego nuklearnego okrętu podwodnego zbudowanego w Federacji Rosyjskiej.



PRZYSPIESZENIE PRZEZ ROSJĘ TEMPA BUDOWY ATOMOWYCH OKRĘTÓW PODWODNYCH JEST ZAUWAŻALNE ZARÓWNO W KLASIE JEDNOSTEK UDERZENIOWYCH, JAK I STRATEGICZNYCH



ska” to około 1,6 mld dolarów, a przewidywany koszt budowy drugiego w serii, „Kazania”, ma przekroczyć tę wartość. Są to bardzo wygórowane kwoty, zwłaszcza jak na warunki rosyjskie. W dużej mierze to właśnie cena sprawia, że Rosjanie nie zamierzają wydłużać serii okrętów tej klasy i, jak już wspomniano, pozostają przy budowie siedmiu, ośmiu jednostek. Z drugiej strony, koncepcja okrętu uniwersalnego była (i jest) rosyjskim konstruktorom w pewien sposób obca. Jeszcze w czasach radzieckich preferowano jednostki wyspecjalizowane, myśliwskie lub uzbrojone w pociski manewrujące (przeciwskrotowe) i, według dostępnych informacji, po ukończeniu serii jasieni jest planowany powrót do tej koncepcji. Określana na Zachodzie mianem „Husky” seria ich następców będzie najprawdopodobniej produkowana w dwóch wariantach.

ZMIANA PLANÓW

O opracowywaniu w Federacji Rosyjskiej projektu okrętu podwodnego piątej generacji mówi się co najmniej od 2006 roku. Z tego okresu pochodzi też podawana wyporność jednostek – około 6000 t. Według ówczesnych zapowiedzi miał to być okręt myśliwski, przewidziany głównie do ochrony tzw. bastionów, wewnątrz których operują, pod osłoną floty i lotnictwa, własne strategiczne okręty podwodne. Dzięki temu jasienie mogłyby zostać niejako uwolnione do innych zadań. Obecnie mówi się już o dwóch podtypach skonstruowanych na bazie takiego samego kadłuba – jeden z nich miałby pozostać typowym okrętem myśliwskim, drugi zaś byłby uzbrojony również w pociski manewrujące, co czyniłoby z niego jednostkę bardziej wielozadaniową. Jako przewidywany termin położenia stępki podawany był nawet przełom obecnej i przyszłej dekady. Ponieważ jednak budowa jasieni się przeciąga, nie wydaje się, by było to realne wcześniej niż około 2022 roku. Pozostaje także pytanie, jak szybko mogą postępować prace, zwłaszcza że tak

znacząca redukcja wyporności miałyby być możliwe dzięki powrotowi do rozwiązania znanego z czasów radzieckich, zastosowanego na okrętach podwodnych typu Lira (oznaczenie zachodnie: Alfa), a więc do reaktora chłodzonego ciekłym metalem. Takie urządzenia są wprawdzie mniejsze i bardziej wydajne, mają jednak również wady czy też raczej trzeba się liczyć z utrudnieniami eksploatacyjnymi. Wymagają m.in. bardziej zaawansowanej infrastruktury portowej, a także nie mogą zostać wygaszone, bo spowodowałyby to zastygnięcie używanego do chłodzenia metalu. Założenie, że wprowadzenie do służby nowego typu okrętów nie nastąpi wcześniej niż dziesięć lat od położenia stępki pod pierwszą jednostkę, jest w zasadzie pewnikiem.

JAK NAS WIDZA...

Przyspieszenie tempa budowy przez Rosję atomowych okrętów podwodnych jest zauważalne zarówno w klasie jednostek uderzeniowych, jak i strategicznych (typ Boriej). Dodatkowo, ponieważ konwencjonalne jednostki typu Łada nie spełniły oczekiwań, trwają także prace nad nową generacją okrętów konwencjonalnych, najprawdopodobniej wyposażonych w siłownię niezależną od powietrza (typ Kalina). Jak bowiem pokazuje przykład syryjski, Moskwa dąży do tego, by bandera z krzyżem św. Andrzeja była obecna tam, gdzie są prowadzone rosyjskie interesy strategiczne, komponent podwodny zaś tradycyjnie pozostaje najsilniejszym elementem marynarki wojennej FR, tak jak wcześniej radzieckiej. Umiejętnie prezentowane (wywoływane?) incydenty związane z wykryciem obecności uderzeniowych nuklearnych okrętów podwodnych na wodach Atlantyku Północnego, np. w pobliżu wybrzeży Norwegii czy szkockiej bazy Royal Navy w Faslane, są elementem szerszej strategii, mającej na celu pokazywanie rosyjskiej potęgi militarnej w każdym możliwym ujęciu. Działając w ten sposób, Rosja nie tylko zyskuje propagandowo, lecz także zmusza NATO do reakcji w tych obszarach, w których sama czuje się najsilniejsza. ■



INDIE

Wielka modernizacja

Pod koniec marca indyjski rządowy komitet bezpieczeństwa zaakceptował zakup samobieżnych haubic kalibru 155 mm na podwoziu gąsienicowym. Już wcześniej wskazano, że będą to południowo-

koreańskie zestawy **K9 Thunder**. Sto dział wyprodukuje indyjska firma Larsen & Toubro we współpracy z koreańską Samsung Techevin. Dostawy zaplanowano na trzy lata. Haubice, noszące lokalne oznacze-

nie Vajra-T, kosztować mają około 650 mln dolarów.

Zakup samobieżnych haubic stanowi część wielkiego programu modernizacji parku artyleryjskiego armii Indii. W 2016 roku podjęto

HISZPANIA

Program pancerny

Agustín Conde Bajén, hiszpański awiceminister obrony, poinformował podczas posiedzenia parlamentarnej komisji obrony o wstępnych planach resortu związanych z programem nowego ośmiokołowego pojazdu pancernego dla wojsk lądowych. Na początek zamówionych ma być 348 wskazanych już wcześniej wozów **Piranha V**. Pierwsze pięć zostanie dostarczonych w 2018 roku. Docelowo zamówienie może opiewać na tysiąc egzemplarzy. Pojazdy pancerne będą produkowane w kraju przez konsorcjum firm Santa Barbara Sistemas, Indra i Sapa. Conde oszacował koszty programu na 3,836 mld euro. Przy czym sam zakup pochłonie kwotę 1,587 mld euro. WT ■



INDIE

MiG-i z drugiej ręki

Dziennik „New Straits Times” podał, że Indie są zainteresowane odkupieniem od Malezji rosyjskich myśliwców MiG-29.

Możliwość takiej transakcji potwierdził podczas wizyty w tym kraju szef malezyjskiego rządu Datuk Seri Najib Razak. Malezja w 1995 roku kupiła 18 myśliwców w wersjach jednomiejscowej MiG-29N i szkolno-bojowej dwumiejscowej MiG-29NU. Obecnie malezyjskie lotnictwo ma 12 takich maszyn, w tym dwie szkolno-bojowe. Odkupione myśliwce Hindusi

zamierzają zmodernizować i włączyć do swych sił powietrznych. W 1987 roku otrzymały one pierwsze z 70 egzemplarzy MiG-29B i dziesięciu MiG-29UB, kupionych w Związku Sowieckim. Zgodnie z podpisaną w 2008 roku umową 61 maszyn bojowych miało być poddanych modernizacji do wersji MiG-29UPG, a osiem szkolno-bojowych do wersji MiG-29UUPG. WW ■



Zakup samobieżnych haubic stanowi część wielkiego programu modernizacji parku artyleryjskiego armii Indii.

ROKA ARMY

decyzję o kupnie 145 superlekkich haubic holowanych M777 kalibru 155 mm. Według przyjętego w 1999 roku planu, do 2027 roku do indyjskiej armii trafi 2800 dział. Poza już zamówionymi w planach jest zakup 180 samobieżnych na podwoziu kołowym, 814 zamontowanych na ciężarówkach i 1580 holowanych. WRT ■

BRAZYLIA

Haubice z USA

W końcu marca do Brazylii dostarczono pierwsze samobieżne haubice M109A5.

Jedno z dział zaprezentowano podczas wystawy zbrojeniowej LAAD, która odbyła się na początku kwietnia w Rio de Janeiro. Brazylijskie wojska lądowe kupiły od USA 36 używanych haubic M109A5. Na mocy umowy podpisanej we wrześniu 2016 roku z BAE Systems 32 z nich zostaną zmodernizowane do wersji M109A5+. Działa te mają trafić do 3 i 5 Grupy Artylerii Samobieżnej, stacjonujących w miejscowościach Santa Maria i Kurytyba. Większość zmodernizowanych

zestawów będzie dostarczona w 2018 roku. Armia brazylijska ma już 40 haubic M109A3 kupionych w 1999 roku w Belgii. W ■



TAJLANDIA

Więcej czołgów

Prawit Wongsuwan, wicepremier i minister obrony Tajlandii, poinformował, że 4 kwietnia rząd pojął decyzję o zwiększeniu o dziesięć egzemplarzy zamówienia na chińskie czołgi podstawowe Norinco VT-4.

Kontrakt będzie opiewać na 2 mld bahtów, czyli 58 mln dolarów. 16 maja 2016 roku Tajowie podpisali umowę na pierwszą partię 28 wozów będących eksportową wersją czołgu MBT-3000, które mają kosztować 5 mld bahtów, czyli około 150 mln dolarów. W rywalizacji o tajlandzki kontrakt Chińczycy pokonali Rosjan, którzy oferowali T-90 MS.

1 września 2011 roku Tajlandia podpisała umowę na dostawę 49 czołgów **T-84 Oplot-M** oraz dwóch wozów zabezpieczenia tech-



WARTOŚĆ UMOWY WYNIOSŁA 7,2 MLD BAHTÓW, CZYLI OKOŁO 240 MLN DOLARÓW

nicznego z Ukrainy. Jej wartość wyniosła 7,2 mld bahtów, czyli około 240 mln dolarów. Tajlandzka armia postanowiła zastąpić tymi pojazdami amerykańskie lekkie czołgi M-41, których pierwsze egzemplarze kupiono w 1957 roku. Potrzeby oszacowano na 200 nowych wozów. Według niektórych publikacji Tajlandia miała otrzymać od Ukrainy pięć czołgów gratis, czyli w sumie 54, jednak Ukraińcy nie dotrzymali terminów dostaw. W tej sytuacji władze Tajlandii postanowiły wybrać innego dostawcę pozostałych 150 sztuk. W ■

Broń laserowa, i to różnego typu, od karabinów po działa, czy tego chcemy, czy nie chcemy, właściwie musi wejść do służby. A imperatyw ten jest spowodowany... rozwojem światowej kinematografii. Praktycznie w każdym filmie SF, który powstał, występuje broń laserowa, a saga „Gwiezdne wojny” to wręcz hołd złożony jej mocy. Rycerze Jedi mają laserowe miecze, Gwiazda Śmierci laserem niszczy planety, a krążowniki imperium są uzbrojone w setki laserowych dział. A tak już zupełnie poważnie – to, że lasery znajdą prędzej czy później zastosowanie jako nowy typ broni, było właściwie jasne od momentu, gdy się pojawiły w połowie lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Umożliwiają bowiem skoncentrowanie w postaci wiązki światła tak ogromnej energii, że nie ma właściwie materiałów zdolnych się jej oprzeć. Nie ma też szansy, aby przed takim „strzałem” uciec.

Największym problemem, z którym właściwie od początku prac nad bronią energetyczną zmagali się inżynierowie, jest rozmiar urządzeń niezbędnych do wytworzenia promienia światła o odpowiedniej mocy. Przyjmuje się, że aby na przykład spalić układy elektryczne w danym statku powietrznym i wywołać eksplozję – czy to paliwa, czy amunicji przewożonej na jego pokładzie – trzeba użyć lasera o mocy powyżej 25 kW. Aby ta broń mogła przebić metalowy pancerz o grubości metra, potrzeba około 60–70 kW. Idealnym jest promień o mocy 200 kW. Potrafi on przedziurawić sześciometrową płytę pancerną w ciągu sekundy. Niestety dzisiejsza technologia sprawia, że taki laser zajmuje, bagatela, powierzchnię stadionu piłkarskiego. To i tak nieźle, bo do połowy lat dziewięćdziesiątych nie było nawet technicznych możliwości, aby zbudować takie urządzenie.

Rosjanie swój program laserowych systemów walki uruchomili bardzo wcześnie, bo w latach sześćdziesiątych. Kierował nim w latach siedemdziesiątych utalentowany fizyk Nikołaj Ustinow, syn ówczesnego ministra obrony Związku Radzieckiego. Na początku lat osiemdziesiątych zbudowano czołg SLK 1K11 wyposażony w taką broń, jednak była ona na tyle słaba, że można było co najwyżej oslepić załogę czołgu nieprzyjaciela. Dopiero kolejny projekt, oznaczony symbolem 1K17, który trafił do badań na początku lat dziewięćdziesiątych, dysponował działami, a dokładniej kilkunastoma laserami mogącymi uszkodzić układy elektroniczne pojazdu (spalić je), a w przypadku nieru-

KRZYSZTOF WILEWSKI

LASEROWA ARTYLERIA

Amerykanie z dumą je prezentują, używając do budowania obrazu siły i potęgi armii. Rosjanie chwalą się, że je mają, ale nikomu nie pokazują. Chińczycy nie mówią nic, ale wszyscy wiedzą, że ich program badawczy nad tym rodzajem broni jest bardzo zaawansowany.



HEL

Opracowany przez Rheinmetall morski laserowy system HEL (high-energy laser), w ubiegłym roku został przekazany niemieckiej marynarce wojennej do testów.

chomego obiektu (surrealizm na polu walki) nawet przebić pancerną płytę o grubości około 300–400 Rha.

PRZESKOK GENERACYJNY

Dziś jesteśmy w zupełnie innym miejscu, jeśli chodzi o broń laserową. Mówimy już nie o konstrukcjach przyszłości, które pojawiają się nie wiadomo kiedy i nie wiadomo gdzie, lecz o realnych projektach, w kilku przypadkach już będących w służbie! Amerykański okręt desantowy USS „Ponce” cztery lata temu, w 2013 roku, stał się



FOT JOHN F. WILLIAMS / US NAVY

pierwszą na świecie jednostką, na której zainstalowano laserowe działo LaWS (Laser Weapon System), będące nie prototypem, lecz w pełni funkcjonalnym produktem seryjnym – przed wejściem do służby musi jeszcze przejść stosowne wojskowe badania i certyfikacje. Rok później LaWS, którego moc specjaliści oceniają na maksymalnie 50 kW, zestrzeliwując dość spory dron, potwierdził gotowość operacyjną systemu i został oficjalnie przyjęty do uzbrojenia US Navy. Pierwsza bojowa misja laserowego okrętu została przeprowadzona w Zatoce Perskiej jesienią 2014 roku.

Choć amerykańska marynarka wojenna jest szczęśliwym posiadaczem pierwszego oficjalnie wprowadzonego do służby operacyjnej laserowego dział, nie oznacza to, że inne rodzaje wojsk nie są bliskie pozyskania dla siebie

LaWS



Działo laserowe LaWS (Laser Weapon System) zamontowane na USS „Ponce” zestrzeliło dość sporego drona, potwierdzając gotowość operacyjną systemu.

podobnych systemów. Nad działami dla wojsk lądowych, i chodzi tutaj o lasery nie tylko przeciwlotnicze i przeciw-rakietowe, lecz także przeciwpancerne, pracują intensywnie największe amerykańskie firmy zbrojeniowe: Boeing, Lockheed Martin, Northrop Grumman i Raytheon.

Jednym z najbardziej obiecujących programów jest „Athena” koncernu Lockheed Martin. System, będący rozwinięciem opracowanego do zestrzeliwania wrogich pocisków rakietowych laseru ADAM (Area Defense Anti-Munitions) o mocy 10 kW, dysponuje nie tylko trzy razy większą mocą niż poprzednik, lecz także masą i systemem zasilania ogniwowego, umożliwiającymi umieszczenie go na ciężarówce. Kilka miesięcy temu na poligonie w Teksasie amerykańskie wojsko przeprowadziło testy Atheny, podczas których konstrukcja ta bez problemu poradziła sobie z unieszkodliwieniem niewielkiej ciężarówki. Lockheed Martin zapowiada, że w ciągu dwóch – trzech lat będą gotowe mniejsze wersje tego systemu, które będzie można umieścić w samolotach i śmigłowcach.

NIE TYLKO SUPERMOCARSTWA

Nad artylerią laserową pracują jednak nie tylko USA i Rosja. Nikt nie ma wątpliwości, że robią to także Chińczycy, w przeciwieństwie jednak do Waszyngtonu i Moskwy nie toczą w tej sferze wojny propagandowej. Aktywne w tej dziedzinie są również mniejsze kraje, chociażby nasz zachodni sąsiad – Niemcy. Dwa lata temu tamtejsza armia testowała opracowany przez koncern MBDA Deutschland przeciwlotniczy laser o mocy około 10 kW. Za jego pomocą zniszczono dron oddalony o 500 m. Nieco większym zasięgiem dysponuje opracowany przez Rheinmetall morski laserowy system HEL (high-energy laser), który w ubiegłym roku został przekazany niemieckiej marynarce wojennej do testów. Według informacji producenta, można nim efektywnie razić cele oddalone mniej więcej o 3 km.

Przyszłość zdecydowanie należy więc do artylerii laserowej, która ma tę przewagę nad pociskami rakietowymi, że koszt jednego wystrzału to w zasadzie koszt prądu, jaki zostanie zużyty. Naukowcy oceniają, że już w 2020 roku będą gotowe prototypy laserów o mocy 200 kW, dysponujące siłą niszczenia porównywalną do klasycznej broni albo i większą. ■



Konferencja naukowo-szkoleniowa **TRAUMATOLOGIA w XXI wieku – co nowego?**

**Współczesne doświadczenia
oddziałów zabiegowych,
centrów urazowych i pola walki**

1–3 czerwca 2017 roku

**Hotel Boss – Centrum
Konferencyjno-Szkoleniowe
ul. Żwanowiecka 20, Warszawa**

<https://wincon.wim.mil.pl/traumatologia/>

BIURO ORGANIZACYJNE

Medisfera Marcin Zabawa
ul. Kraszewskiego 85 C m. 7, 05-400 Otwock
tel. +48 502 646 723
e-mail: marcin.zabawa@medisfera.pl





RAFAŁ
CIASTOŃ

Pancerne olbrzymy



Uzbrojenie okrętów w artylerię spowodowało, że koniecznością stało się wprowadzenie zmian w taktyce wojny morskiej. Działa były umieszczane na burtach, więc ich moc w największym stopniu pozwalała wykorzystać sztyk liniowy, w którym jednostki mogły razić przeciwnika pełną salwą burtową. Pod koniec XVII wieku zaczęto wyróżniać nową klasę okrętów, właśnie okręty liniowe, największe i najsilniej uzbrojone jednostki we flocie, które wraz z końcem epoki żaglowców przeobraziły się w silnie opancerzoną klasę, dziś określaną mianem przeddrednotów. Budowano je od lat osiemdziesiątych XIX stulecia. Były uzbrojone w kilka (najczęściej cztery) dział głównego kalibru, umieszczonych zwykle w dwóch wieżach, po jednej na dziobie i na rufie, a także kilkanaście dział mniejszego kalibru, w kazamatach na obydwu burtach. Do salwy burtowej używano więc jedynie połowy tych ostatnich, co obniżało jej siłę.

Za typowego przedstawiciela epoki może uchodzić japoński Mikasa, flagowy okręt adm. Heihachirō Tōgō w czasie bitwy z rosyjską flotą pod Cuszimą. Przyjęta do służby w 1902 roku jednostka była uzbrojona m.in. w cztery działa kalibru 305 mm oraz 14 dział 152-milimetrowych, przy długości 131 m wypierała nieco ponad 15 tys. ton. Przeddrednotem był również niemiecki Schleswig-Holstein. Na początku XX wieku ta klasa okrętów liniowych musiała ustąpić pola nowej, nazwanej dreadnotami od nazwy pierwszego okrętu nowego wzoru, brytyjskiego HMS „Dreadnought”. Bitwa pod Cuszimą, zakończona pogromem floty rosyjskiej, dowiodła, że artyleria średniego kalibru ma niewielkie znaczenie w starciu jednostek równorzędnych klas, rozstrzyga się ono bowiem poza jej zasięgiem. Utrwalone zostało też znaczenie salwy burtowej: sztyk obu eskadr przypominał kształtem literę „T”, z tym że okręty japońskie stanowiły poziomą kreskę tej litery i mogły nimi strzelać, podczas gdy zbliżające się okręty rosyjskie (pionowa kreska) mogły używać wyłącznie dział dziobowych.

Pomysły na ujednolicenie głównej artylerii pancerników pojawiały się we Włoszech, USA i Japonii, jednak to Brytyjczycy najszybciej wcielili je w życie. Jesienią 1905 roku położono stępkę pod HMS „Dreadnought” uzbrojony w dziesięć dział kalibru 305 mm. Rozlokowanie wież umożliwiało użycie w salwie burtowej ośmiu z nich. Przeddrednoty z dnia na dzień stały się jednostkami przestarzałymi, floty mocarstw musiały przezbroić się w jednostki nowego wzoru. Pancerniki królowały na morzach przez kolejne trzy i pół dekady i powiększyły się do olbrzymich rozmiarów. Japoński typ Yamato, o długości 263 m, wypierał już 72 tys. ton i był uzbrojony w dziewięć dział kalibru 457 mm, ostatni zaś spośród amerykańskich typów pancerników, Iowa, którego długość sięgała 270 m, wypierał o 20 tys. ton mniej. Niemcy planowali budowę jednostek o wyporności ponad 130 tys. (!) ton. II wojna światowa przyniosła jednak kres epoki gigantów, zwłaszcza działania na Pacyfiku udowodniły, że dominującą siłą, również na morzu, jest lotnictwo. Okręty liniowe ustąpiły pola lotniskowcom.

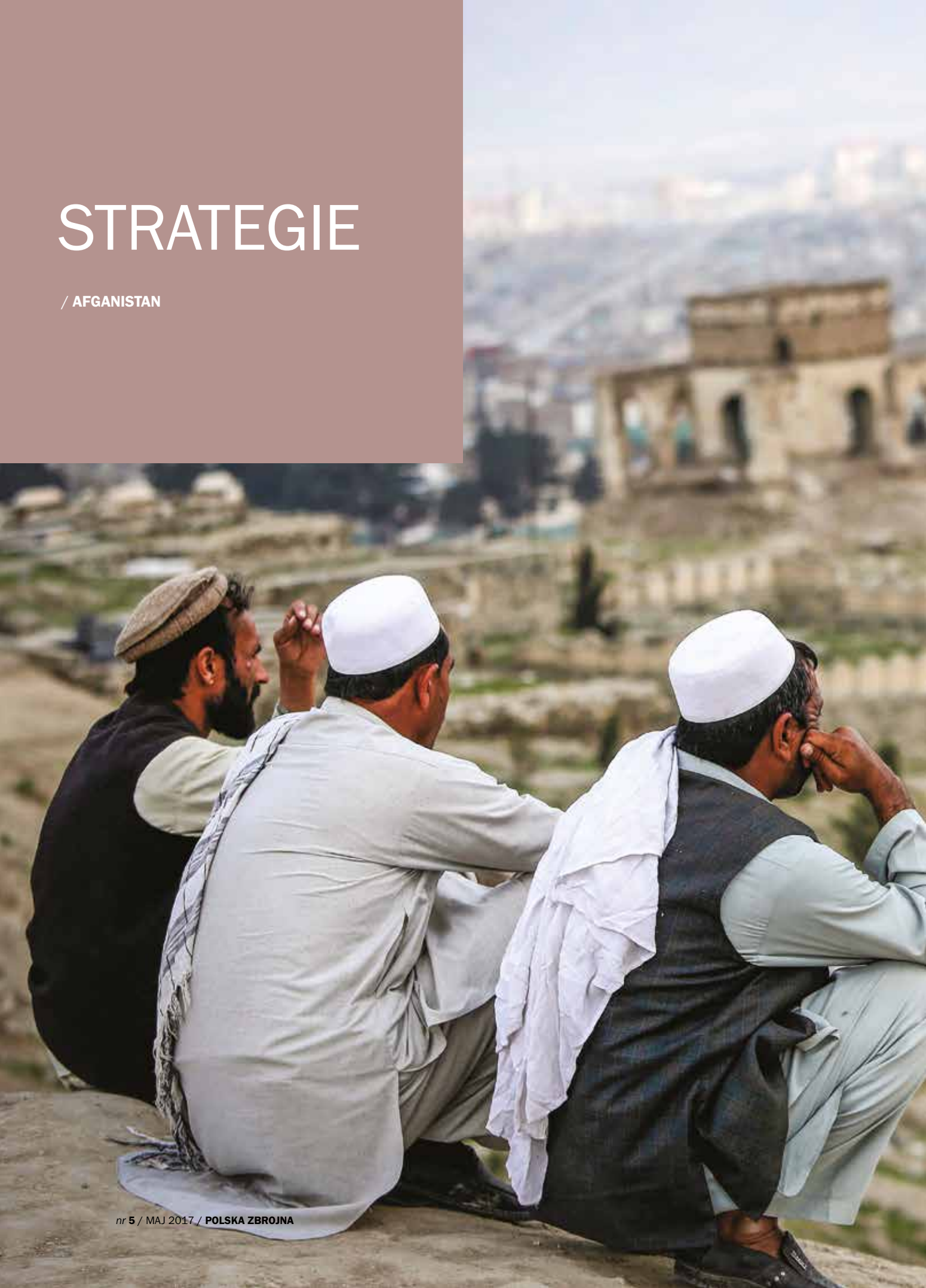
Pancerniki typu Iowa pozostawały w służbie do końca lat pięćdziesiątych XX wieku. Jeden z nich powrócił w czasie wojny wietnamskiej, wszystkie cztery zaś – w latach osiemdziesiątych. Było to związane z Reaganowską wizją floty 600 okrętów. Jednostki liniowe uzbrojono w pociski Harpoon i Tomahawk i pozostawały one w służbie do początku kolejnej dekady. Pojawiła się też wizja zastąpienia dziewięciu dział kalibru 406 mm działami kalibru 330 mm, ale nie została zrealizowana. Epoka pancerników się skończyła. ■



RAFAŁ CIASTOŃ jest doktorantem Akademii Sztuki Wojennej, ekspertem Fundacji im. Kazimierza Pułaskiego.

STRATEGIE

/ AFGANISTAN



TOMASZ OTŁOWSKI

ŻYCIE NIE ZNOSI PRÓŻNI

**Gdy zainteresowanie państw zachodnich
sprawami Afganistanu maleje, rośnie
zaangażowanie innych graczy sceny
międzynarodowej.**

RAHMAT GUL/AP/EAST NEWS
↓

L

istopad 2016 roku – w regionalnych mediach azjatyckich pojawiają się pierwsze doniesienia o obecności chińskich żołnierzy w północno-wschodnim Afganistanie. Informacje te nie przebijają się jednak do głównego nurtu wiadomości na świecie i zostają szybko zdementowane zarówno przez Kabul, jak i Pekin.

Początek marca 2017 roku – w ręce bojowników Ruchu Talibów wpada stolica dystryktu Tala w Barfak w północnoafgańskiej prowincji Baghlan. To już drugi dystrykt tej prowincji zajęty przez talibów w ostatnich miesiącach.

Koniec marca 2017 roku – talibowie uzyskują kontrolę nad całym dystryktem Sangin w południowej prowincji Helmand – tym samym, o który przed dekadą krwawe boje toczyli Amerykanie i Brytyjczycy.

Marzec 2017 roku – gen. Curtis Scaparrotti oświadczył w Senacie USA, że nie wyklucza zaangażowania Rosjan w materialne wspieranie afgańskich talibów, w tym dostaw uzbrojenia i sprzętu bojowego.

Czy pojawiające się równolegle informacje o sukcesach talibów, o zaangażowaniu Rosji oraz o chińskiej obecności wojskowej w północnym Afganistanie mogą mieć ze sobą coś wspólnego? Okazuje się, że tak. Pogarszająca się sytuacja w tym kraju coraz bardziej niepokoi sąsiadów Afganistanu i wymusza wzrost ich aktywności.

PRZEJŚCIOWE TRUDNOŚCI

Obawy regionalnych graczy nie są bezzasadne. W trzecim roku od chwili przekazania stolicy afgańskiej pełni odpowiedzialności za kierowanie sprawami państwa sytuacja w Afganistanie jest daleka od stabilnej. Realna władza kabulskiego rządu nad odległymi terytoriami kraju coraz bardziej się kurczy, a kolejne rejony przechodzą pod kontrolę opozycji. Według danych z marca 2017 roku, talibski ruch oporu kontroluje już w pełni 44 dystrykty w całym

kraju, o 56 toczą się zażarte walki, a w kolejnych niemal stu sprawowanie przez Kabul jurysdykcji jest w mniejszym lub większym stopniu ograniczone aktywnością talibów lub innych ugrupowań ekstremistycznych, przede wszystkim struktur wilajetu Chorasán, czyli afgańskiej ekspozytury Państwa Islamskiego (IS).

Jak podała amerykańska agencja federalna zajmująca się nadzorowaniem odbudowy i reformowania państwa afgańskiego (*Special Inspector General for Afghanistan Reconstruction* – SIGAR), władze w Kabulu pod koniec 2016 roku kontrolowały 52% z 407 dystryktów. Rok wcześniej odsetek ten wynosił 72. Niebezpiecznie jest już w samym Kabulu, nawet w wydzielonych dzielnicach rządowych. Niemal co tydzień dochodzi do spektakularnych, krwawych zamachów i ataków, które stawiają pod znakiem zapytania skuteczność tamtejszych sił bezpieczeństwa.

Sytuację dodatkowo komplikuje zażarta rywalizacja głównych sił politycznych oraz utrzymujące się podziały etniczne i wyznaniowe. Tymczasem szanse na pokojowe rozwiązanie konfliktu maleją wprost proporcjonalnie do postępujących sukcesów talibów, którzy stają się coraz mniej skłonni do negocjacji z władzami, nawet zakulisowych. Taki stan wykorzystuje Al-Kaida, która po 14 latach zaczęła w 2015 roku odtworzać sieć obozów szkoleniowych i baz na kontrolowanych przez talibów terenach.

Pogarszanie się stanu bezpieczeństwa w Afganistanie coraz częściej staje się tematem doniesień światowych mediów. I w gruncie rzeczy jest to niemal jedyny tak autentyczny przejaw zainteresowania



TALIBOWIE STAJĄ SIĘ CORAZ MNIEJ SKŁONNI DO NEGOCJACJI Z WŁADZAMI, NAWET ZAKULISOWYCH



międzynarodowej opinii publicznej tym, co dzieje się u podnóża Hindukuszu. Ponad dwa lata po zakończeniu operacji ISAF, Afganistan – zgodnie z wcześniejszymi obawami wielu ekspertów i analityków, a także moimi – nie-

mal całkowicie zniknął z szerszej agendy politycznej państw Zachodu.

Owszem, wciąż działają tam misje międzynarodowe (w tym „Resolute Support”), funkcjonują różne agendy i organizacje międzynarodowe, trwa współpraca multi- i bilateralna, a Amerykanie mają nawet swój kontyngent sił specjalnych, działający niejako obok sił sojuszu. Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że wszystko to dzieje się bez większego zaangażowania. Tym bardziej że w tych działaniach pojawia się coraz więcej zgrzytów, szczególnie jeśli chodzi o płynne zagraniczne finansowanie afgańskiego państwa i jego aparatu władzy. O wzajemnym zaufaniu

obu stron nie wspomnę. Poza tym ta pozornie bezproblemowa współpraca toczy się w niemal całkowitym oderwaniu od realnych wydarzeń w kraju i wokół niego. Oficjalnie sprawy zatem wciąż idą w dobrym kierunku i choć nadal występują „przejściowe trudności”, to w wielu kwestiach (np. dotyczących szkolenia afgańskich sił bezpieczeństwa) raportuje się stały postęp, a władze afgańskie „zdają egzamin z samodzielności”.

Ciekawe, czy taka optymistyczna perspektywa sytuacji w Afganistanie będzie lansowana nawet wówczas, gdy talibowie zaczną szturmować miejsce urzędowania prezydenta Aszrafa Ghaniego w Kabulu, czyli słynną Cytadelę, będącą historyczną siedzibą władców Afganistanu. Na razie zaklinanie rzeczywistości w Afganistanie sprawia jedynie, że każdy udany zamach czy atak przeciwników rządu i sił międzynarodowych jest odbierany na świecie ze zdziwieniem i niedowierzaniem. Skoro bowiem jest tak dobrze, to czemu nagle jest aż tak źle, że talibowie lub ekstremiści z IS są w stanie przeprowadzić spektakularną, zaawansowaną planistycznie operację terrorystyczną w samym centrum afgańskiej stolicy?

PRZYGODA Z AFGANISTANEM

Życie nie znosi jednak próżni. Gdy realne zainteresowanie państw zachodnich sprawami Afganistanu maleje, rośnie zaangażowanie innych graczy sceny międzynarodowej. Nie powinno więc dziwić, że takie

NAFTIZIN / FOTOLIA





W Afganistanie wciąż występują „przejęciowe trudności” w wielu kwestiach, na przykład w szkoleniu afgańskich sił bezpieczeństwa.

IRAN, CHINY, ROSJA CZY INDIE Z ROKU NA ROK ZWIĘKSZAJĄ SWOJĄ OBECNOŚĆ I AKTYWNOŚĆ NA OBSZARZE AFGANISTANU

kraje, jak Pakistan, Iran, Chiny, Rosja czy Indie, z roku na rok zwiększają swoją obecność i aktywność na obszarze Afganistanu. I to zarówno tę oficjalną – mierzoną wartymi milionami dolarów inwestycjami oraz wsparciem i pomocą humanitarną, jak i nieformalną – polegającą na zakulisowym wspieraniu najróżniejszych sił i grup interesów, tak w obozie władzy, jak i zbrojnej opozycji.

Wiele spośród tych państw, jak Indie czy Iran, przygodę z Afganistanem zaczęło już wiele lat temu, kiedy jeszcze nikt nie przypuszczał, że Zachód tak szybko wycofa się spod Hindukuszu. Inne – jak Pakistan czy Rosja – ponoszą do pewnego stopnia odpowiedzialność za sytuację w tym kraju co najmniej na przestrzeni ostatniego ćwierćwiecza i tym samym ich zainteresowanie sprawami afgańskimi jest niejako naturalne. Jeszcze inne – zwłaszcza Chiny – stawiają na tym terytorium pierwsze kroki, choć biorąc pod uwagę skalę i tempo zaangażowania w Afganistanie, mają wszelkie szanse prześcignąć innych graczy.

A gra o wpływy w tym odległym kraju, powszechnie uważanym za dziki i zapomniany przez bogów – choć w przeszłości wielokrotnie zwyciężał wcześniej niezwyciężone pochody największych potęg świata – zdecydowanie się zaostrza i wkracza w nowy etap – już nie tylko rywalizacji politycznej i ekonomicznej, lecz także potencjalnej

konfrontacji militarnej. Trzeba przyznać, że takiego rozwoju sytuacji nie przewidywał chyba nikt.

Myliliby się jednak ten, kto by sądził, że zaangażowanie regionalnych graczy ma na celu altruistyczne wsparcie państwa i społeczeństwa afgańskiego. Owszem, wielu z nich kieruje się przesłankami praktycznymi i pragmatycznymi, jak chociażby dążeniem do powstrzymania islamistycznego ekstremizmu i zapobieżenia jego rozprzestrzenianiu się z terenów Afganistanu na sąsiednie regiony Azji. W rzeczywistości zainteresowanie biednym, górzystym Afganistanem to klasyczny przykład samonapędzającej się rozgrywki geopolitycznej, w której stawką nie jest sam jej przedmiot, lecz pilnowanie innych uczestników współzawodnictwa. I odpowiednie reagowanie na ich poczynania – bez względu na rezultaty dla samego Afganistanu, jego mieszkańców, władz i sytuacji politycznej.

ROSZADY NA PLANSZY

I tak, jednym z głównych powodów aktywizacji wielu mocarstw w Afganistanie jest dążenie do podkopania pozycji zarówno Stanów Zjednoczonych, jak i całego Zachodu. To właśnie tymi motywami w pierwszej kolejności kierują się tacy gracze, jak Irańczycy, Rosjanie czy Chińczycy. Dla nich militarna obecność zachodnich

państw w samym sercu Azji przez lata była powodem do obaw. Osłabienie ich i uwikłanie w przewlekłą operację, drenującą siły i środki, było zatem naturalnym odruchem obronnym. Uważni obserwatorzy już dawno to dostrzegli. Sygnały potwierdzające taki stan rzeczy były zresztą oczywiste i ogólnie dostępne. Chodzi na przykład o nowoczesne uzbrojenie produkcji irańskiej w rękach talibów z prowincji Ghazni (2010 rok), obozy szkoleniowe dla bojowników Talibanu we wschodnim Iranie (2008–2011), wielokrotnie powracające doniesienia o finansowaniu i zaopatrywaniu antyrządowego zbrojnego podziemia afgańskiego przez Rosjan (2017 rok) czy zaangażowanie Pakistanu i jego osławionego wywiadu wojskowego ISI w działalność jawnie wymierzoną w prozachodnie władze w Kabulu.

Afganistan i dobro jego mieszkańców są zatem jedynie parawanem dla działań mających w istocie inny cel. A tych jest tyle, ilu graczy zainteresowanych Afganistanem. Iran – oprócz wspomnianego wcześniej dążenia do osłabienia obecności Stanów Zjednoczonych (co jednak po 2014 roku stało się już mniej aktualne wobec radykalnego zmniejszenia poziomu zaangażowania sił amerykańskich pod Hindukuszem) – kieruje się w działaniach wobec afgańskiego sąsiada także własnymi, długofalowymi interesami strategicznymi. Chodzi przede wszystkim o dążenie do wzmocnienia społeczności szyickich (Hazarówie), od wieków żyjących w północno-zachodnim Afganistanie i w naturalny sposób ciągnących ku szyickiemu, irańskiemu patronowi. Równie ważny jest imperatyw rozprzestrzeniania rewolucji islamskiej, który nakazuje promowanie jej wartości wszędzie tam, gdzie żyją muzułmanie – także sunnici.

Ten irański, szyicki „prozelityzm” spotyka się jednak ze zdecydowanym sprzeciwem i kontradziałaniami Pakistanu – sojusznika wahabickiej (czyli ultrasunnickiej) Arabii Saudyjskiej i zwolennika twardej linii wobec szyizmu. Dla Islamabadu jakiegokolwiek wpływy szyickiej „herezji” w Afganistanie, zwłaszcza w jej wydaniu irańskim, są niedopuszczalne, jako obce lokalnej tradycji i kulturze, a także sprzeczne z pakistańską wizją geopolityki regionu, w której od dekad Afganistan jest tzw. głębią strategiczną w rywalizacji z Indiami. Stąd też nerwowe reakcje Pakistańczyków na zacieśniającą się od lat współpracę Kabulu z Nowym Delhi i rosnącą ekonomiczną, polityczną, ale też militarną obecność Hindusów w Afganistanie. Nic zatem dziwnego, że także Indie interesują się tym krajem. To nie tylko próba budowania autentycznego przyczółku flankującego od północy odwiecznego rywala i wroga; to także dążenie do odciążenia i rozproszenia uwagi oraz sił i środków Islamabadu, wymuszenie dywersyfikacji jego strategicznych zasobów.

Od kilku lat jesteśmy też świadkami szybko rosnącego zaangażowania Chin w tym regionie. Pekin przez wiele lat z uwagą, ale z oddali obserwujący wydarzenia w Afganistanie postanowił aktywniej włączyć się w rozgrywkę wokół tego kraju. Było to tym bardziej oczywiste, że zbiegło się w czasie z kulminacją chińskiej polityki aktywnego oddziaływania na sytuację międzynarodową w otoczeniu Państwa Środka (nawiązującej do starożytnej idei Jedwabnego Szlaku – systemu handlowych i kulturowo-cywilizacyjnych połączeń między Chinami a ich zachodnimi sąsiadami). Chińczycy zaczęli działać z rozmachem godnym wschodzącego supermocarstwa: w Afganistanie niemal z dnia na dzień zaroilo się od chińskich firm i przedsiębiorstw, które – nie bacząc na nienajlepszą i wciąż pogarszającą się sytuację bezpieczeństwa – zaczęły wygrywać przetargi i zdobywać lukratywne kontrakty.

W Afganistanie powtórzył się więc scenariusz z Afryki, gdzie w ostatnich kilkunastu latach chińskie firmy szturmem zdobyły lokalne rynki i wypełniły nisze będące poza obszarem zainteresowania konsorcjów zachodnich – jako zbyt niebezpieczne, mało zyskowne, a do tego na przykład w kraju objętym sankcjami politycznymi i ekonomicznymi uznane za naruszanie praw człowieka. Chińczycy nie patrzą na takie niuanse i przywożą na miejsce nie tylko swoich pracowników, lecz także całe brygady ochrony, przypominające małe armie. Ocenia się, że w Afganistanie pracuje już nawet kilkanaście tysięcy chińskich ochroniarzy. Niedawne doniesienia o obecności na terytorium afgańskim członków regularnych formacji bezpieczeństwa z Państwa Środka – bez wątpienia działających w ramach jakiegoś porozumienia z rządem w Kabulu – rzucają dodatkowe światło na skalę i charakter aktywności Pekinu w Afganistanie. Warto w tym kontekście pamiętać, że tak bezpośrednie zaangażowanie chińskie ma też bardzo wyraźny podtekst geopolityczny – Chiny są wszak postrzegane w regionie jako sojusznik Pakistanu, umiarkowany sprzymierzeniec Iranu i rywal Indii. W tym sensie prawdziwe intencje Pekinu nigdy nie będą do końca jasne, a jego działalność w tym regionie dodatkowo komplikuje układ figur na regionalnej planszy.

Co dla Afganistanu oznacza to wzmożone zainteresowanie regionalnych mocarstw? Jego charakter, tło i główne motywy wskazują, że w dłuższej perspektywie efekty tego zainteresowania nie będą dla tego kraju i jego mieszkańców wyłącznie pozytywne. I choć może nie dojdzie do sytuacji takiej jak w Syrii czy Jemenie, gdzie aktywność państw trzecich skutecznie podtrzymuje od lat piekło wojen domowych, to i tak rozbieżność faktycznych celów i interesów między głównymi państwami zaangażowanymi w Afganistanie powinna budzić duży niepokój. ■

Zachód stracił zainteresowanie Afganistanem i szuka sposobu, aby całkowicie się z niego wycofać. Stopniowo wykorzystują tę sytuację Chińczycy, którzy wyczuli okazję, żeby wzmocnić swoje wpływy w Azji Środkowej. Zamierzają także jednocześnie podkopać pozycję w Afganistanie Indii, które są aktywne w tym kraju od wielu lat. W tej rywalizacji Chiny mają jednak tę przewagę, że graniczą z Afganistanem.

BARIERA BEZPIECZEŃSTWA

Przez dziesięciolecia Chiny starały się nie angażować militarnie w konflikty afgańskie, ale od pewnego czasu zmieniają swoją politykę w tej kwestii, gdyż problemy zachodniego sąsiada zaczynają oddziaływać negatywnie na bezpieczeństwo Państwa Środka. Co prawda granica afgańsko-chińska jest bardzo krótka (ma zaledwie 76 km), ale z punktu widzenia polityków i wojskowych w Pekinie – niezwykle ważna. Stanowi bowiem część zewnętrznej granicy regionu autonomicznego Sinciang, który prezydent Xi Jinping nazwał barierą bezpieczeństwa. Obszar o powierzchni 1,66 mln km² zamieszkuje zaledwie nieco ponad 21 mln osób. Specyfiką tego regionu jest to, że jego rdzenni mieszkańcy, Ujgurowie (stanowią 3% ludności Chińskiej Republiki Ludowej), są wyznawcami islamu. Władze w Pekinie obawiają się zatem, że mogą oni ulec wpływom aktywnych w Afganistanie radykałów.

Nielegalnie opuszczający kraj Ujgurowie dołączają do islamistycznych organizacji walczących w Afganistanie, Iraku i Syrii. Dlatego władze Chin starają się zabezpieczyć granicę między Sinciangiem a Afganistanem. Obawiają się też, że tą drogą mogą napływać broń i materiały wybuchowe dla ujgurskich islamistów od „bratnich” ugrupowań i wracać do kraju wprawieni w bój ujgurscy weterani. Sygnałem, że te obawy nie są bezpodstawne, jest nagranie

w języku ujgurskim: „Jesteśmy żołnierzami kalifatu i przyjedziemy do was, aby wyjaśnić wam to spustami naszej broni, aby przelać krew jak rzekę i pomścić uciśnionych”.

Niebezzasadne są obawy, że Ujgurowie ulegną islamskiemu radykalizmowi, bo mieszkają w regionie od lat rozdartym przez konflikt wewnętrzny, w którym linie podziału wyznaczają pochodzenie etniczne i wyznanie religijne. W najkrwawszych starciach między muzułmańskimi Ujgurami a etnicznymi Chińczykami (Hanami) w lipcu 2009 roku zginęło około 200 osób. Desperaci, którzy przeprowadzają ataki nawet poza Sinciangiem, używają prostej broni, na przykład noży. 1 marca 2014 roku na dworcu kolejowym w Kunming w prowincji Junan komando ośmiu nożowników zabiło 31 i raniło 143 ludzi. Co więcej, Ujgurowie nie stronią od terrorystycznych metod działania.

Za tymi aktami przemocy stoi Islamski Ruch Wschodniego Turkiestanu. Według chińskich polityków, tę organizację, funkcjonującą od 1949 roku, do działania inspirują grupy dżihadu w innych częściach świata. Opozycjoniści ujgurscy przebywający na emigracji twierdzą natomiast, że powodem konfliktu etniczno-wyznaniowego jest opresyjna polityka tamtejszych władz, w tym kolonizacja regionu (osadnictwo członków społeczności Han). Jako główny cel działania wskazują walkę o niepodległość, a nie dżihad.

MUR PREZYDENTA

Niemniej jednak istnieje problem ujgurskiego terroryzmu. Świadczy o tym wysunięta przez prezydenta Xi Jinpinga propozycja zbudowania „wielkiego żelaznego muru”. Przywódca Chin przedstawił ją w marcu 2017 roku wybranym przedstawicielom społeczności Ujgurów przy okazji dorocznej sesji Narodowego Kongresu Ludowego. Tymczasem Chen Quanguo, nowy sekretarz partii komunistycznej w Sinciangu, próbuje wprowadzić w regionie „baojia” system samokontroli mieszkańców, stosowany już w cesarskich Chinach. Oficjalnie określa się go jako „siatkę systemu społecznego zarządzania”.

TADEUSZ WRÓBEL

AFRYKAŃSKA METODA

Chiny są zainteresowane Afganistanem ze względu na jego strategiczne położenie, złoża surowców mineralnych oraz zagrożenie, jakie może stanowić dla ich bezpieczeństwa.

CHIŃCZYCY W AFGANISTA- NIE DZIAŁAJĄ PODOBNIEM, JAK W AFRY- CE, GDZIE ICH GŁÓWNĄ BRONIĄ SĄ PIENIĄDZE

Jednocześnie chińskie władze starają się uszczelnić granice zewnętrzne Sinciang. Pekin porozumiał się z będącym w opałach rządem Afganistanu w sprawie możliwości przeprowadzania wspólnych patroli na pogranicznych terenach. Ren Guoqiang, rzecznik ministerstwa obrony, określił je jako „wspólne działania antyterrorystyczne”. W mediach już w ubiegłym roku pojawiły się nie tylko zdjęcia chińskich pojazdów opancerzonych Dongfeng EQ2050 w rejonie nazywanym Mały Pamir, lecz także informacje o obecności wojskowych. Chińczycy utrzymują jednak, że patrolowaniem afgańskiego pogranicza zajmują się policjanci, a nie żołnierze.

Chiny wspierają także afgańskie siły bezpieczeństwa, którym brakuje wyposażenia oraz wyszkolonego i lojalnego wobec państwa personelu. Szkolą tamtejszą straż graniczną, dostarczają kamizelki kuloodporne, sprzęt saperki i opancerzone pojazdy patrolowe.

SZLAK PO BOGACTWA

Państwo Środka jest zainteresowane Afganistanem również z powodów ekonomicznych. Tym bardziej że pojawiła się koncepcja odtworzenia Jedwabnego Szlaku, wielkiej drogi handlowej sprzed wieków, łączącej Chiny z Europą. Bez stabilnego Afganistanu realizacja tego planu może się okazać bardzo trudna. Chińczycy liczą na to, że uda im się porozumieć nie tylko z rządem w Kabulu, lecz także z talibami, żeby przekonać obie strony do zawarcia pokoju. Za atut w tych rozgrywkach uważają to, że nie byli zaangażowani w konflikty wewnętrzne tego kraju. Jednocześnie oferują afgańskim liderom obu stron profity za zawarcie pokoju, m.in. wielkie inwestycje w budowę dróg i linii

kolejowych. Gdy jednak ci nawiążą współpracę z rządem w Kabulu, muszą działać tak, aby nie zrazić regionalnego sojusznika, Pakistanu.

Działania pomocowe w Afganistanie nie mają nic wspólnego z altruizmem – to elementy dalekosiężnego planu ekspansji gospodarczej. Dzięki drogom i liniom kolejowym Chińczycy łatwiej będą mogli transportować swe wyroby na zachód, do Europy i na Bliski Wschód, z pominięciem szlaku przez Morze Południowochińskie, który w razie kryzysu politycznego może zostać zablokowany.

Ogromne znaczenie mają dla nich również zasoby naturalne samego Afganistanu, bo znajdują się bardzo blisko. Dlatego chińskie firmy są tak aktywne na tym rynku. Przykładem takiego zaangażowania jest Aynak w prowincji Logar, 30 km na południowy wschód od Kabulu. Metallurgical Company of China Jiangxi Copper Corporation już w 2007 roku podpisało z władzami afgańskimi umowę na rozwój drugiej co do wielkości na świecie kopalni miedzi (wartość 3 mld dolarów) oraz budowę linii kolejowej i elektrowni węglowej. Tyle że cały projekt się opóźnił, gdy w rejonie tej inwestycji odkryto relikty buddyjskie.

Chińczycy działają w Afganistanie podobnie, jak w Afryce, gdzie ich główną bronią są pieniądze. Firma energetyczna China National Petroleum Corporation, na której infrastrukturę przeprowadzono ataki, zapewniła sobie spokój, gdy do ochrony własnych obiektów zatrudniła rebeliantów. Dzięki temu mogła rozpocząć budowę gazociągu z Turkmenistanu do Sinciang. ■

NAJWIĘKSZE TARGI PROOBRONNE W POLSCE

expo
MAZURY



Targi Pro Defense to jedyne wydarzenie tego typu w Polsce i Europie, w całości poświęcone tematowi budowy obrony terytorialnej kraju. Pro Defense jest projektem skierowanym do społeczeństwa, które postrzega dobro Ojczyzny poprzez pryzmat Jej bezpieczeństwa.

Targi w swojej formule wystawienniczej oferują unikalną okazję prezentacji sprzętu i wyposażenia Wojsk Obrony Terytorialnej oraz technologii i innowacji wspierających zwalczanie zagrożeń charakterystycznych dla wszelkiego rodzaju sytuacji kryzysowych. Targi Pro Defense odbywać się będą na terenie Expo Mazury SA w Ostródzie w dniach 1-4.06.2017 r.

Patronat Honorowy:



MINISTER
OBRONY
NARODOWEJ



MINISTER
EDUKACJI
NARODOWEJ

1-4 CZERWCA 2017

**EXPO MAZURY
OSTRÓDA**

WWW. PRO-DEFENSE.PL



WITOLD REPETOWICZ

Srogi gniew Eufratu

Bardzo efektywna okazała się operacja mająca na celu izolację, a następnie zdobycie Ar-Rakki, czyli nieformalnej stolicy samozwańczego Państwa Islamskiego.

Operacja „Gniew Eufratu” od samego początku napotykała trudności związane z naciskami Turcji na USA, by zerwały sojusz z kurdyjskimi oddziałami YPG/YPJ (Yekîneyên Parastina Gel/Yekîneyên Parastina Jin), które stanowią około 45% stanu osobowego koalicji Syrian Democratic Forces (SDF). Turcja utożsamia je z Partią Pracujących Kurdystanu (Partiya Karkerên Kurdistanê – PKK), wpisaną na listę organizacji terrorystycznych. SDF zawsze odrzucała te oskarżenia, a Turcy nie byli w stanie udowodnić istnienia jakiegokolwiek współpracy operacyjnej między PKK a SDF. W lutym 2017 roku amerykańskie dowództwo CENTCOM – The United States Central Command, opublikowało oświadczenie dowództwa SDF, które stwierdziło, że nie ma żadnych związków z PKK, a koalicja nie jest zainteresowana jakimikolwiek celami poza Syrią. Samo ideologiczne pokrewieństwo dominującej w północnej Syrii kurdyjskiej Partii Jedności Demokratycznej (Partiya Yekîtiya Demokrat – PYD) z Partią Pracujących Kurdystanu nie oznacza bowiem zaangażowania SDF w jakąkolwiek działalność poza Syrią, a na jej terenie nie ma ona charakteru terrorystycznego, co Amerykanie mogą obserwować od półtora roku.

Turcja twierdziła też, że alternatywą dla ataku syryjskiej armii na Ar-Rakkę jest operacja z udziałem arabskich rebeliantów, walczących u jej boku pod Al-Bab. Problem w tym, że te siły liczą zaledwie około 3 tys. bojowników, z czego większość jest narodowości turkmeńskiej, a nie arabskiej. Tymczasem jednym z koron-

nym argumentów Turcji przeciwko kurdyjskiemu udziałowi w bitwie o Ar-Rakkę miały być obawy przed zmianą arabskiego charakteru etnicznego tych terenów. Ponadto na początku marca 2017 roku CENTCOM przedstawił szacunki, z których wynikało, że 23 tys. spośród 50 tys. żołnierzy SDF uczestniczących w „Gniewie Eufratu” należy do ich arabskiego komponentu.



ZAWIEDZIONE NADZIEJE

Sceptycyzm USA wobec tureckich propozycji wynikał również z rażąco słabej efektywności protureckich rebeliantów w bitwie o Al-Bab, a także panujących wśród nich nastrojów antyamerykańskich. Turcja liczyła wprawdzie na to, że administracja Donalda Trumpa zweryfikuje politykę Baracka Obamy w kwestii współpracy z SDF, ale spotkało ją duże rozczarowanie. Nowa administracja utrzymała na stanowisku specjalnego przedstawiciela prezydenta USA przy globalnej koalicji – Bretta McGurka, który uchodzi za dyplomatę sprzyjającego syryjskim Kurdom. Ponadto od końca stycznia 2017 roku do kontrolowanej przez SDF północnej Syrii zaczęły wjeżdżać liczne transporty z amerykańskim sprzętem wojskowym, m.in. wozy bojowe (głównie typu IAG Guardian), pociski ATGM, moździerz, karabiny snajperskie oraz ciężkie karabiny maszynowe. Wprawdzie pierwszy taki duży pakiet z 31 stycznia, w którym znalazło się

OD STYCZNIA 2017 ROKU DO KONTROLOWANEJ PRZEZ SDF PÓŁNOCNEJ SYRII ZACZĘŁY WJEŹDZAĆ TRANSPORTY Z AMERYKAŃSKIM SPRZĘTEM WOJSKOWYM, M.IN. WOZY BOJOWE TYPU IAG GUARDIAN, POCISKI ATGM I MOŹDZIERZE

200 pojazdów bojowych, prawdopodobnie był zaplanowany jeszcze przez poprzednią administrację, ale nowa ekipa nie wstrzymała kolejnych dostaw. Kilka miesięcy temu Amerykanie rozbudowali też swoją nową bazę wojskową w Rmeilan w prowincji Hasaka.



Pod koniec ubiegłego roku zwiększyli również liczbę żołnierzy swoich sił specjalnych w północnej Syrii z 200 do 500, a do kwietnia – do tysiąca. Co więcej, specjalsi zaczęli brać bezpośredni udział w walkach, choć wcześniej ograniczali się do szkolenia i doradztwa. W okolicach Ar-Rakki prawdopodobnie znajdują się również żołnierze brytyjscy i francuscy.

STOPNIOWA IZOLACJA

Pierwsze trzy etapy operacji „Gniew Eufratu” miały na celu izolację Ar-Rakki i ostatecznie pod koniec marca 2017 roku udało się to zrobić. W tym czasie SDF opanowało teren o powierzchni 7,4 tys. km² (dla porównania w tym samym czasie Turcy podczas „Tarczy Eufratu” zajęli obszar o powierzchni 2,2 tys. km²). W pierwszym etapie, na początku listopada 2016 roku, koalicja uderzyła od północy i zdobyła m.in. strategiczną wioskę Tel Siman, położoną 25 km na północ od Ar-Rakki. W drugim etapie atak nastąpił od zachodu, wzdłuż lewego brzegu Eufratu i jeziora Al-Assad. Tu strategicznymi celami były – jedenastowieczny zamek Dżabir, w którym terroryści urządzili swoją bazę i centrum szkoleniowe, oraz wioska As-Suwaitidjat, znajdująca się na północnym krańcu tamy At-Tabaka. Walki o zamek, do którego dostęp jest tylko przez bardzo wąską i długą groblę, prowadzącą w głąb jeziora Al-Assad, trwały do 6 stycznia, ale jeszcze parę dni później Państwo Islamskie nieskutecznie próbowało odbić ten obiekt. Zdobyć wioski As-Suwaitidjat pozwoliło natomiast SDF oraz amerykańskim siłom specjalnym na podjęcie pierwszej próby opanowania zapory At-Tabaka. Nie udało się im dostać do pomieszczeń kontrolnych, a terroryści otworzyli turbiny i gwałtownie wzrósł poziom wody, co zmusiło SDF do wycofania się, bo dalszy atak groził katastrofą.

W trzecim etapie natarcie ruszyło z północnego wschodu, od strony prowincji Hasaka. Koalicja w ten sposób przecięła drogę łączącą Ar-Rakkę z Dajr az-Zaur, co było głównym celem operacji. Ponadto zdobyto ośrodek nuklearny Al-Kubar oraz most Zalabije. W tym samym czasie Amerykanie zbombardowali most łączący Ar-Rakkę z drogą prowadzącą z miasta As-Sawra do Dajr az-Zaur. W kolejnych dniach SDF umocniło swoje pozycje wzdłuż Eufratu – z jednej strony wojska podeszły na odległość 25 km od Dajr az-Zaur, gdzie wciąż bronią się oblężone przez Państwo Islamskie od ponad 30 miesięcy syryjskie siły rządowe, a z drugiej – 15 km od Ar-Rakki.

STRATEGICZNA ZAPORA

Dowództwo SDF zapowiedziało, że 1 kwietnia rozpocznie natarcie na Ar-Rakkę. Oczywiście było jednak, że



to nie nastąpi, zanim SDF i USA nie zabezpieczą tamy At-Tabaka. To obiekt strategiczny – największa zaporą wodną i jednocześnie źródło energii elektrycznej w Syrii. Mogłaby jednak posłużyć jako broń masowej zagłady. Gdyby została zniszczona, woda najpierw zalałaby Ar-Rakkę i doszłaby do Dajr az-Zaur. Dla Państwa Islamskiego, po utracie kontroli nad Ar-Rakką, taki scenariusz byłby korzystny, bo mogłoby zawczasu ewakuować swe siły z Dajr az-Zaur, a zrzuć na USA i SDF winy za katastrofę przysporzyłoby terrorystom zwolenników i w Syrii, i na całym świecie. Poza tym tama służy Państwu Islamskiemu jako centrum dowodzenia, obiekt treningowy i więzienie dla specjalnych jeńców.

W nocy z 21 na 22 marca wojska Stanów Zjednoczonych i koalicji przeprowadziły najbardziej brawurową akcję w tej wojnie – desant wodno-powietrzny z zamku Dżabir na znajdujący się po drugiej stronie jeziora Al-Asad półwysep Szurfa. W tej operacji brało udział oko-



PIERWSZE TRZY ETAPY OPERACJI „GNIEW EUFRATU”

MIAŁY NA CELU IZOLACJĘ AR-RAKKI I OSTATECZNIE POD KONIEC MARCA 2017 ROKU UDAŁO SIĘ TO ZROBIĆ

ło tysiąca żołnierzy, mających silne wsparcie artyleryjskie, śmigłowce szturmowe Apache oraz prawdopodobnie maszyny pionowego startu i lądowania V-22 Osprey.

Równocześnie podjęto kolejną próbę opanowania tamy od północy. Wieczorem 22 marca Brett McGurk laconicznie informował o sukcesie, ale wkrótce się okaza-

ło, że był on połowiczny – znaczna część czterokilometrowej tamy wciąż pozostała w rękach Państwa Islamskiego. Wkrótce w Ar-Rakce wybuchła panika, bo terroryści ogłosili, że tama jest bliska zawalenia. Ucieczka mieszkańców nie była jednak na rękę Państwu Islamskiemu, bo ułatwiłaby SDF opanowanie miasta ze względu na brak żywych tarcz. Umożliwiło ono zatem przeprowadzenie inspekcji tamy. Wykazano co prawda, że obiekt jest w złym stanie, ale nie ma groźby natychmiastowej katastrofy. Kontynuowanie natarcia na tamę od strony północnej może się jednak wiązać ze zbyt dużymi stratami w ludziach, więc prawdopodobnie SDF dokona ataku od południa.

26 marca w błyskawicznej akcji opanowano wojskową bazę lotniczą At-Tabaka. To drugi tego typu obiekt po Menagh zdobyty przez koalicję, ale ten stwarza znacznie większe możliwości wykorzystania ze względu na położenie oraz wielkość (m.in. hangary dla stu samolotów). Co więcej, do 2014 roku baza służyła jako główne centrum radarowe w północnej Syrii. Dlatego pojawiły się spekulacje, że dla USA docelowo mogłaby stanowić alternatywę dla znajdującej się w Turcji bazy Incirlik.

O ile zatem zdobycie tamy ma kluczowe znaczenie dla szturm Ar-Rakki, o tyle zajęcie bazy At-Tabaka jest kluczem do długoterminowej obecności USA na terenach zajętych przez SDF. Dalsze działania zapewne będą zmierzać do otoczenia miasta As-Sawra i po jego zdobyciu uzyskania pełnej kontroli nad zaporą. Prawdopodobnie dopiero wtedy zacznie się szturm na Ar-Rakkę. Może to jednak potrwać jeszcze kilka miesięcy. Niewykluczone jest natomiast, że po zdobyciu tego miasta następnym celem stanie się Dajr az-Zaur. Na takie plany nie zgadza się jednak Turcja. Pod koniec marca ogłosiła wprowadzić zakończenie operacji „Tarcza Eufratu”, ale wkrótce wznowiła działania mające na celu rozbicie sojuszu między SDF a USA i zapowiedziała własną ofensywę na Ar-Rakkę.

Jednym z deklarowanych celów „Tarczy Eufratu” miało być uderzenie na kontrolowane przez SDF Manbidż, do czego USA nie dopuściły. Doprowadziłoby to bowiem do przerzucenia sił koalicji spod Ar-Rakki do walki z Turkami, a to z kolei oznaczałoby wstrzymanie działań skierowanych przeciwko Państwu Islamskiemu. W pierwszych dniach kwietnia Turcja ogłosiła też, że związani z nią arabscy rebelianci zostaną przerzuceni na północny front pod Ar-Rakkę. Wydaje się to jednak mało prawdopodobne i jest to raczej polityczne oświadczenie związane z sytuacją wewnętrzną w Turcji, czyli nadchodzącym referendum konstytucyjnym. USA będą jednak kontynuować politykę balansowania między współpracą z SDF a nieantagonizowaniem Turcji. ■

CHRIS HUBY/LE PICTORIUM/EAST NEWS

ROBERT SENDEK

Najmniejsza armia w NATO?

Senat Stanów Zjednoczonych zatwierdził przyjęcie Czarnogóry do NATO i wkrótce ten niewielki bałkański kraj stanie się 29. członkiem sojuszu.

Czarnogóra ma 1800 żołnierzy, dwa okręty i cztery śmigłowce. Kraj ten ma wkrótce zostać członkiem NATO, ale sam nie jest pewien, czy tego chce”, tak zaczyna się artykuł Tima Neshitova opublikowany pod koniec stycznia na łamach „Süddeutsche Zeitung”. Widać, że dziennikarz ironizuje, ale jeszcze dalej idzie Doug Bandow, publicysta i analityk pracujący w jednym z amerykańskich thinktanków. W artykule „Po co NATO przyjmuje militarne karzelki, takie jak Czarnogóra?” Bandow drwi, że przyjmowanie kraju, który ani nie stanowi dla nikogo zagrożenia, ani nie jest przez nikogo zagrożony, a na dodatek dysponuje znikomą siłą militarną, jest jak przyjmowanie znajomych na Facebooku.

Ironia jest świetnym środkiem stylistycznym, ale czy w tym wypadku kpiny są uzasadnione? Jeśli bowiem poważnie potraktujemy komentarze lekceważące zarówno natowskie aspiracje Czarnogóry, jak i militarne możliwości tego kraju, to zdumienie musi budzić gwałtowna reakcja polityków rosyjskich, którzy w tej kwestii nieraz wypowiadali się w bardzo ostrym tonie. Od momentu formalnego zaproszenia Czarnogóry do NATO w grudniu 2015 roku głos w tej sprawie zabierali niemal wszyscy ważniejsi spośród nich. Wielokrotnie mówili, że rozszerzenie sojuszu nie sprzyja budowie europejskiego bezpieczeństwa, lecz zwiększa napięcie między Wschodem a Zachodem. Na międzynarodowym forum ekonomicznym w Petersburgu w czerwcu 2016 roku Władimir Putin powiedział, że Czarnogóra nie jest w sytuacji żadnego zewnętrznego zagrożenia, więc jej wstąpienie do sojuszu nie ma uzasadnienia. Argumentował, że NATO powstało jako sojusz obronny w czasach zimnej wojny. Tymczasem rozpadł się ZSRR, Układ Warszawski przestał istnieć, a ta organizacja nadal działa w taki

sposób, jak wtedy, kiedy powstała. Siergiej Ławrow, szef rosyjskiego ministerstwa spraw zagranicznych, stwierdził, że Czarnogóra jest siłą wciągana do sojuszu. Nikołaj Lewiczew, wiceprzewodniczący rosyjskiej Dumy, w wywiadzie dla agencji RIA Novosti ostrzegł z kolei, że pojawienie się baz NATO w tym kraju pozbawi go inwestycji rosyjskich. Rzecznik prasowy prezydenta Rosji Dmitrij Pieskow uprzedził zaś, że „ekspansja NATO na wschód” nie pozostanie bez reakcji.

Prasa czarnogórska dostrzega już pierwsze symptomy takiej reakcji. Dziennikarze „Vijesti” zauważyli, że w rosyjskich mediach ruszyła czarna kampania, mająca zniechęcić rodzimych turystów do wyjazdu nad Adriatyk. Do Czarnogóry przyjeżdżało sporo Rosjan, wydaje się więc, że jest to istotny element nacisku ekonomicznego, choć w tym momencie chyba nieco spóźniony. Inna sprawa, że obecnie stosunki czarnogórsko-rosyjskie nie są najlepsze. Podgorica oskarża bowiem Moskwę o podjęcie w październiku 2016 roku, podczas wyborów parlamentarnych, próby zamachu stanu. Zdaniem Czarnogórców, Rosja usiłowała zdestabilizować kraj, a następnie doprowadzić do





W OSTATNICH LATACH PRZEPROWADZONO PROFESJONALIZACJĘ ARMII, ZMNIEJSZONO JEJ LICZEBNOŚĆ, WPROWADZONO ZMIANY STRUKTURALNE I ORGANIZACYJNE

OPAL VAUGHN / US ARMY

objęcia władzy przez opozycję i powstrzymać w ten sposób integrację Czarnogóry z NATO.

Takie działania rosyjskiej strony nie wyglądają jednak jak reakcja na „dodanie kogoś do znajomych na Facebooku”, wydają się raczej bezpardonową walką o strefy wpływów. Przy czym swoje trzy grosze dorzucili także amerykańscy senatorowie. W trakcie marcowego głosowania nad poprawkami do traktatu waszyngtońskiego, pozwalającymi na przyjęcie Czarnogóry do NATO, powtarzali, że jest to reakcja na działania Rosji. Senator John McCain stwierdził nawet, że „jeśli odmówimy Czarnogórze, kraj ten nie pozostanie demokracją, jaką jest

obecnie”. O wartości członkostwa tego państwa w sojuszu północnoatlantyckim z pewnością nie decydują zatem dwa okręty i cztery śmigłowce. Przystąpienie do tej organizacji ma natomiast znaczenie propagandowe i polityczne. Potwierdza bowiem prowadzoną przez NATO politykę otwartych drzwi oraz pokazuje jego atrakcyjność dla nowych państw. Oprócz tego obecność sojuszu na zachodnich Bałkanach sprawi, że miejsce to stanie się bezpieczniejsze i bardziej przewidywalne.

Ostre reakcje strony rosyjskiej na natowskie aspiracje Czarnogóry wynikają z kilku różnych czynników. Rozszerzenie sojuszu o ten kraj sprawi, że Adriatyk stanie się natowskim morzem wewnętrznym. Rosjanie nie będą mogli zatem ani korzystać z wojskowej infrastruktury Czarnogóry, ani umieszczać tam własnych instalacji wojskowych. Warto przypomnieć, że w 2013 roku oficjalnie starali się o to, by porty w Barze i Kotorze stały się bazą dla rosyjskich okrętów wojennych operujących na Morzu Śródziemnym, ale Czarnogórcy na to się nie zgodzili. Niewykluczone, że Moskwa chce także odstraszyć innych potencjalnych członków NATO w regionie.

MINIATUROWE WYZWANIA

Oczywiście istotna jest wielkość armii kraju, który wkrótce wejdzie do sojuszu, ale oceniając siłę wojskową każdego państwa członkowskiego, trzeba brać pod uwagę jego specyfikę, wynikającą zarówno z historii oraz warunków geograficznych, jak i z możliwości finansowych czy sytuacji społecznej. Nie ma zatem większego sensu porównywanie wojska czarnogórskiego np. z polskim czy niemieckim. Czarnogóra to kraj o obszarze województwa lubuskiego, w którym mieszka mniej więcej tyle osób co we Wrocławiu (620 tys.). Jaką zatem armię powinien mieć kraj tej wielkości? Punktem odniesienia mogą być inne europejskie państwa o zbliżonym terytorium, takie jak Luksemburg – jeden z założycieli NATO. W tamtejszej armii służy zaledwie około tysiąca osób, z czego mniej więcej 50 to członkowie orkiestry wojskowej. Innym punktem odniesienia mogą być siły zbrojne Malty. W tym o wiele mniejszym od Czarnogóry kraju, ale ze zbliżoną liczbą mieszkańców (ok. 450 tys.), siły powietrzne mają do dyspozycji trzy samoloty oraz sześć śmigłowców.

Czarnogórcy politycy plan przyłączenia kraju do NATO sformułowali wkrótce po ogłoszeniu niepodległości w 2006 roku. W przyjętej w listopadzie 2008 roku przez sejmik (parlament) strategii bezpieczeństwa narodowego za główny cel uznano uzyskanie w najkrótszym terminie pełnoprawnego członkostwa w NATO i Unii Europejskiej. Niemal równocześnie parlament przyjął strategię obronną, w której wprost zapisano, że ➔

w sferze obronności Czarnogóra nie jest w stanie liczyć wyłącznie na własne siły; powinna zatem stać się elementem międzynarodowego systemu bezpieczeństwa. W dokumencie tym przedstawiono także wizję sił zbrojnych: miały to być wojska profesjonalne, efektywne, dostosowane do możliwości finansowych kraju, zdolne do współpracy z partnerami i sojusznikami oraz nowoczesnie wyposażone. Istotne jest także to, że już wtedy jasno wskazano, iż punktem odniesienia w przypadku standardów dla wojska są „rozwinęte demokracje, czyli kraje członkowskie NATO”.

Naszkicowane w obu tych dokumentach wytyczne stopniowo wdrażano w życie.

W ciągu kolejnych lat przeprowadzono w czarnogórskiej armii wiele reform. Opracowano nową doktrynę obronną, zaczęło obowiązywać prawo zezwalające na stacjonowanie w kraju obcych sił wojskowych oraz na uczestnictwo własnych jednostek w misjach pokojowych za granicą. Dokonano profesjonalizacji armii, zmniejszono jej liczebność, wprowadzono zmiany strukturalne i organizacyjne. Znaczną rolę w modernizacji armii czarnogórskiej odegrały misje zagraniczne. Żołnierze z tego

bałkańskiego kraju biorą udział w operacjach przede wszystkim w Afganistanie („Resolute Support”), ale także na wodach wokół Somalii („Atalanta”). Część oficerów uczestniczyła w misjach szkoleniowych w Liberii, Mali, Republice Środkowoafrykańskiej i Saharze Zachodniej. Oczywiście, czarnogórskie kontyngenty udające się na międzynarodowe misje pokojowe są proporcjonalne do wielkości całej armii. Oznacza to, że uczestniczy w nich jednocześnie około... 30 żołnierzy. Z drugiej strony, w ciągu ostatnich sześciu lat w operacjach zagranicznych wzięło udział 437 osób, co stanowi około jedną piątą stanu osobowego czarnogórskiej armii.

REALNE AMBICJE

W ostatnich latach przeprowadzono również przegląd obronności kraju, czego efektem był przyjęty w 2015 roku plan rozwoju obrony na lata 2016–2025. Przewiduje on pewne zmiany w dotychczasowej strukturze armii, korekty w rozlokowaniu wojsk na terytorium państwa oraz zakupy nowego wyposażenia. Na wydatki wojskowe w najbliższych latach Czarnogóra zamierza przeznaczyć



O WARTOŚCI CZŁONKOSTWA CZARNOGÓRY W SOJUSZU PÓŁNOCNO-ATLANTYCKIM NIE DECYDUJĄ DWA OKRĘTY I CZTERY ŚMIGŁOWCE, LECZ KWESTIE POLITYCZNE I WIZERUNKOWE

niemal 400 mln euro. Planuje się m.in. utworzenie centrum operacyjnego, mającego nadzorować przestrzeń powietrzną kraju, kupno systemu radarowego oraz radiowego systemu identyfikacji „swój-obcy” TADIL, remont i modernizację istniejącego wyposażenia przeciwlotniczego. W planach jest także podpisanie z sojusznikami stosownych umów dotyczących obrony nieba (na zasadzie misji „Air Policing”). Za priorytetowy uznano również zakup lekkich samochodów opancerzonych dla sił lądowych. W drugiej połowie planowanego okresu przewiduje się też kupno systemu rakietowego krótkiego zasięgu.

W marynarce wojennej za najważniejsze uznano zachowanie zdolności operacyjnych, a zatem remont posiadanych jedno-

stek oraz zakup nowych. W pierwszej kolejności planowana jest modernizacja pozostających w rezerwie okrętów rakietowych RTOP-405 i RTOP-406 klasy Končar oraz ich przekształcenie w jednostki patrolowe, tak aby weszły do służby w 2018 roku. W nieco bardziej odległej perspektywie przewidziano zakup dwóch kolejnych okrętów patrolowych, przy czym zaznaczono, że będzie to zależało

od tego, czy uda się sprzedać będące obecnie w użyciu duże patrolowce P-33 i P-34.

Flotę powietrzną Czarnogóry w przyszłości będą tworzyły tylko śmigłowce. Zdecydowano się sprzedać, pozostające dotychczas w magazynach, samoloty SOKO G-4 Super Galeb oraz szkolno-treningowe UTVA 75 wraz z częściami zamiennymi, a także jeden śmigłowiec HT-40 (wersja Mi-8). Za priorytet uznano zakup dwóch śmigłowców wielozadaniowych. Mają one służyć głównie do transportu, choć zakłada się, że będą wykorzystywane także w operacjach SAR (Search and Rescue), do ewakuacji medycznej (MEDEVAC) oraz do gaszenia pożarów. Śmigłowce pozostające w dyspozycji armii czarnogórskiej zostaną wyremontowane i zmodernizowane.

Władze Czarnogóry spodziewały się, że pełnoprawnym członkiem sojuszu północnoatlantyckiego staną się w maju przed szczytem NATO. Tymczasem Jens Stoltenberg, szef Organizacji Traktatu Północnoatlantyckiego, oznajmił, że dopiero w czerwcu spodziewa się zakończenia całej procedury ratyfikowania członkostwa Czarnogóry. ■

TADEUSZ
WRÓBEL

Gra nerwów

Wystrzeliwanie rakiet balistycznych czy próbną detonację ładunków atomowych przy okazji różnych świąt państwowych to w Korei Północnej już niemal tradycja. Często zdarza się to w kwietniu, gdy hucznie (wielka defilada wojskowa w Pjongjangu) obchodzone są urodziny Kim Ir Sena, twórcy reżimu i założyciela komunistycznej dynastii. Nie ma znaczenia, czy próba będzie udana, bo pełna kontrola nad mediami gwarantuje północnokoreańskim władzom, że do obywateli dotrze jedyny słuszny przekaz. Na potrzeby wewnętrzne przeznaczony jest też często stawiany przez Pjongjang Korei Południowej i Stanom Zjednoczonym ultimatum, za którym jak dotąd nie poszły jednak żadne realne działania militarne.

Test rakietowy czy atomowy zawsze przynosi ten sam efekt – falę krytyki Korei Północnej. Amerykanie dla podkreślenia swego niezadowolenia najczęściej wykonują jakieś posunięcie militarne – to przerzucają do Korei Południowej samoloty bojowe lub zestawy przeciw-rakietowe, to wysyłają w rejon Półwyspu Koreańskiego okręty wojenne. Rządzący w Pjongjangu niewiele sobie jednak z tego robią, podobnie zresztą jak z kolejnych sankcji i rezolucji ONZ.

Tak naprawdę opinia publiczna już znieczuliła się na takie poczynania obu stron. Wszyscy bowiem uważają, że Zachód nie ma odpowiednich instrumentów, by wyrzucić realną presję na izolujący się reżim, za którym stoją Chiny. Panuje też przekonanie, że mimo kwiecistej retoryki, pełnej pogrozek wobec USA i sąsiadów, rządzący Koreą Północną nie zamierzają popełnić samobójstwa, rozpętać konflikt zbrojny. Czy na podobny ruch odważy się Donald Trump? Mało prawdopodobne. Wojna w Azji Wschodniej to najczarniejszy scenariusz, którego wszyscy się obawiają. Mogłoby bowiem dojść do otwartej konfrontacji USA z Chinami.

Wojny nie chcą ani politycy w Pekinie, ani w Waszyngtonie. Chińczycy natomiast nie są zainteresowani zmianami na Półwyspie Koreańskim. Tak więc, choć prowokacyjne działania Kim Dzong Una z pewnością ich irytują, podtrzymują vegetację jego reżimu. Co się jednak stanie, gdy Kim Dzong Un uzna, że groźby Amerykanów są pustymi słowami i spróbuje podnieść stawkę w grze, czyli zaatakuje znienawidzoną Koreę Południową? Może się też zdarzyć, że owładnięty paranoicznym strachem przed agresją zinterpretuje jedno z amerykańskich posunięć jako jednoznaczną zapowiedź konfliktu i spróbuje przeprowadzić atak prewencyjny. Podobnie na kolejną prowokację Pjongjangu może zareagować Zachód. Wiele zatem zależy od mocnych nerwów obu stron. Jak długo potrwa ta gra? ■

HISTORIA

/ II WOJNA ŚWIATOWA

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE



Polska flaga
powiewa
nad zdobytym
klasztorem
Monte Cassino,
1944 rok

PIOTR KORCZYŃSKI

BATALIE TROPICIELA

**„Historia musi być prawdziwa”,
twierdzi prof. Wojciech Narębski,
żołnierz 2 Korpusu Polskiego,
który od lat walczy
z przekłamaniami
w publikacjach dotyczących
Polaków na froncie włoskim.**



T

en wybitny geochemik, wieloletni pracownik naukowy Muzeum Ziemi PAN, profesor zwyczajny nauk o Ziemi, którego imieniem nazwano jeden z przylądków Wyspy Króla Jerzego na Antarktydzie, jest wyjątkowym świadkiem historii. Prof. Wojciech Narębski, jeden z ostatnich żyjących żołnierzy 2 Korpusu Polskiego, stał się nie tylko strażnikiem pamięci o towarzyszach broni, lecz także tropicielem przekłamań, które pojawiają się w publikacjach na temat Polaków walczących na froncie włoskim II wojny światowej.

Wojciech Narębski urodził się 14 kwietnia 1925 roku we Włocławku, ale jego rodzice wkrótce przenieśli się do Wilna. Uczęszczał do Gimnazjum im. Króla Zygmunta Augusta, którego uczniami byli także Czesław Miłosz i Tadeusz Konwicki. Nie ukończył jednak tej szkoły, bo 18 kwietnia 1941 roku został aresztowany za przynależność do konspiracyjnego Związku Wolnych Polaków, w którym wraz z kilkoma kolegami był odpowiedzialny za kolportaż podziemnego pisma „Za naszą i waszą wolność”. Początkowo umieszczono go w pojedynczej celi w więzieniu na Łukiszkach.

Po około trzech tygodniach przeniesiono mnie do większej celi i dokwaterowano mi najpierw chłopca spod Niemenczyna, a później sowieckiego oficera Michaiła Zwieriewa. Po dwóch dniach milczenia spowodowanego przegnębieniem nasz sowiecki towarzysz niedoli otworzył się, wyrzekając w niewybredny sposób na ustrój państwa. Obawialiśmy się prowokacji, więc nie reagowaliśmy na jego wypowiedzi. Okazało się później, że Misza jest lojalny. Pamiętam, że często powtarzał znane sowieckie porzekadło: „Kto w turmie nie sidzi, ten nie człowiek!”. Tak dzięki władzy sowieckiej my,

młodzi konspiracyjcy Polacy, osiągnęliśmy pełnię człowieczeństwa.

Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej ewakuowano więźniów. Większość osadzonych załadowano do wagonów towarowych i wywieziono „szlakiem króla Stefana Batorego”, przez Witebsk i Wielkie Łuki, do więzienia w Gorkim. Tam warunki okazały się o wiele cięższe, ale po podpisaniu układu Sikorski–Majski i ogłoszeniu tzw. amnestii zaczęto wypuszczać Polaków na wolność. Wojciech Narębski przy wypisie z więzienia dostał bilet i pozwolenie zamieszkania w sowchozie Darowskoje. Na miejscu spotkał polskich podoficerów, którzy przekonali go, by wstąpił do tworzącej się Armii Polskiej w ZSRR. Po bardzo uciążliwej podróży dotarł do obozu w Buzuluksu i 5 października 1941 roku komisja zakwalifikowała go do wojska. Skrajnie wyczerpany chorobą, której nabawił się po drodze, został skierowany do polskiego oddziału szpitala wojskowego.

Z braku leków moją dolegliwość, zdiagnozowaną jako „żółudocznym awitaminom”, leczono sokiem z marchwi. W głównej części szpitala przebywali też ranni krasnoarmiejcy, którzy często na nasze pytanie: „Kak tam na frontie?”, odpowiadali, odwracając furażerki czerwoną gwiazdą do tyłu: „Nasi idut wpieriod!”.

Po wypisaniu ze szpitala Narębski trafił do kompanii wartowniczej w Kołtubiance, ale w lutym 1942 roku przeniesiono ją do Uzbekistanu i wcielono do formowanej 9 Dywizji Piechoty. Ta jednostka, wraz z 8 i 10 Dywizją, pod koniec marca 1942 roku jako pierwsza została ewakuowana do Iranu (ówczesnej Persji).

Po siedmiu dniach jazdy trudną krętą drogą przez góry Persji i Pustynię Syryjską nasza kolumna przekroczyła Jordan i znalazła się w Palestynie. Jako pierwszy oddział polski przybyły z ZSRR serdecznie nas witali emigranci żydowscy z Polski, którzy wznosili przyjazne okrzyki i częstowali nas pomarańczami.



Kiosk i przystanek dla wczasowiczów z 2 Korpusu Polskiego w Ankonie

ZDOBYCIE ANKONY BYŁO NAJWIĘKSZYM SAMODZIELNYM SUKCESEM OPERACYJNYM POLSKIEGO WOJSKA W CAŁEJ KAMPANII WŁOSKIEJ

Na początku maja 1942 roku żołnierze szkieletowej 9 Dywizji zostali włączeni w skład 3 Dywizji Strzelców Karpackich, której trzonem stała się osławiona obrona Tobruku Samodzielna Brygada Strzelców Karpackich. Narębski trafił do 4 Batalionu 2 Brygady Strzelców Karpackich, a następnie dostał skierowanie do szkoły podoficerskiej. Niestety, przeżycia więzienne i choroby znowu dały o sobie znać, więc musiał wrócić do szpitala, tym razem z wysiękowym zapaleniem płucnej. Po długim pobycie w szpitalu zmieniono mu kategorię wojskową z A na C. O jednostce liniowej nie mogło być już mowy, więc skierowano go na kurs kierowców z przydziałem do sformowanej w lipcu 1942 roku w Palestynie 2 kompanii transportowej, którą później nazwano 22 kompanią zaopatrzenia artylerii. W kronice kompanii pod datą 22 sierpnia 1942 roku zapisano: „Porucznik Florczykowski przywiózł pociesznego niedźwiadka, którego nazwano Wojtkiem”. Nikt wtedy nie przypuszczał, że niedźwiedź będzie jednym z najbardziej znanych żołnierzy w całym 2 Korpusie. Gdy w listopadzie 1942 roku 17-letni Wojciech Narębski zameldował się u mjr. Antoniego Chełkowskiego, dowódcy 2 kompanii transportowej, ze zdziwieniem zauważył w jego namiocie uwiązanego małego niedźwiadka. Jeszcze bardziej zdziwiły go słowa majora: „Jesteś Wojtek? To będziemy mieli w kompanii dwóch Wojtków, bo ten niedźwiedź też tak się nazywa. Ty będziesz mały Wojtek, a on duży”.

Mało kto wie, że zanim Wojtek stał się maskotką oddziału, rywalizował z innym niedźwiedziem, Michałem. Był jednak wobec Wojtka agresywny i trafił do zoo w Tel Awiwie.

W zamian dyrekcja ogrodu przekazała polskim żołnierzom małpkę Kasie, ale ona też nie darzyła misia sympatią, a na dodatek robiła kawały żołnierzom – wykradła na przykład dokumenty z kompanijnej kancelarii. W końcu Wojtek okazał się bezkonkurencyjnym towarzyszem żołnierzy. Został wciągnięty na listę kompanijnej ewidencji jako „szeregowiec Wojtek Miś” i szybko się zaaklimatyzował. Pił piwo, palił, a raczej zjadał, papierosy i bawił się z żołnierzami w zapasy. Również im pomagał – ładował na przykład skrzynie z amunicją na ciężarówkę. Nigdy nie nosił pocisków, a tym bardziej nie podawał ich artylerzystom na pozycjach bojowych, jak można przeczytać w niektórych publikacjach. Wojtek z pociskiem artyleryjskim w łapach został wprawdzie umieszczony na odznace 22 kompanii, ale to tylko symbol, a historia musi być prawdziwa.

Szer. Narębski po przyjęciu do 2 kompanii transportowej wpadł w wir pracy. Po zgrupowaniu wszystkich przybyłych ze Związku Sowieckiego polskich jednostek, które weszły w skład 2 Korpusu Polskiego, samochody kompanii były w ciągłym ruchu. Do obozów w Quizil-Ribat, a następnie kurdyjskim Kirkucie zaopatrzenie trzeba było dowozić aż z brytyjskich baz w rejonie Gazy czy z Egiptu. Jeden z takich kursów dla niedoświadczonego kierowcy niemal zakończył się tragicznie. Nie zauważył, że jadący przed nim samochód, notabene kierowany przez dowódcę, gwałtownie zahamował. Uderzenie rozpędzonego trzytonowego dodge’a było tak potężne, że ciężarówka dowódcy wyleciała z drogi, a z wozu Narębskiego niewiele zostało.



ZANIM WOJTEK STAŁ SIĘ MASKOTKĄ ODZIAŁU, RYWALIZOWAŁ Z INNYM NIEDŹWIEDZIEM, MICHĄŁEM, KTÓRY TRAFIŁ DO KOMPANII OD PIECHURÓW



Nic mi się nie stało. Po „znokautowaniu” przez kierownicę na chwilę straciłem przytomność i miałem rozcięte czoło. Nasz podoficer techniczny, przedwojenny taksjarsz warszawski, powiedział mi wtedy: „Widziałem wiele katastrof samochodowych, ale żeby z takiego wypadku ktoś wyszedł żywy, to jeszcze nie...”. Winę wziąłem na siebie. Jako najmłodszy żołnierz kompanii byłem lubiany, więc skończyło się na miesiącu aresztu w zawieszeniu na dwa lata. Z tym wyrokiem przejeździłem całą wojnę.

Narębski nie poprzestawał tylko na kierowaniu ciężarówką. Należał też do grupy artystycznej utworzonej w kompanii przez mjr. Chełkowskiego. Grał na skrzypcach i śpiewał w chórze rewelersów. Podjął również, przerwany aresztowaniem w Wilnie, naukę i na kursach dla żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie przy szkole junaków w obozie „Barbara” zdał małą maturę.

W marcu 1944 roku kompania transportowa wypłynęła na polskim statku MS „Batory” z Port Saidu do włoskiego Taranto. Rozpoczął się wtedy włoski rozdział epopei 2 Korpusu Polskiego, a jej pierwszym głośnym etapem stała się bitwa pod Monte Cassino. Podczas walk o klasztor, a raczej jego ruiny, 22 kompania zaopatrywania artylerii stacjonowała w rejonie magazynów amunicji i sprzętu pod Venafrò. Jej zadaniem było dostarczanie amunicji i niezbędnego zaopatrzenia na stanowiska 10 i 11 Pułku Artylerii Ciężkiej.

Nasze plutony dojeżdżały do nich górską, krętą i stromą drogą, na dodatek nocą. Napędzane na cztery koła ciężarówki FWD o dużej mocy niektóre odcinki pokonywały z trudem. Każdy wóz był obsługiwany na zmianę przez dwóch kierowców, z których jeden w beksiężycowe noce prowadził obciążoną pociskami ciężarówkę w ten sposób, że szedł przed nią z białym ręcznikiem na plecach. Mimo trudnych warunków nasza kompania straciła tylko jednego koleżę, który prawdopodobnie z przemęczenia zasnął za kierownicą i spadł w przepaść.

Bitwa pod Monte Cassino stała się symbolem waleczności polskich żołnierzy. Kolejne wielkie zwycięstwo 2 Korpusu Polskiego – wyzwolenie całego regionu Marche i zdobycie 19 lipca 1944 roku jego stolicy oraz niezwykle istotnego dla sił alianckich portu – Ankony, było największym samodzielnym sukcesem operacyjnym polskiego wojska w całej kampanii włoskiej. Prof. Narębski z żalem podkreśla, że to zwycięstwo wciąż jest zbyt mało eksponowane.

W Polsce na włoskich żołnierzy niesłusznie patrzy się tylko przez pryzmat kampanii w Afryce. Wtedy masowo

poddawali się Brytyjczykom, bo uważali, że to nie ich wojna. Zupełnie inaczej wyglądało to we Włoszech.

W czasie bitwy o Ankony i później, w walkach o przełamanie linii Gotów, współdziałaliśmy z kilkoma włoskimi jednostkami. Przede wszystkim z 20-tysięcznym Corpo Italiano di Liberazione i oddziałem abruzyjskich górąli, nazywanym bandą Maiella. Ten niezwykle bitny oddział – górale mieli do wyrównania wiele porachunków z Niemcami – oddał nam wielkie usługi. Także u naszych komandosów jedna z ich kompanii składała się w całości z włoskich ochotników, którymi dowodzili polscy oficerowie i podoficerowie.

Równie przychylnie odnosili się do nas tamtejsi cywile. Świadczy o tym chociażby fakt, że gdy zajęliśmy pozycje zwolnione przez Francuski Korpus Ekspedycyjny, składający się w większości z mieszkańców Afryki Północnej, to miejscowi Włosi wychodzili z kryjówek, witali nas i mówili z ulgą, że wreszcie mogą poczuć, że są wyzwoleni...

Równocześnie z batalią na froncie włoskim gen. Władysław Anders prowadził drugą – o jak najlepsze wykształcenie swych żołnierzy. Dzięki temu wielu młodych Polaków równoległe do szlaku bojowego podążało „szlakiem naukowym”. Jednym z tych żołnierzy był Wojciech Narębski. Po kampanii adriatyckiej we wrześniu 1944 roku jednostki 2 Korpusu zostały wycofane na odpoczynek. Dzięki temu wielu żołnierzy zostało skierowanych do Centrum Wyszczolenia Armii 2 Korpusu Polskiego w Materze na naukę w szkole podchorążych oraz do szkół ogólnokształcących i zawodowych. W tej grupie znalazł się Narębski.

Na początku marca 1945 roku wróciłem jako starszy strzelec podchorąży do macierzystej kompanii. Stacjonowała ona wtedy w Meldoli koło Forlì i zaopatrywała nasze pułki artyleryjskie, wspierające swym ogniem piechotę, prowadzącą działania w dolinie rzeki Senio naprzeciw umocnionych pozycji niemieckich. Wojna pozycyjna w tym regionie trwała od grudnia 1944 do kwietnia 1945 roku, czyli do rozpoczęcia ostatniej zwycięskiej bitwy 2 Korpusu – o Bolonię.

Po zakończeniu wojny Wojciech Narębski znalazł się wraz z innymi żołnierzami 2 Korpusu w Wielkiej Brytanii. Tutaj w 1946 roku zdał maturę, a w następnym roku, namawiany przez rodzinę, która z Wilna wyjechała do Torunia, wrócił do Polski. W życiu weterana kampanii włoskiej zaczął się równie pasjonujący okres – praca naukowa. ■

Dla trzeźwo oceniających sytuację Polski w ostatnich dekadach XVIII wieku było oczywiste, że bez gruntownych reform państwa, w tym powiększenia i modernizacji armii, jest ona skazana na zagładę. Niestety, chociaż przy dobrej woli magnatów i szlachty I Rzeczpospolita mogła wystawić stutysięczne albo nawet większe siły zbrojne, warstwy te nie chciały ponosić kosztów ich utrzymania. Również wzmocnienie władzy królewskiej, które usprawniłoby funkcjonowanie struktur państwowych, spotykało się z silnym oporem związanym z obawami, że będzie to równoznaczne z końcem szlacheckiej wolności.

ZDERZENIE TRZECH KONCEPCJI

Nic dziwnego, że kwestia obrony kraju stała się jedną z najważniejszych podczas obrad Sejmu Wielkiego (1788–1792). Powstały wówczas trzy projekty reformy sił zbrojnych, w różny sposób nakreślające ich kształt i rolę. Wspólna dla tych koncepcji była jedynie postulowana liczebność wojska – 100 tys. ludzi. Zgodnie z propozycją obozu królewskiego armia miała być zasilana przez stały kontyngent chłopskich rekrutów i składać się z 30 tys. piechoty oraz 15 tys. jazdy, wspieranych przez milicję wojewódzkie i artylerię forteczną. Magnaci również mieli pomysł budowy stutysięcznego wojska, ale dowodzonego przez nich, a nie przez króla i opartego głównie na kawalerii, co było rozwiązaniem dość anachronicznym. Według trzeciej koncepcji, forsowanej przez obóz patriotyczny, siły zbrojne I Rzeczypospolitej miały się składać z wzorowanej na rozwiązaniach pruskich armii regularnej i wspieranej przez pospolite ruszenie szlachty, mieszczan oraz chłopów. Ostatecznie zwyciężył projekt kompromisowy, zgodnie z którym miało powstać stutysięczne wojsko z przewagą kawalerii, oparte na zawodowej kadrze oficerskiej, a finansowane z po-

datków i dobrowolnych ofiar. Mimo wielu problemów szybko przystąpiono do reformy. Mieli w niej pomóc wybitni oficerowie: książę Józef Poniatowski, bratanek króla Stanisława Augusta – oficer w służbie austriackiej, weteran wojny z Turcją, Jan Henryk Dąbrowski – oficer armii saskiej, czy Tadeusz Kościuszko – bohater walk o niepodległość Stanów Zjednoczonych. Do lata 1791 roku stan armii wzrósł z marnych 24 tys. do 65 tys. Choć był to imponujący skok, nadal taka wielkość nie odpowiadała ani możliwościom kraju, ani też potrzebom w przewidywanym konflikcie z Rosją i Prusami, posiadającymi kilkakrotnie większe siły zbrojne. 18 kwietnia 1791 roku sejm uchwalił również prawo dotyczące miast królewskich, które otworzyło mieszczanom drogę do stopni oficerskich, dotychczas zastrzeżonych dla szlachty.

Starano się zadbać też o uzbrojenie żołnierzy. Powstawały manufaktury produkujące broń strzelecką, ludwisarnie odlewające armaty, wytwórnie broni białej. Zdecydowano się także na zakupy za granicą. Niestety, pełna modernizacja i wyposażenie wojska w nowoczesny sprzęt były niemożliwe ze względu na zbyt małe nakłady finansowe.

Reformy Sejmu Wielkiego zostały usankcjonowane w „Konstytucji 3 maja”. Zgodnie z nią w czasie pokoju armią kierowała Komisja Wojskowa Obojga Narodów, będąca odpowiednikiem Ministerstwa Spraw Wojskowych, a w czasie wojny – król. Siłę Zbrojną Narodową – jak określano polskie wojsko – poświęcono cały rozdział XI rządowej ustawy. Podkreślano w nim odpowiedzialność narodu za sprawy bezpieczeństwa państwa oraz potrzebę bezwzględnego posłuszeństwa wojska wobec władzy wykonawczej.

Reformy Sejmu Wielkiego zostały usankcjonowane w „Konstytucji 3 maja”. Zgodnie z nią w czasie pokoju armią kierowała Komisja Wojskowa Obojga Narodów, będąca odpowiednikiem Ministerstwa Spraw Wojskowych, a w czasie wojny – król. Siłę Zbrojną Narodową – jak określano polskie wojsko – poświęcono cały rozdział XI rządowej ustawy. Podkreślano w nim odpowiedzialność narodu za sprawy bezpieczeństwa państwa oraz potrzebę bezwzględnego posłuszeństwa wojska wobec władzy wykonawczej.

PRZEMYSŁAW WYWIĄŁ

OCHOTA SŁUŻENIA OJCZYŹNIE

Siła Zbrojna Narodowa stała się jednym z głównych tematów obrad Sejmu Wielkiego. Już wkrótce polskie wojsko musiało też zbrojnie bronić jego osiągnięć...



ZAPĄŁ I PATRIOTYZM

Niestety, tak jak nie zdążono wprowadzić w życie większości reform Sejmu Wielkiego i „Konstytucji 3 maja”, tak zabrakło też czasu i środków, a może też chęci niektórych

POLONA.PL

W KONSTYTUCJI 3 MAJA PODKREŚLANO ODPOWIEDZIALNOŚĆ CAŁEGO NARODU ZA SPRAWY BEZPIECZEŃSTWA PAŃSTWA ORAZ POTRZEBĘ BEZWZGLĘDNEGO POSŁUSZEŃSTWA WOJSKA WOBEĆ WŁADZY WYKONAWCZEJ

konfederatom targowickim nie udało się – mimo czynionych prób – przeciągnąć na swoją stronę oficerów polskiego wojska.

18 maja 1792 roku armia rosyjska, po wcześniejszym manifeście Katarzyny II oskarżającym Polaków m.in. o sprzyjanie Turcji, prześladowanie Rosjan i prawosławnych oraz obrażenie imperatorowej, wkroczyła w granice Rzeczypospolitej. Latem polskie wojsko stoczyło kilka bitew z siłami rosyjskimi, zadało im straty i – mimo przewagi nieprzyjaciela – uniknęło zniszczenia. Bitwy pod Zieleńcami i Dubienką to tylko przykłady kunsztu i wysokiego morale polskich żołnierzy. Docenił to również król Stanisław August – dla uczczenia zwycięstwa pod Zieleńcami ustanowił Order Virtuti Militari, do dziś najwyższe polskie odznaczenie wojskowe.

Polacy się cofali, ale nie zostali jednak rozbici. Mieli wsparcie miejscowego społeczeństwa, które mogło skutecznie wesprzeć swoich żołnierzy logistycznie oraz przez napływ ochotników. „Armia polska skoncentrowała się, nabrała do siebie zaufania, pragnęła bić się dalej”, podkreślał historyk Wacław Tokarz. Rosjanie z kolei, wyczerpani marszem i zmuszani do pozostawiania po drodze garnizonów, żeby zachować panowanie nad terenem i zabezpieczyć linie komunikacyjne, doprowadzili pod Warszawę tylko około 60 tys. ludzi. Siły zatem prawie się wyrównały.

Mimo porażek morale wojska nadal było wysokie. Odwrót nie spowodował upadku ducha – pozostawała wiara w zakończenie sukcesem walki i ostateczne zwycięstwo. Wpływ na to z pewnością miały osobowości księcia Józefa Poniatowskiego i Tadeusza Kościuszki, którzy potrafili zdobyć i utrzymać zaufanie żołnierzy oraz wymóc na nich bezgraniczne posłuszeństwo. Tak uczucia wojskowych charakteryzował Kościuszko: „Duch był wszędzie, zapał i patriotyzm, ale nie korzystano, bardziej uchylano jeszcze... Były jeszcze sposoby zbijania wojska rosyjskiego”.

PAŁACE UCZUCIE HAŃBY

Niestety, potwierdziły się złowróżbne informacje, które od jakiegoś czasu docierały do walczących żołnierzy: król i jego otoczenie, zamiast działać na rzecz maksymalizacji wysiłku wojennego, szukali możliwości porozumienia z carycą Katarzyną II. 23 lipca 1792 roku król podpisał w imieniu swoim oraz armii akces do konfederacji targowickiej. Dzień później wydał rozkaz do armii koronnej i litewskiej o przerwaniu stawiania oporu. Żołnierzy ogarnęło oburzenie: „Trudno oddać z całą prawdą dziejową psychiczne wrażenie rozsadzające dusze wojskowych, to pała-

ce uczucie wstydu i hańby, upokorzenia, żalu i rozpacz, złowrogie przecucia o przyszłych losach kraju i konwulsyjne ściskanie szabel złamanych rozcięciem”, pisał na ten temat historyk Adam Wolański. Również książę Józef w pamiętniku opisał relację wojskowych na wieść o decyzji króla: „Wszyscy oficerowie zobowiązali się bronić do upadłego. Napisali do marszałków sejmku, prosząc ich, by z sobą

króla przywieźli do obozu i woleli raczej zagrzebać się pod gruzami kraju, któremu zdało się już nie pozostawać nic, tylko hańba niewoli, albo zniszczenie zaszczytne”.

W proteście wielu oficerów, w tym najwyżsi dowódcy, złożyło prośby o dymisję i odeszło z wojska. Wśród nich był książę Józef. Kiedy opuszczał szeregi wojska po odebraniu dymisji z rąk króla, pożegnał żołnierzy słowami: „Przyszedł dla mnie ten moment, który dla serca mego jest najniezwyklejszy i najczulszy, przyzwyczajony się przewodniczyć żołnierzowi szlachetnemu, który był mi przykładem ochoty i waleczności. Na ostatek, widząc się być w smutnej potrzebie rozdzielić i rozstać się z nimi w tym właśnie czasie, kiedy gorliwość, duch żołnierski i punkt honoru stanął był w tym stopniu, że sobie obiecywał sławę, dla narodu szczęście, a dla żołnierza zwycięstwo. Żegnam was, kochani kamraci, odważni żołnierze, moi prawdziwi przyjaciele. Rozdzielajmy ciała nasze, ale niech dusze na zawsze spokojne zostaną. Niech czucie honoru tak silne, tak mocne w nas zostanie, aby żadna strata, żadne prześladowanie i śmierć nawet sama nie mogła zatrzeć tej cechy prawdziwej szlachetności. Te są życzenia tego, który wierny przestaje komenderować, któremu wasze wspomnienie będzie zawsze chlubą, a wasze przywiązanie nagrodą”.

Armia polska w momencie wybuchu wojny z Rosją była dopiero w trakcie reformy. Zderzyła się wtedy z przeciwnikiem mającym znaczną przewagę liczebną. Tam gdzie to było możliwe, udawadniała jednak, że potrafi stawić czoła Rosjanom. Mimo wielu niepowodzeń zachowała też karność i wysokie morale. Niestety, ogólny stan państwa i defetystyczna postawa elit, w tym samego króla, uniemożliwiły skuteczny opór. Nie udało się uratować reform Sejmu Wielkiego i „Konstytucji 3 maja”, których spuścizna przetrwała jednak w tradycji i myśli politycznej Polaków jako jeden z symboli ratowania upadającego państwa. ■

PRZEMYSŁAW WYWIAŁ jest historykiem wojskowości, pracownikiem Uniwersytetu Pedagogicznego im. KEN w Krakowie.

ROBERT SENDEK

POŁUDNIOWCY W POLSKIEJ KONSPIRACJI

W pierwszych miesiącach niemieckiej okupacji działała w Polsce tzw. Grupa B, niewielkie grono Bułgarów, którzy nieśli pomoc tworzącym się strukturom państwa podziemnego.

Działalność grupy Bułgarów, którzy współpracowali z polskim podziemiem, nie jest szerzej znana. A szkoda, gdyż ich pomoc, w wielu wypadkach wcale nie tak mała, stanowi ciekawy i w sumie dość egzotyczny przykład kooperacji przedstawicieli dwu narodów słowiańskich. Członkowie grupy, będący oficjalnie pracownikami bułgarskiej placówki dyplomatycznej, mieli jako dyplomaci oraz obywatele podówczas jeszcze neutralnego kraju niemałe możliwości załatwiania w okupowanej Polsce rozmaitych spraw. Wprawdzie we wrześniu 1939 roku, czyli w czasie, gdy Polska prowadziła jeszcze wojnę obronną, Bułgaria podkreślała swą neutralność wobec konfliktu, jednak ówczesne władze tego państwa sprzyjały Hitlerowi. Niemcy wiedzieli o tej życzliwości i traktowali Bułgarów jako potencjalnych sojuszników.

GRUPA B

Centralną postacią grupy Bułgarów był Krum Cokow (w polskich publikacjach jego nazwisko zapisywane jest także jako Tsokoff), pracujący od 1936 roku w bułgarskiej ambasadzie w Warszawie jako radca handlowy. Przed wojną do jego zadań należało nawiązywanie kontaktów

między przedsiębiorcami bułgarskimi i polskimi oraz ułatwianie wymiany handlowej. Ze względu na charakter pracy Cokow miał liczne znajomości wśród Polaków, a także wielu przyjaciół, co zadecydowało o jego późniejszych działaniach na rzecz polskiego podziemia. Po wybuchu wojny był świadkiem pierwszego bombardowania Warszawy, widział zniszczenia wojenne, pożary, ucieczkę ludzi na wschód. Jednocześnie ogromne wrażenie zrobiły na nim – co sam przyznawał w spisanych po latach wspomnieniach – przykłady ofiarności i patriotyzmu Polaków. Ze względu na prowadzone działania wojenne, w pierwszych dniach września 1939 roku ambasada bułgarska została ewakuowana, jej pracownicy, a z nimi także Cokow, wyjechali.

Wkrótce potem Cokow otrzymał w bułgarskim ministerstwie propozycję wyjazdu do Berlina w charakterze radcy handlowego. Początkowo odmówił, jednak do zmiany zdania namówił go polski ambasador w Sofii Adam Tarnowski. Uważał on, że umieszczenie w Berlinie na eksponowanym stanowisku człowieka życzliwego Polakom będzie miało ogromne znaczenie. Pod wpływem tej namowy Cokow przyjął propozycję. Dobrał sobie zaufanych



Gmach Poselstwa Bułgarii w Warszawie



CENTRALNĄ POSTACIĄ
GRUPY BUŁGARÓW BYŁ
KRUM COKOW, PRACUJĄCY
OD 1936 ROKU W BUŁGAR-
SKIEJ AMBASADZIE W WARSZA-
WIE JAKO RADCA HANDLOWY

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (2)

współpracowników. Jednym z nich był Dimityr Ikonow, przed wojną pracujący w ambasadzie w Warszawie jako jego sekretarz.

W początkach listopada 1939 roku, już z paszportem dyplomatycznym, Ikonow wyjechał do Warszawy, oficjalnie aby zamknąć sprawy dawnego biura prawnego przy ambasadzie bułgarskiej, na co zresztą miał zgodę władz niemieckich. Nieoficjalnie zaś rozpoczął pracę dla polskiego podziemia. Z Ikonowem powędrowały do Warszawy w bagażu dyplomatycznym listy od polskich uchodźców z Bałkanów oraz przesyłane przez nich pieniądze. Niedługo potem do grupy konspiratorów dołączyli Trifon Puchlew, pracownik konsularny, oraz były student Bojan Abadžijew. Ludzi tych określa się mianem Grupy B (B – od Bułgaria). Mieli paszporty dyplomatyczne i działali oficjalnie jako przedstawiciele zaprzyjaźnionego z III Rzeszą państwa, co dawało im niemałe możliwości.

Cokow wielokrotnie wyjeżdżał z Berlina do Generalnego Gubernatorstwa, gdzie odbywał oficjalne spotkania z władzami niemieckimi (m.in. z gubernatorem Hansem Frankiem), a przy okazji pełnił misje powierzone przez Polaków. Tymczasem Ikonow działał w Warszawie. Korzystając z pieczęci oraz oryginalnych blankietów przedwojennego bułgarskiego biura radcy handlowego, wystawiał Polakom fałszywe zaświadczenia o pracy na rzecz bułgarskiego przedstawicielstwa. Pozwoliło to wielu naszym rodakom uniknąć wywózki na roboty albo do obo-

zów. Puchlew z kolei wystawiał bułgarskie wizy wjazdowe, umożliwiające uciekinierom z Polski legalny pobyt w Bułgarii. Pomogło to w zorganizowaniu szlaku przerzutowego na Zachód. Prowadził on z Warszawy, przez Budapeszt i Bukareszt, na Bałkany.

W środowisku bułgarskiej Polonii blisko współpracującej z miejscową ambasadą niemal równolegle zorganizowano w Sofii drugie ogniwo grupy przerzutowej, Grupę B-2. Jej jądro stanowiła osiadła w Bułgarii od trzech pokoleń polska rodzina Zembruskich. Grupa, której działalność koordynował poseł Adam Tarnowski, przejmowała od swych współpracowników z Polski materiały i przekazywała je dalej, do Stambułu, a stamtąd do polskiego rządu na emigracji. Dzięki pomocy grupy do Turcji przedostało się też wielu uciekinierów z okupowanej Polski. Głównym organizatorem B-2 był Zdzisław Zembruski, przed wojną przedsiębiorca oraz aktywny działacz polonijny. Do tego grona należał także jego kuzyn, Władysław Zembruski, oraz kilka innych osób, głównie Polaków. W maju 1942 roku agenci niemieckiego wywiadu rozbili Grupę B-2, jej członkowie zaś, ze Zdzisławem Zembruskim na czele, zostali zamordowani. Później grupa została jednak odtworzona przez Stefanię Zembruską, siostrę Zdzisława.

PORWAĆ PREMIERA

Wincenty Witos to jedna z najważniejszych postaci polskiej sceny politycznej okresu międzywojennego. Trzykrotnie był premierem, po przewrocie majowym znalazł się na emigracji, zachował jednak kontakt z polityką w kraju. We wrześniu 1939 roku Witos przebywał w Polsce, ale już w połowie miesiąca został aresztowany przez gestapo i uwięziony w Rzeszowie. Niemcy próbowali nakłonić go do współpracy i objęcia szefostwa kolaboracyjnego rządu. Propozycje takie Witos jednak zdecydowanie odrzucał.

Niemcy mogli niewątpliwie wykorzystać byłego premiera, aby wywierać nacisk na polskie władze emigracyjne. Z tego też powodu już pod koniec 1939 roku powstał plan, by Witosą za wszelką cenę wydostać z więzienia i wywieźć na Zachód. Tam miał wejść w skład emigracyjnego rządu gen. Władysława Sikorskiego. Rozpoczęły się przygotowania do akcji.

Współpracujący z polskim podziemiem Krum Cokow postarał się o wyrobienie Witosowi bułgarskich dokumentów. Aktualne fotografie byłego premiera dostarczył Cokowowi w początkach stycznia 1940 roku poseł Adam Tarnowski. Plan przewidywał, że Witos w towarzystwie Cokowa wyjedzie pociągiem na Węgry, stamtąd na Bałkany, a następnie na Zachód. Wszystko było związane z ostatnim guzik.



Pod koniec lutego w godzinach nocnych pod areszt w Rzeszowie, gdzie trzymano Witosą, podjechali podstawionym samochodem konspiratorzy przebrani w niemieckie mundury wojskowe. Mieli ze sobą fałszywy rozkaz wydania im Witosy. Niestety, stan częściowo sparaliżowanego i niemłodego już polityka, przetrzymywanego w fatalnych warunkach i źle traktowanego, bardzo się pogorszył. Ponieważ istniało zagrożenie, iż Witos nie przeżyje ucieczki, wykonanie planu odłożono na później. W początkach marca Niemcy przenieśli Witosę w inne miejsce, a tym samym cały misterny plan wywiezienia z kraju premiera polskiego rządu spalił na panewce.

Do głównych zadań Grupy B należało przewożenie pieniędzy przeznaczonych na wsparcie działalności polskiego podziemia, a także korespondencji, sprawozdań, raportów oraz instrukcji. Ponoć kurierom bułgarskim, przemieszczającym się między Warszawą, Berlinem, Budapesztem, Bukaresztem a Sofią, udało się do lata 1940 roku przewieźć ponad 3 tys. listów i niemal 3,5 mln zł.

DOKUMENTY ZBRODNI

Zasługą Cokowa było także dokumentowanie codziennego życia w okupowanej Polsce, w tym niemieckich zbrodni. Wśród osób, z którymi się kontaktował w Warszawie, był znany mu jeszcze sprzed wojny Edward Fikus, członek konspiracyjnej Komendy Obrońców Polski, dawniej pracujący jako fotograf prasowy. W spisanych po wojnie wspomnieniach Cokow przyznał, że nie licząc Tarnowskiego, który namówił go na wyjazd do Berlina, to właśnie Fikus – jak to ujął – zwerbował go do polskiego podziemia. Był on autorem zdjęć pokazujących brutalność Niemców w okupowanej Warszawie, publiczne egzekucje, łapanki, niszczenie pomników i kultury polskiej, a także okrutne traktowanie ludności żydowskiej. Wykonane przez Fikusa oraz Cokowa fotografie zostały opatrzone komentarzem, datą i miejscem wykonania, a następnie przemycone w trzech transportach do Sofii i tam przekazane ambasadorowi Tarnowskiemu. Stamtąd trafiły na Zachód. Zostały wykorzystane w rozmaitych publikacjach, informujących społeczeństwa zachodnie o tym, jak rzeczywiście wygląda życie w okupowanej Polsce. Już na przełomie lutego i marca 1940 roku w Paryżu została na przykład wydana książka „Zbrodnie niemieckie w Polsce” (pod franc. tytułem „Les atrocités allemandes en Pologne”). Stanowiła ona odpowiedź na propagandową publikację niemiecką zatytułowaną „Zbrodnie polskie na Niemcach w Polsce” (niem. tytuł „Die polnischen Greuelthaten an den Volksdeutschen in Polen”), wydaną w niemieckiej, angielskiej oraz francuskiej wersji językowej i wykorzystującą m.in. zdjęcia z tzw. bydgoskiej krwawej niedzieli. Grupa B działała ak-

tywnie do czerwca 1940 roku. Jej członkowie podjęli się jeszcze udzielenia pomocy uwięzionym profesorom Uniwersytetu Jagiellońskiego. Część z nich miała doktoraty honoris causa Uniwersytetu Sofijskiego. Cokow interweniował w tej sprawie u gubernatora dystryktu warszawskiego Ludwiga Fischera. W porozumieniu z ambasadorem Tarnowskim pisał listy i memoriały do władz w Sofii, by wpłynęły one na Niemców. Jednak ostatecznie zabiegi te nie przyniosły większych rezultatów.

DEKONSPIRACJA

Do wyspy doszło przypadkiem, za sprawą Christo Stefanowa, innego mieszkającego w Polsce Bułgara, niewtajemniczonego w działalność Grupy B. Został on poproszony przez Ikonomowa o przewiezienie ze Lwowa do Warszawy pewnych dokumentów. Nabral jednak podejrzeń, którymi podzielił się z niemiecką policją. Efektem było aresztowanie w Budapeszcie Cokowa, jadącego do Sofii z kompletem nielegalnych dokumentów. Równocześnie w Warszawie złapano pozostałych członków grupy: Ikonomowa, Puchlewa i Abadźjewa, a także wielu Polaków z podziemia. W trakcie procesu Cokow upierał się, że wpadka z kompromitującymi dokumentami była wynikiem incydentu, a nie długotrwałej współpracy z polskim podziemiem, i wziął całą winę na siebie. Większość członków Grupy B uniewinniono, jednak Cokowa, który został złapany z kompromitującymi dokumentami, skazano na pięć lat ciężkiego więzienia. Początkowo był przetrzymywany na Mokotowie, później dzięki staraniom polskich lekarzy, został przeniesiony do szpitala, skąd miał nawet możliwość wychodzenia na miasto. Wówczas poznał swą przyszłą żonę, Polkę, Irenę Łukasiewicz. Po zakończeniu wojny wyjechał na jakiś czas do Bułgarii, ale tam został ujęty przez bułgarską bezpiekę. Skazany za, jak to ujęto, pracę na rzecz reżimu faszystowskiego, spędził kilka lat w surowym obozie pracy na dunajskiej wyspie Belene. Po uwolnieniu wrócił do Polski. Zmarł 17 sierpnia 1994 roku, już w wolnej Rzeczypospolitej. Pozostali członkowie Grupy B również mieli problemy z bułgarską bezpieką. Działalność ich oraz Cokowa została przypomniana przez władze polskie dopiero pod koniec lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Postacie dzielnych Bułgarów upamiętnia również film dokumentalny Barbary Rogalskiej i Bożidara Sławowa „Przez Sofię do wolności” z 2008 roku. ■

W artykule wykorzystano opracowania Eugeniusza Stachurskiego oraz wspomnienia Kruma Cokowa opublikowane w książce „Ramię w ramię. Wspomnienia cudzoziemców uczestniczących w polskim ruchu oporu w latach 1939–1945”, Warszawa 1980.

WŁODZIMIERZ
KALETA

Pechowy wystrzał



Kiedy „Tygrys”, bo takie pseudo miał oficer, po ukończeniu Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Zmechanizowanych rozpoczął służbę w zielonym garnizonie, nic nie wskazywało, że dojdzie choćby do stopnia majora. Przyznaje, że solidaryzował się wówczas z podwładnymi. Rozumiał ich, kiedy narzekali na bezsens ciągłego wykonywania tych samych czynności podczas zajęć, jak ustawianie muszki uniwersalnej, zamiast szkolenia ogniowego na strzelnicy.

Ileż godzin dziennie można ćwiczyć rozkładanie i składanie broni? Przełożeni wymagali, by żołnierz miał wykute na blachę regulaminy i znał instrukcje. I tego się młody podporucznik trzymał. Dlatego chętnie przerabiali temat: pluton w niewoli. Siadali na słoneczku pod lasem i czytali dokumenty.

O tym, że się mylił, „Tygrys” przekonał się osobiście podczas poligonowego szkolenia w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku. To były złe czasy dla armii. Mimo skrócenia służby zasadniczej do 1,5 roku niechęć młodych ludzi do wojska wcale nie zmalała. Dyscyplina wśród żołnierzy z poboru, którym nie udało się uniknąć tego zaszczytnego obowiązku, znacznie spadła.

Wciąż jednak armia miała na tyle sprzętu, amunicji i środków pozoracji pola walki, aby prowadzić w polu ćwiczenia nawet dużych jednostek. I rozgrywać niektóre epizody, używając amunicji bojowej. Po jednych zajęciach taktycznych w terenie, kiedy żołnierze i technicy kręcili się przy obsłudze bojowych wozów piechoty, „Tygrys”, oddelegowany wówczas do sztabu batalionu, zbierał kadrę zawodową na odprawę.

Wtedy z wozu, w pobliżu którego się zatrzymał, padł strzał. Któryś z żołnierzy, przez nieuwagę albo lekceważąc procedury, odpalił pocisk ćwiczebny pozostawiony w lufie wozu bojowego. Nabój ćwiczebny do 73-milimetrowej armaty wozu bojowego różnił się od bojowego tym, że zamiast pocisku miał ebonitowy pojemnik wypełniony płynem borygo, który po wystrzale rozrywał ładunek prochowy na kawałki. Wypadek ten o mało nie przekreślił dalszej służby porucznika. Nie chodziło nawet o rany, które odniósł. Tego rodzaju zdarzenia z bronią traktowano jako wypadek nadzwyczajny. Wpadkę największego kalibru, która ciągnęła się za oficerem bez względu na to, czy był, czy nie był winny, kończąc przeważnie jego dowódczą karierę.

Dziś przyznaje, że sam się nie spodziewał, że przekona przełożonych, by pozostawili go w służbie. Jednak został, a kiedy sprawa nieco „przyschła”, awansował nawet i piął się ambitnie w górę na najwyższe stanowiska dowódcze.

Tamtą poligonową lekcję zapamiętał na zawsze. Uporczywie i systematycznie wpajał żołnierzom, że są mądrzy nie tyle znajomością instrukcji, ile przede wszystkim nawykami, zwłaszcza bojowymi, które w największym nawet zamęcie, kiedy zmęczenie i emocje sprawiają, że przestaje się myśleć, powodują, że procedury wykonuje się wręcz automatycznie.

Żołnierze nigdy chyba w jego opowiadania nie uwierzyli, ale też już nigdy więcej nie spowodowali wypadku nadzwyczajnego.



Płk w st. spocz. WŁODZIMIERZ KALETA służył
w 7 Łużyckiej Dywizji Desantowej.

JAKUB NAWROCKI

Leśny człowiek

Gdyby wytrwał w lesie jeszcze 13 lat,
doczekałby niepodległości Estonii.

Opór wobec sowietyzacji Europy Wschodniej po II wojnie światowej był ruchem masowym. W krajach bałtyckich o niepodległość swoich małych ojczyzn walczyli „leśni bracia”. Jeden z nich, Estończyk August Sabbe, własną walkę prowadził aż do 1978 roku.

ROZSTANIA I POWROTY

W chwili wybuchu II wojny światowej August Sabbe miał 30 lat. Nie wiadomo dokładnie, jakie życie prowadził wcześniej. Urodził się w 1909 roku w rodzinie młynarza i był najmłodszy z rodzeństwa. W latach 1929–1930 pełnił służbę wojskową w estońskiej armii.

Po wybuchu wojny, na podstawie porozumienia Ribbentrop–Mołotow, już w 1939 roku na terenie Estonii powstały bazy Armii Czerwonej, a w czerwcu 1940 roku kraj ten został włączony do Rosji Sowieckiej. Gdy w 1941 roku rozpoczęła się wojna niemiecko-sowiecka, ogłoszono pobór w szeregi czerwonoarmistów. Sabbe się nie zgłosił, zamiast tego, śladem tysięcy innych młodych Estończyków, uciekł do lasu i stał się jednym z „leśnych braci” – tak nazywano formacje zwalczające komunistów w krajach bałtyckich. Kiedy Niemcy przejęli Estonię z rąk Sowieców, Sabbe wrócił do domu, do pracy w młynie. Podobnie jak wcześniej nie przystąpił do czerwonoarmistów, tak i teraz nie zaciągnął się do ochotniczych jednostek SS. Gdy w 1944 roku napierająca na zachód Armia Czerwona znów zajęła małe nadbałtyckie państwo, po raz kolejny uciekł do „leśnych braci”. Po zakończeniu wojny i ogłoszeniu amnestii wrócił do pracy jako młynarz. Nie na długo.

JEDYNA DROGA

Sabbem bardzo szybko zainteresowała się estońska służba bezpieczeństwa. KGB wiedziało, że Estończyk utrzymuje kontakt z wciąż działającymi w lesie party-



August Sabbe



ESTONIAN FILM ARCHIVES



ŻYCIE W UKRYCIU

August Sabbe powszechnie jest uważany za ostatniego partyzanta podziemia antykomunistycznego w Europie. Tak naprawdę jeszcze jeden z „leśnych braci” umykał wrogowi dłużej niż Sabbe. Litwin Statys Guiga „Tarzan”, żołnierz okręgu Vytautas, ukrywał się w rejonie nowoświeciańskim przez 33 lata. Nie został jednak zabity przez komunistów, lecz zmarł z przyczyn naturalnych, na zapalenie płuc, w 1986 roku. ■

zantami. Poinformowano go, że ma składać meldunki i donosić bezpiekę o działaniach „leśnych braci”. Jednak przez następne kilkanaście miesięcy do kagiebiów nie wpłynął żaden raport. Nie słabła też działalność partyzancka w okolicy. W 1949 roku KGB wysłało do młyna grupę operacyjną. Sabbe w porę zauważył funkcjonariuszy i zdążył wskoczyć do młyńskiego stawu. Schronił się za stopniem wodnym i przeczekał obławę. Ponieważ bezpieka go nie odnalazła, uznano, że zginął, a ciało poniósł nurt wody. Na blisko 30 lat KGB zapomniało o Sabbem. On sam zaś zrozumiał, że nie ma już powrotu do spokojnego życia młynarza. W 1950 roku przystąpił do oddziału partyzanckiego Orion (po polsku Orzeł), którym dowodził legendarny Jaan Roots, działający na południowym wschodzie Estonii, i przy-



Oddział
„leśnych
braci”
w północnej
Estonii



August Sabbe (po
lewej) sfotografowa-
ny z agentem
KGB na chwilę
przed śmiercią,
28 września 1978

brał pseudonim „Kuhte”. 6 czerwca 1952 roku kilkusetosobowy oddział Rootsa w trakcie przemarszu wpadł w zasadzkę przygotowaną przez KGB. Sabbe w tym czasie osłaniał tyły i być może właśnie dlatego udało mu się ująć cało z zasadzki. Reszta jego towarzyszy broni poległa w walce. Od tamtej pory Estończyk zaczął się ukrywać w lasach sam i bardzo rzadko opuszczał schronienie. W przetrwaniu pomagało mu kilku mieszkańców okolicznych wsi. Lata mijały, odchodzili ludzie, dzięki którym Sabbemu udawało się przetrwać. Nie chciał się jednak poddać. Aby zabezpieczyć swój byt, coraz częściej musiał wychodzić z lasu, narażając się na zdemaskowanie.

OSTATNIE POLOWANIE

W latach siedemdziesiątych XX wieku komendant milicji z Põlva, Hans Salm odnotował dziwne zajście, po którym zaczął podejrzewać, że w jego rejencji nadal działa „leśny brat”. „Władze zorganizowały obławę na kłusowników nad rzeką Võhandu. Jeden z funkcjonariuszy natknął się na ukryty sztucer. Zaskoczony znaleziskiem, pozostał w tym miejscu, by zobaczyć, czy ktoś po niego przyjdzie. Nie minęło wiele czasu, gdy zarośli wyłonił się mężczyzna i skierował się prosto w stronę skrytki. Funkcjonariusz dobył broni i wyskoczył z ukrycia, rozkazując podnieść ręce. Mężczyzna odwrócił się i wykonał polecenie. Gdy jednak przyjrzał

się funkcjonariuszowi, opuścił ręce, odwrócił się i spokojnie ruszył tam, skąd przyszedł. Funkcjonariusz krzyknął »Stój, bo strzelam!«. Mężczyzna wymamrotał »Nie strzelisz« i zniknął w lesie. Funkcjonariusz nie strzelił”. Sprawą zainteresowało się KGB. Zaczęto bardzo dokładnie analizować losy poszczególnych „leśnych braci”. W dość szybkim czasie stwierdzono, że wiele lat temu zapomniano o Augustie Sabbem, a jego śmierć nigdy nie została potwierdzona. Latem 1978 roku zorganizowano obławę, aby bardzo dokładnie przeczesać lasy w okęgach Leevi i Võhandu. Gdy poszukiwania nic nie dały, w teren udali się agenci KGB. 28 września 1978 roku dwóch z nich, przebranych za wędkarzy, na pontonie przemierzało rzekę w okolicach wsi Paidra. Na brzegu Võhandu łowił ryby starszy człowiek. Agenci przedstawili się jako wędkarze z Võru i zaczęli rozmawiać z nieznanym. Starając się poznać jego tożsamość, zrobili sobie z nim kilka zdjęć, po czym zapytali, dokąd mają wysłać odbitki. Ten zaczął się wymigiwać, mówiąc, że ich nie chce i po naleganiach podał pierwszy lepszy adres, jaki przyszedł mu do głowy. Wówczas agenci zorientowali się, z kim rozmawiają. Jeden z nich miał powiedzieć: „Nie kłamcie. Nazywacie się August Sabbe. Jesteśmy z KGB i aresztujemy was”.

Do dziś nie jest oczywiste, w jaki sposób poległ ostatni żołnierz podziemia niepodległościowego w Europie. Jedna z wersji mówi, że rzucił się do wody, ale młodzi agenci KGB bardzo szybko za nim skoczyli i go złapali. Gdy ciągnęli Sabbego na brzeg, podobno wyrwał się bezpiece i ponownie rzucił w nurt rzeki. Po chwili stracił siły i utonął. Według drugiej wersji wydarzeń, gdy „Kuhte” zorientował się, z kim ma do czynienia, próbował dopłynąć pod wodą na drugi brzeg. Widząc to, agenci KGB zaczęli do niego strzelać. Potem znaleźli nad brzegiem zaczepione o krzaki ciało. August Sabbe w chwili śmierci miał 69 lat. Ervin Oras i Neeme Tavel, agenci, którzy zabili ostatniego leśnego żołnierza, byli później nagradzani w resorcie za „zlikwidowanie niebezpiecznego, ukrywającego się od lat bandyty”. Propaganda radziecka nakręciła nawet film dokumentalny, przedstawiający „Kuhtego” jako terrorystę, a KGB jako bohaterów czuwających nad bezpieczeństwem obywateli i skutecznie tropiących bandytów. W ostatniej chwili Komitet Bezpieczeństwa Publicznego zakazał emisji filmu. Bano się legendy ostatniego żołnierza podziemia antykomunistycznego w Europie i nie chciano przypominać światu o marzeniach, jakie reprezentował swoją postawą August Sabbe – o niepodległości i suwerenności własnego narodu. ■

TADEUSZ WRÓBEL

Oblubieńcy śmierci

W latach dwudziestych XX wieku w Hiszpanii utworzono jednostkę wzorowaną na francuskiej Legii Cudzoziemskiej.

Hiszpania po przegranej wojnie ze Stanami Zjednoczonymi w 1898 roku utraciła swe posiadłości na Karaibach, w Azji i na Pacyfiku. Z dawnego potężnego imperium kolonialnego pozostały Hiszpanom tylko Gwinea Hiszpańska i niewielkie enklawy na wybrzeżu Maroka, zajęta jeszcze w średniowieczu Melilla oraz przejęta w XVII wieku od Portugalczyków Ceuta. Szansą na powiększenie kolonii w Afryce stał się traktat podpisany 30 marca 1912 roku w Fezie, zgodnie z którym sułtan Maroka – Mulaj Abd al-Hafiz – zrzekł się na rzecz Francji suwerenności swojego kraju, który stał się protektorem. Hiszpanie zgodzili się uznać ten fakt w zamian za zaakceptowanie ich roszczeń terytorialnych. Doszło do porozumienia z Francuzami, na mocy którego Hiszpania przejęła kontrolę nad północnym Marokiem. Tereny nad Morzem Albozańskim stały się Marokiem Hiszpańskim. Hiszpania uzyskała również rejon Ifni na atlantyckim wybrzeżu Maroka i obszary saharyjskie na południe od Tarfai, do granicy z kontrolowaną przez Francuzów Mauretanią, czyli dzisiejszą Saharę Zachodnią.

PIERWSZE TERCIO

Mieszkańcy północnego Maroka nie zaakceptowali rządów kolonialnych i niebawem rozpoczęła się krwawa wojna, do której Hiszpanie nie byli przygotowani. Wysłane do północnej Afryki oddziały, złożone z kiepsko wyszkolonych poborowych, ponosiły duże straty, co negatywnie wpływało na i tak nie najwyższe morale żołnierzy. Ich skuteczność w zwalczaniu buntowników również była niewielka. Walczący tam ppłk José Millán-Astray y Terreros, weteran wojny amerykańsko-hiszpańskiej, zaproponował stworzenie ochotniczej jednostki, wzorowanej na francuskiej Legii Cudzoziemskiej. Hiszpanowi za imponował swą walecznością i poświęceniem walczący w wielkiej wojnie Pułk Marszowy Legii Cudzoziemskiej. Propozycja Millán-Astraya zyskała akceptację zwierzchników. Dekretem króla Alfonsa XIII z 28 stycznia 1920 roku powołano do życia Tercio de Extranjeros

(Tercio Cudzoziemców). Do jednostki tej mogli wstępować ochotniczo zarówno obywatele Królestwa Hiszpanii, jak i cudzoziemcy. „Państwo jest absolutnym suwerenem w granicach swojego terytorium i może robić, co uzna za stosowne dla swych interesów; zatrudnienie obcokrajowców jest konsekwencją tej zasady”, wyjaśnił prawo do zaciągu cudzoziemców hiszpański oficer. Millán-Astray stworzył też „Kredo legionisty”, czyli kodeks postępowania, który do dziś stanowi podstawę duchową formacji. Jej nazwa nawiązywała do tradycji tercios, hiszpańskich jednostek piechoty z okresu renesansu, będących odpowiednikami pułków.

Pierwszy ochotnik zaciągnął się 20 września 1920 roku i jest to data narodzin hiszpańskiej Legii Cudzoziemskiej. Szybko okazało się, że nowej formacji trudno konkurować z francuską odpowiedniczką. Liczba cudzoziemskich ochotników była niewielka. Najwięcej pochodziło z dawnej hiszpańskiej kolonii – Kuby. Przez cały okres funkcjonowania Legii odsetek cudzoziemców nie przekraczał 25%.

Tercio, którego dowódcą został płk Rafael de Valenzuela y Urzaiz, składało się z dowództwa i batalionów piechoty, którym nadano XVI-wieczne określenie „banderas”. Każdy z batalionów tworzyły początkowo kompanie dowodzenia, dwie kompanie strzelców i jedna karabinów maszynowych. Garnizonem Tercio de Extranjeros były koszary w rejonie Ceuty. I Bandera, którą od 27 września 1920 roku dowodził ppłk Francisco Franco, została włączona do 60 Pułku Piechoty „Ceuta”. Pierwsze działania przeprowadziła 21 października 1920 roku wzdłuż rzeki Tarajal. Na początku następnego miesiąca I Bandere przesunięto do Uad Lau, gdzie brała udział w operacjach w sektorze zachodnim. Równocześnie trwało formowanie II i III Bandery. W tym czasie w rejonie działań legionistów nie było większych bitew, ale dochodziło do potyczek z rebeliantami. Jednym z pierwszych poległych był kpr. Don Baltasar Quejia de la Vega z II Bandery. Żołnierzami III Bandery obsadzono natomiast pozycję na wzgó-

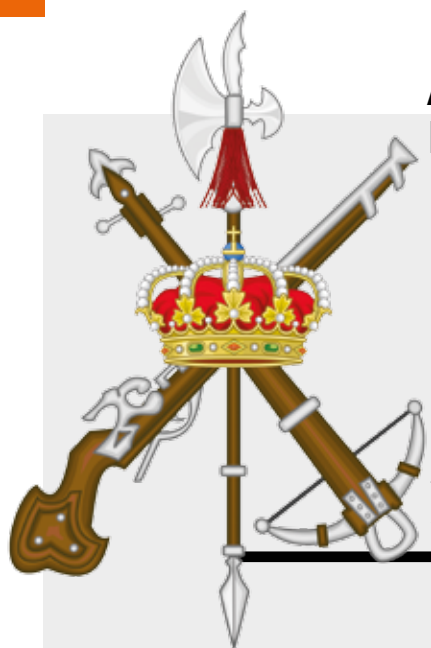
W każdy Wielki Czwartek, podczas ceremonii „Traslado del Cristo de la Buena Muerte” legionieści wynoszą ze swojego kościoła garnizowanego w Maladze na wyprostowanych dłoniach potężny krucyfiks, śpiewając hymn Legii „El Novio de la Muerte” (Oblubieniec śmierci).

rzach Buharrat. Odwagę i poświęcenie legionistów docenił Millán-Astray, który nazwał ich Lwami Buharrat. W tym czasie Hiszpanie starali się umocnić kontrolę nad kolejnymi obszarami protektoratu.

Kilka miesięcy później nastąpiła jednak katastrofa. Powstańcy rifeńscy pod dowództwem byłego urzędnika administracji kolonialnej Muhammada Ibn Abd al-Karima al-Khattabiego (znanego bardziej jako Abd el-Krim) 22 lipca 1921 roku, po pięciodniowych walkach, rozbili hiszpański garnizon miasta Annual, leżący 60 km na zachód od Melilli. Zgrupowanie liczyło 3 tys. żołnierzy hiszpańskich i 2 tys. zaciężnych marokańskich. Jego dowódca gen. Manuel Fernández Silvestre rozkazał wycofanie się. Odwrót zmienił się w paniczną ucieczkę. W następnych tygodniach powstańcy zniszczyli liczne hiszpańskie blokhauzy. Z 18-tysięcznych sił podległych Dowództwu Melilla (Comandancia de Melilla) zginęło lub odniosło rany od prawie 8 do ponad 10 tys. żołnierzy, a około 1,1 tys. dostało się do niewoli. Do końca sierpnia 1921 roku powstańcy kontrolowali niemal cały wschód protektoratu.

Hiszpanom udało się utrzymać Melillę, do której obrony wysłano między innymi I i II Bandere. W tym czasie do historii przeszła obrona blokhauzu w Dar Hamed, nazwanego przez legionistów „El Malo”, gdzie zginęło 15 ich towarzyszy broni. Gdy dowodzący na zachodzie Maroka Hiszpańskiego gen. Primo de Rivera zdecydował się skrócić linię frontu, legionieści osłaniali odwrót. Sytuacja w Maroku Hiszpańskim na kilka lat stała się patowa. Podczas walk w Tizzi-Azza 5 czerwca 1923 roku zginął pierwszy dowódca tercio płk Valenzuela. Krwawa wojna podzieliła hiszpańskie społeczeństwo, dochodziło do buntów żołnierzy, którzy mieli być wysłani do Afryki Północnej. W tej sytuacji wzrosło znaczenie ochotniczej formacji, która rozrosła się do ośmiu bander i szwadronu lansjerów. W 1925 roku jednostka zmieniła nazwę na Tercio de Marruecos (Tercio Marokańskie). 2 marca 1925 roku w Tauima koło Melilli utworzono 1 Tercio, w którego →





ARKEBUZ, KUSZA I HALABARDA

Legioniści noszą takie same mundury polowe, jak reszta hiszpańskich wojsk lądowych. Wyróżniają się natomiast mundurem galowym w kolorze zielonym, którego koszula ma krótki rękaw, a nakryciem głowy jest furazerka, nazywana „gorrillo” lub „chapiri”, w kolorze khaki, ze zwisającym pomponem i lamówką w kolorze czerwonym.

Legia bardzo dużą wagę przywiązuje do tradycji. Odznaka tej formacji składa się ze skrzyżowanych ze sobą broni renesanso-

wych tercios – arkebuza, kuszy i halabardy. Żołnierze Legii nazwani są rycerzami (caballeros) lub obłubieńcami śmierci (novios de la muerte). To ostatnie określenie związane jest z nieoficjalnym hymnem i wolnym marszem Legii, skomponowaną w 1921 roku pieśnią „El Novio de la Muerte” (Obłubieniec śmierci). Oficjalnym hymnem i szybkim marszem jest natomiast „La Cancion del Legionario” (Pieśń legionisty) z 1920 roku. Innym marszem jest „Tercios Heroicos”. ■

OD CZASU POWSTANIA LEGII ZA HISZPANIĘ POLEGŁO 10 TYS. ŻOŁNIERZY TEJ FORMACJI

skład weszły I, II, III i IV Bandera oraz 2 Tercio w Ceucie, mające V, VI i VII Bandere.

Przełom nastąpił dopiero, gdy do walki przeciwko Rifinom włączyli się Francuzi. 8 września 1925 roku Hiszpanie wysadzili kilkunastotysięczne siły w zatoce Al Hoceima. W operacji tej wzięły udział trzy lub cztery bandery. Po zabezpieczeniu pozycji na przyczółku Hiszpanie ruszyli w głąb Maroka. Komendę nad kolumną „Ceuta” objął dowodzący od 1923 roku Tercio de Extranjeros płk Franco. Legioniści wzięli udział w walkach m.in. w Kudia Tahar, gdzie 144 żołnierzy z II i III Bandery zostało zabitych lub rannych. Innymi miejscami bitew z udziałem legionistów były: Monte Malmusi, Morro Viejo i Monte Palomas. Powstanie Rifinów upadło w 1927 roku, a Abd el Krim poddał się Francuzom. Za zasługi w wojnie w Maroku tercio otrzymało pierwszy sztandar.

NA POLACH HISZPANII

Po pacyfikacji Maroka legioniści pełnili tam służbę garnizonową. W kwietniu 1931 roku odbyły się wybory, w wyniku których Hiszpania została ogłoszona republiką. W następnym roku rozformowano VII i VIII Bandere oraz szwadron lansjerów. Niebawem okazało się jednak, że najemnicy będą znowu potrzebni. 7 października 1934 roku wybuchło powstanie w Asturii. Władze w Madrycie wysłały do jego stłumienia między innymi III, V i VI Bandere. Pierwszą z nich w końcu listopada

1934 roku użyto do stłumienia buntu w bazie morskiej El Ferrol. III Bandera powróciła do Melilli w grudniu 1934 roku, a V i VI Bandera zostały wycofane z Asturii dopiero w kwietniu i maju następnego roku. Jednak było to tylko złuzowanie, bo zastąpiono je innymi jednostkami Legii. W maju 1935 roku rozmieszczono IV Bandere, a we wrześniu II Bandere, którą wycofano dopiero 12 marca 1936 roku.

Niebawem legioniści znowu pojawili się na Półwyspie Iberyjskim. 17 lipca 1936 roku ich byłym dowódcą Francisco Franco, wtedy już trzygwiazdkowy generał, wystąpił przeciwko władzom Republiki. W tym czasie dwa zgromadzenia, po trzy bandery, stacjonowały w Ceucie i Melilli. Buntownicy szybko zyskali wsparcie części armii na terenie Hiszpanii oraz faszystowskich Niemiec i Włoch. Bunt zapoczątkował krwawą wojnę domową. Po stronie Franco były doskonale wyszkolone jednostki hiszpańskiej Legii Cudzoziemskiej i marokańskich Regulares, które dały mu przewagę nad siłami republikańskimi w początkowej fazie konfliktu.

Podczas tej wojny nastąpiła rozbudowa formacji, która w 1937 roku przybrała nową nazwę, La Legion (Legia). Już w 1936 roku aktywowano VII i VIII Bandere oraz utworzono nową, IX Bandere. W następnym roku sformowano kolejnych siedem (X–XVI), a w 1938 roku jeszcze dwie (XVII i XVIII). W sumie w wojnie uczestniczyło 18 bander piechoty oraz po jednej banderze czołgów i szturmowych saperów, a także jednostka

specjalna. Legioniści walczyli na wszystkich frontach wojny domowej – północnym, madryckim, w Aragonii i Katalonii. Legia wzięła też udział w kluczowej dla hiszpańskiego konfliktu bitwie nad Ebro.

SAHARYJSKA PRZYGODA

Po zakończeniu wojny domowej Legia powróciła do Maroka. Formacja została zredukowana i zreorganizowana. 1 Tercio stacjonowało w Tauima, a 2 w Riffien (Cabeza del Rifeño) 10 km od Ceuty. 1 stycznia 1940 roku utworzono 3 Tercio w Larache (Al-Ara'isz). Włączono do niego VIII Bandę z 1 Tercio oraz VII i IX Bandę z 2 Tercio. W 1943 roku pułkom nadano nazwy wyróżniające – 1 Tercio „Gran Capitan”, 2 Tercio „Duque de Alba” i 3 Tercio „Don Juan de Austria”. W tym czasie 1 Tercio miało pięć bander, a pozostałe po trzy. Trzy lata później ujednolicono strukturę, rozformowując dwie bandery 1 Tercio. W październiku 1950 roku sformowano 4 Tercio „Alejandro Farnesio”, które kwaterowało w Villa Sanjurjo i miało w swym składzie X, XI i XII Bandę.

W 1956 roku Maroko odzyskało niepodległość. Francuzi, toczący od dwóch lat walki z partyzantami w sąsiedniej Algierii, wycofali się stamtąd całkowicie, natomiast Hiszpania zachowała kontrolę nad Ceutą, Melillą, Sidi Ifni i regionem Tarfaja. To ostatnie miejsce Hiszpanie opuścili w 1958 roku.

Punktem zapalnym stały się Sidi Ifni i Hiszpańska Afryka Zachodnia, obejmująca tereny Sahary. Do tych hiszpańskich posiadłości wysuwało roszczenia Maroko. Na potrzeby działań w Hiszpańskiej Afryce Zachodniej utworzono w 1956 roku XIII Bandę. Jednostka ta wyładowała 1 lipca 1956 roku w Hasi Aotman, a następnie rozmiszczono ją w Al-Ujun, stolicy kolonii.

W 1957 roku Marokańczycy zaczęli atakować Hiszpanów. W licznych akcjach przeciwko nim brali udział także legioniści. Do najkrwawszego starcia doszło 14 stycznia 1958 roku koło miejscowości Edchera, gdzie utworzona przez władze w Rabacie Marokańska Armia Wyzwolenia zaatakowała 2 kompanię XIII Bandy. W starciu zginęło 37 legionistów, a 50 zostało rannych. Straty marokańskie były znacznie większe. Ostatecznie Hiszpanie, wsparci przez Francuzów, pokonali Marokańczyków. Konflikt zakończył traktat z Chalidż as-Sintira (czyli zatoki Cintra), podpisany 2 kwietnia 1958 roku przez rządy Hiszpanii i Maroka. Madryt utrzymał kontrolę nad Sidi Ifni (do 1969 roku) i Hiszpańską Afryką Zachodnią, której nazwę zmieniono na Sahara Hiszpańska.

Mimo zawartego pokoju władze w Madrycie wzmocniły stacjonujące tam wojska, przenosząc w sierpniu 1958 roku jednostki Legii. 3 Tercio rozmiszczono w Al-Ujun, a 4 Tercio w Villa Cisneros (obecnie Ad-Dachla). Obu

nadano przymiotnik „Saharianos” (Saharyjskie). Zreorganizowane saharyjskie pułki Legii miały poza banderami piechoty jednostki pancerne. W 1958 roku utworzono lekkie grupy pancerne (Grupos Ligeros Blindados – GLB), które w 1966 roku zmieniły się w lekkie grupy saharyjskie (Grupos Ligeros Saharianos – GLS). I GLS była w 3 Tercio, a II GLS w 4 Tercio. Tercios miały też po jednej baterii artylerii. Dodatkowo w 3 Tercio była jeszcze kompania czołgów AMX30. W czerwcu 1969 roku rozformowano XIII Bandę, a jej żołnierzy rozdzielono pomiędzy dwa pułki.

Ostatnia większa akcja bojowa na terenie Hiszpańskiej Afryki Zachodniej z udziałem legionistów została przeprowadzona 18–19 grudnia 1974 roku. Po ataku partyzantów na patrol policyjny przerzucono śmigłowcami dwie sekcje z X Bandy. Legioniści dopadli napastników, zabijając sześciu i raniąc trzech z nich. Po ich stronie był jeden zabity i dwóch rannych.

Po śmierci dyktatora Francisco Franco (20 listopada 1975 roku) w Hiszpanii nastąpiły duże zmiany polityczne, co postanowiło wykorzystać Maroko. Król Hasan II zmobilizował 300 tys. cywilów, którzy przekroczyli granicę z Saharą Hiszpańską. Hiszpanie, postawieni przed perspektywą wojny z Marokiem, zrezygnowali z przeprowadzenia referendum w sprawie przyszłości kolonii i rzekli się praw do niej. Ostatnia hiszpańska jednostka odpłynęła z Villa Cisneros 11 stycznia 1976 roku.

NOWE ZADANIA

Wycofane z Sahary 3 Tercio rozmiszczono na wyspie Fuerteventura, na Wyspach Kanaryjskich, a 4 Tercio rozformowano. Jednostkę odtworzono w 1981 roku w Rondzie. 11 sierpnia 1995 roku sformowano z nich II Brygadę Legii Hiszpańskiej „Rey Alfonso XIII”, którą tworzą trzy bandery: VII „Valenzuela”, VIII „Colón” i X „Millán-Astray”, a także 2 Grupa Lekkiej Kawalerii Pancernej Legii Hiszpańskiej „Reyes Catolicos” oraz pododdziały dowodzenia, artylerii, inżynieryjne i logistyczne. Dwa tercio, mające po jednej banderze, stacjonują w afrykańskich enklawach – 1 Tercio z I Bandą „Comandante Franco” i 2 Tercio z IV Bandą „Cristo de Lepanto”. Poza tym istnieje jeszcze XIX Grupa Operacji Specjalnych „Maderal Oleaga”.

Współcześni legioniści często są wykorzystywani w misjach zagranicznych. Od 1992 roku służyli na Bałkanach, w Libanie, Demokratycznej Republice Konga, Mali, Iraku i Afganistanie. Po uzawodowieniu sił zbrojnych Hiszpanii pojawił się niedobór ochotników. W tej sytuacji władze zdecydowały się na przyjmowanie do wojska obywateli państw Ameryki Południowej i Afryki, które w przeszłości były hiszpańskimi koloniami. ■

TADEUSZ WRÓBEL

UNIWERSALNY TRANSPORTER

**Opracowany przez Brytyjczyków lekki transporter
Universal Carrier jest, jak dotąd, najliczniej wyprodukowanym
pojazdem opancerzonym w historii.**

W pierwszej połowie lat trzydziestych XX wieku Brytyjczycy wykorzystali tankietkę Carden-Loyda w wersji Mark VI jako bazę do stworzenia wielofunkcyjnego lekkiego pojazdu opancerzonego. Produkcję pierwszego wariantu Mark I rozpoczęto w 1934 roku, jednak ostateczna wersja pojawiła się już po wybuchu II wojny światowej.

Początkowo produkowano jedną wersję pojazdu, który w porównaniu z tankietką Mark VI miał większe rozmiary. Kierowca i strzelec karabinu maszynowego zajmowali stanowiska z przodu transportera. Za nimi, w części transportowej, mieściło się pięciu żołnierzy lub obsługa ciężkiego karabinu maszynowego Vickers kalibru 7,7 mm (ogień można było prowadzić z pojazdu lub z karabinu wyniesionego na zewnątrz). Od 1935 roku wyprodukowano na zamówienie armii brytyjskiej cztery wersje tego pojazdu. Poza transporterem kaemu (Medium Machine Gun Carrier, 356 egzemplarzy) były to: Bren Gun Carrier (Bren Carrier) z ręcznym karabinem maszynowym Bren (1381 egzemplarzy), rozpoznawczy Scout Carrier (667 egzemplarzy) z miejscem dla kilku żołnierzy lub radiostacją oraz tylną podstawą dla dodatkowego uzbrojenia – np. karabinu przeciwpancernego Boys lub drugiego brena, i Cavalry Carrier (transporter kawalerii, 50 egzemplarzy) przewidziany do transportu sześciu żołnierzy. Produkcję transporterów rozdzieleno pomiędzy firmy Aveling and Porter, Bedford Vehicles, Morris Motors, Sentinel Waggon Works i Thornycroft. Do momentu przystąpienia Wielkiej



Brytanii do wojny z Niemcami wyprodukowano ich w sumie 1769, a do końca 1939 roku jeszcze 576.

Po raz pierwszy carriersy zostały użyte w Belgii i Francji. Konsekwencją zdobytych tam doświadczeń było wprowadzenie zmian w konstrukcji pojazdów. Stwierdzono, że wszystkie wymagania wojska spełnia standardowy kwadratowy przedział transportowy z silnikiem pośrodku. Wzmocniono opancerzenie, aby lepiej osłaniało silnik. Najgrubszy pancerz był z przodu kadłuba – 10 mm. Z boków wóz chroniły siedmiomilimetrowe płyty, z tyłu zaś ich grubość wynosiła od 5 do 7 mm. Zamontowano również błotniki i stopnie ułatwiające załodze wchodzenie.

Zmodyfikowany pojazd otrzymał nazwę Universal Carrier Mk I. Później powstała wersja Mk II, która miała stałą podstawę do zamontowania moździerza kalibru 76,2 mm, spawany, wodoszczelny kadłub i zaczep holowniczy. Wersja Mark III różniła się od poprzednich zmodyfikowanymi wlotami powietrza i osłoną silnika. Wszystkie miały tę samą długość, szerokość i wysokość. Jedynie wersje przeznaczone do transportu moździerza kalibru 76,2 mm i karabinu maszynowego Vickers różniły się nieco pod względem rozmiarów oraz mas maksymalnych, które wynosiły od 4,01 do 4,24 t. W pojazdach używano silnika o mocy 85 KM.

Gdy okazało się, że brytyjski przemysł zbrojeniowy nie podoła zapotrzebowaniu na lekkie transportery opancerzone, ich produkcję uruchomiono w Australii, Kanadzie, Nowej Zelandii, a także Stanach Zjednoczonych. Od 1940 roku do końca maja 1945 linie produkcyjne zakładów w Wielkiej Brytanii opuściły 49 632 transportery Universal Carrier. Drugim ich producentem była Kanada, gdzie powstały 28 992 wozy. W Stanach Zjednoczonych od 1943 roku wyprodukowano do 16 tys. transporterów oznaczonych symbolem T16. Australijska licencyjna produkcja zmodyfikowanych wersji

Mark I i Mark II, noszących lokalne oznaczenie LP1 i LP2, przekroczyła 5,6 tys. egzemplarzy. W Nowej Zelandii natomiast powstało tylko 520 transporterów Universal Carrier.

Brytyjczycy na platformie wozów Mk I i Mk II skonstruowali miotacze ognia WASP (umieścili dwa zbiorniki mieszanki zapalającej o pojemności około 455 l wewnątrz pojazdów, by chronił je boczny pancerz). Państwa, które uruchomiły produkcję licencyjną brytyjskich transporterów, także opracowały ich nowe wersje lub dokonały modyfikacji istniejących. Australijczycy na podwoziu LP2 stworzyli pojazd Carrier Anti-tank 2-pdr. Na wydłużonym nadwoziu zamontowali armatę przeciwpancerną kalibru 40 mm. Aby stworzyć miejsce dla obsługi i pocisków, przesunęli silnik na przód pojazdu. Na bazie pojazdu z armatą przeciwpancerną opracowali też własną wersję samobieżnego moździerza kalibru 76,2 mm, z którego można było prowadzić ogień w promieniu 360° z wnętrza wozu. Wyprodukowano 400 pojazdów, które wysłano w ramach pomocy wojskowej dla walczącej z Japończykami armii chińskiej.

W Kanadzie zmodyfikowano miotacze ognia WASP. Zamiast dwóch zbiorników z mieszanką zapalającą wewnątrz wozu Kanadyjczycy zamontowali z tyłu pojazdu jeden zbiornik o pojemności 341 l. Dzięki temu powstało miejsce dla dwóch członków załogi. Pojazd otrzymał oznaczenie WASP Mk IIC. Kanadyjczycy stworzyli również własny wariant wozu z armatą przeciwpancerną kalibru 40 mm. Wyprodukowano ich 213. Innym kanadyjskim rozwiązaniem był Windsor Carrier z wydłużonym o 76 cm podwoziem. W pojeździe mieściło się od pięciu do ośmiu żołnierzy.

Na front trafił opracowany przez Amerykanów na bazie Universal Carrier transporter T16. Produkującą go firmą Ford montowała w nim silnik o mocy 100 KM.

PODSTAWA MECHANIZACJI

Zamówienie w połowie lat trzydziestych ponad 2 tys. lekkich pojazdów pancernych było elementem mechanizacji brytyjskich wojsk lądowych, które rezygnowały całkowicie z koni. Według etatu z początku 1940 roku batalion piechoty miał w kompanii dowodzenia pluton dziesięciu pojazdów Universal Carrier, podzielony na trzy trzywózowe sekcje (drużyny) i wóz dowodzenia. Potem w batalionie piechoty były 22 transportery. Trzy lata później batalion piechoty posiadał już 37 transporterów. Od 1943 roku transporterami gąsienicowymi zastąpiono ciężarówki w batalionach karabinów maszynowych. W tymże roku utworzone zostały bataliony wsparcia, które miały 29 transporterów.

Lekkie gąsienicowe transportery miały też jednostki pancerne i rozpoznawcze. W Brytyjskich Siłach Ekspedycyjnych w 1940 roku każda z siedmiu dywizji zmechanizowanych miała pułk kawalerii, który poza 28 lekkimi



**Polscy żołnierze
w transporterze
Universal Carrier.
Szkocja
1940–1942 rok.**

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

UNIVERSAL CARRIER



W siłach zbrojnych kilku państw, m.in. Izraela, Kuwejtu i Republiki Federalnej Niemiec, transporterów Universal Carrier używano jeszcze wiele lat po zakończeniu II wojny światowej.

Podstawowe wersje wozu	Mk I	Mk II	Mk III	Mortar Mk I	MMG Mk I/II
Masa (t)	4,01	4,22	4,22	4,24	4,11
Długość (m)	3,86	3,86	3,86	3,63	3,63
Szerokość (m)	1,86	1,86	1,86	1,86	1,86
Wysokość (m)	1,63	1,63	1,63	1,63	1,83
Prześwit (m)	0,2	0,2	0,2	0,2	0,2
Prędkość maksymalna na drodze (km/h)	47	47	47	47	47
Prędkość przejazdowa na drodze (km/h)	42	42	42	42	42
Prędkość w terenie (km/h)	25,75	25,75	25,75	27,75	25,75
Zużycie paliwa na drodze (l/km)	18,84	18,84	18,84	18,84	18,84
Promień działania na drodze (km)	235	235	235	235	235
Promień działania w terenie (km)	136,8	136,8	136,8	136,8	136,8

czołgami miał 44 transportery Universal Carrier. W 1940 roku utworzono bataliony zmotoryzowanej piechoty współdziałające z pułkami czołgów. W 1942 roku wzmocniono komponent przeciwpancerny, włączając do batalionu kompanię 16 armat przeciwpancernych, podzielonych na cztery plutony. W każdym było sześć transporterów gąsienicowych. Jednocześnie zmniejszono liczbę kompanii piechoty do trzech. Tym samym batalion zmotoryzowany miał 51 wozów Universal Carrier. Po kolejnej restrukturyzacji w 1944 roku liczba ta zwiększyła się do 53. W 1941 roku dywizyjny pułk rozpoznawczy miał ich w sumie 63, po 21 w każdym szwadronie rozpoznawczym.

PO OBU STRONACH

Początki użycia lekkich transporterów opancerzonych nie wypadły najlepiej. W czasie starć w Belgii i Francji w 1940 roku utracono wszystkie pojazdy wysłane na kontynent. Część została zniszczona w walce, ale liczne porzucono na plażach Dunkierki, skąd ewakuowano ponad 300 tys. okrążonych żołnierzy brytyjskich i francuskich.

W latach 1940–1941 transporterów użyto w Afryce Północnej i Wschodniej, w Grecji i Syrii. Gdy wybuchła wojna z Japonią, pojazdy zostały wykorzystane do obrony bry-

tyjskich posiadłości w Azji, Birmie, Hongkongu, Malajach i Singapurze. Co ciekawe, użyli ich również Amerykanie podczas obrony Filipin. Wybuch wojny zastał w porcie w Manili statek przewożący kilkadziesiąt carriersów dla dwóch kanadyjskich batalionów, które wysłano w końcu 1941 roku jako wzmocnienie garnizonu Hongkongu.

Po pokonaniu wojsk Osi w Afryce Północnej alianci latem 1943 roku wylądowali najpierw na Sycylii, a później na Półwyspie Apenińskim. W następnym roku otworzony został front we Francji. Wszędzie powszechnie wykorzystywane były pojazdy Universal Carrier.

Trafiły one również do jednostek sojuszniczych Imperium Brytyjskiego, m.in. Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, Wolnych Francuzów, Belgów i Greków. W ramach programu „Lend-Lease” setki lekkich transporterów wysłano do Chin i Związku Sowieckiego.

Zdobyczne wozy Universal Carrier wykorzystywali Niemcy i Włosi. Ci ostatni próbowali nawet skopiować brytyjski pojazd. Włoski Fiat 2800 Cingoletta (inna nazwa CVP-4) był podobny do T16 czy też Windsor Carrier. Pojazd o masie 4,76 t miał cztery koła jezdne i mógł przewozić tonę ładunku lub sześciu żołnierzy. Projekt ten zakończył się na etapie prototypu.



KRZYSZTOF
KUBIAK

W obcym mundurze



Posługiwanie się przez żołnierzy regularnych sił zbrojnych mundurami przeciwnika nie należy wcale do rzadkich epizodów, mimo że najpierw zwyczaj, a później skodyfikowane prawo wojenne nie akceptowały stosowania takiego wybiegu. Pojmany był traktowany (i jest) jako wiarołomca, nie mógł liczyć na prawa jenieckie, lecz jedynie na szybkie spotkanie z plutonem egzekucyjnym. Zwykle podstępny tego rodzaju stosowali niektórzy walczący lub niewielkie grupy wykonujące zadanie związane z rozpoznaniem oraz inne misje wymagające w miarę swobodnego poruszania się w ugrupowaniu nieprzyjaciela. W kilku jednak przypadkach w mundury strony przeciwnej odziewano całkiem liczne grupy walczących.

Podczas ostatniej niemieckiej ofensywy w Ardenach w grudniu 1944 roku do walki rzucono dowodzoną przez Obersturmbannführera Otto Skorzenego 150 Brygadę Pancerną, która w planach miała operować na alianckim sprzęcie. Owego sprzętu jednak w dostatecznej ilości nie zgromadzono i formacja jako całość wielkich sukcesów nie odniosła. Znacznie lepsze rezultaty osiągnęło siedem zespołów, złożonych z żołnierzy dobrze i bardzo dobrze mówiących po angielsku, na jeepach. Zanim ich zlikwidowano, zdołali wywołać nielichy chaos na całym alianckim zapleczu, który dowódca amerykańskiej 1 Armii gen. Courtney Hicks Hodges przypisał nawet krótkotrwałym załamaniem nerwowym. Wszystkich, bez wyjątku, 18 pojmanych Niemców rozstrzelano.

Ze zdobyczym sprzętem problemu nie mieli Izraelczycy, którzy 9 września 1969 roku, w czasie tzw. wojny na wyczerpnięcie, przeprowadzili zuchwały rajd na egipskie wybrzeże Morza Czerwonego. Uczestniczyło w nim sześć czołgów T-55 i trzy transportery BTR-50, obsadzone przez około stu żołnierzy, którymi dowodził ppłk Baruch „Pinko” Harel. Część Izraelczyków wywodziła się z pododdziału rozpoznawczego Sayeret Matkal i biegle mówiła po arabsku. Po wylądowaniu z trzech okrętów desantowych w El Hafair, około 40 km na południe od Suez, izraelska kolumna ruszyła w dół wybrzeża, atakując napotykaną po drodze instalację egipską, w pierwszej kolejności obóz wojskowy i posterunek radiolokacyjny Abu Darag. Użycie sprzętu przeciwnika przyniosło znakomite rezultaty, grupa rajdowa była postrzegana jako pododdział własny i nigdzie na odcinku 45 km nie natrafiono na większy opór. Umożliwiło to zniszczenie 12 posterunków obserwacyjnych i kolejnej stacji radiolokacyjnej, tym razem rozmieszczonej w Ras Saafrana. Po wykonaniu zadania, co zajęło dziewięć godzin, całość sił zaokrętowano na jednostki desantowe i bez przeszkód przetransportowano na wschodni brzeg Zatoki Sueskiej. W czasie akcji zostało zabitych dwóch Izraelczyków, a jeden zginął, po stronie egipskiej poległo około setki żołnierzy.

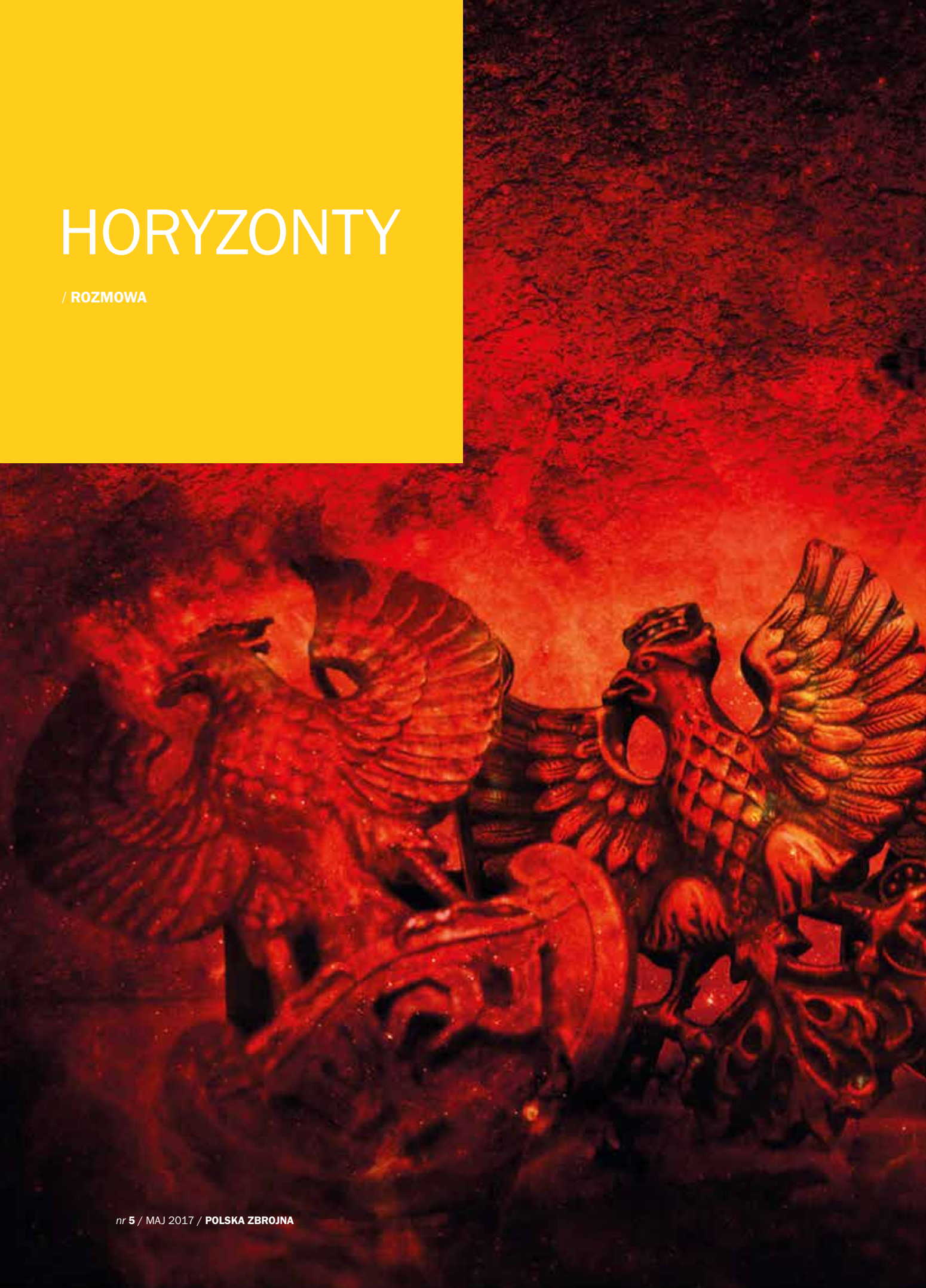
Nietypowe mundury postanowiła wykorzystać armia portugalska. W 1970 roku zamówiła dużą partię uniformów znacząco różniących się od własnych. Gdy z Gwinei Portugalskiej, pozostającej pod władzą Lizbony, postanowiono zaatakować stolicę sąsiedniej Gwinei – Konakry (niepodległej już byłej kolonii francuskiej), gdzie mieściły się bazy wrogiej partyzantki, zwerbowano do tego zadania kilkuset czarnoskórych najemników. Aby utrudnić wykrycie ich rzeczywistego mocodawcy, wydano im owe mundury fikcyjnej armii. Rajd na Konakry zakończył się fiaskiem, a owa przebranka nikogo nie wprowadziła w błąd – Portugalia znalazła się w centrum międzynarodowej krytyki.



Prof. dr hab. KRZYSZTOF KUBIAK pracuje w Katedrze Krajów Europy Północnej na Uniwersytecie Jana Kochanowskiego w Kielcach.

HORYZONTY

/ ROZMOWA



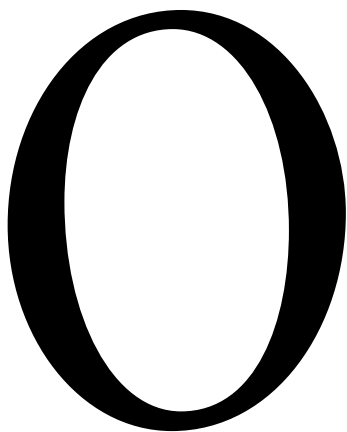
ZNAK ORŁA

Z Tomaszem Zawistowskim
o pierwszych wizerunkach orła na czapkach polskich
żołnierzy, kontrowersjach wokół korony i bogactwie
wzorów rozmawia Tadeusz Wróbel.



PAWEŁ KĘPKA





Orzeł na czapce jest najważniejszą oznaką wojskową w Polsce. Kiedy pierwszy raz pojawił się na wojskowych nakryciach głowy?

W XVIII wieku, ale nieznana jest dokładna data. Można przypuszczać, że orły miały na czapkach zwarte oddziały wojskowe za czasów saskiej dynastii Wettynów, ale po reformach Sejmu Wielkiego, w ostatnich latach rządów króla Stanisława Poniatowskiego, występowały one już powszechnie.

Dopiero jednak w czasach wojen napoleońskich coraz częściej było widać ten symbol na czapkach żołnierzy.

Epoka napoleońska jest specyficznym okresem w dziejach polskiego orła wojskowego. Przede wszystkim nie każdy żołnierz miał na czapce orła.

Dlaczego na niektórych go nie było? Czy wzorowano się na Francuzach?

Po pierwsze, znaczna część polskich oddziałów, szczególnie przed 1807 rokiem, nosiła symbole i orły francuskie, na przykład słynni szwoleżerowie Gwardii Cesarskiej. Po drugie, żołnierskiego orła z okresu Księstwa Warszawskiego przedstawia się razem z peltą, czyli z tarczą amazonek, ale nie jest on z nią połączony. Do tego połączenia doszło dopiero w 1815 roku, u zariażania armii Królestwa Kongresowego.

Skąd wzięła się tu tarcza amazonek?

Motyw pelty w sztuce był obecny już w starożytności. W czasach nowożytnych powrócił w francuskim stylu empire jako element ozdobny. Zdarzało się, że na czapkach wojskowych pelta występowała w połączeniu z orłem lub samodzielnie. Na tarczy często umieszczano na przy-

kład numer pułku i różne dodatkowe ozdoby, jak zakończenia w kształcie orlich lub lwich głów. Pelta na polskich czapkach wojskowych ma zatem bezpośredni rodowód napoleoński.

Na kongresie wiedeńskim zapadła decyzja o utworzeniu Królestwa Polskiego pod berłem rosyjskiego cara. Czy wtedy zmienił się wizerunek wojskowego orła?

Car Aleksander I przyjął polskie wojsko z honorami, bronią i sztandarami – to jaśniejsza strona historii. Tą ciemniejszą były reformy, w tym mundurowe, których celem było wytrzebiecie pozostałości napoleońskich. Wtedy całkowicie zmieniono polski mundur wojskowy. Charakterystyczne nakrycie głowy, jakim w armii Księstwa Warszawskiego była rogata czapka, zastąpiono w broni pieszej okrągłym giwerem. W tym czasie wprowadzono wiele nowych symboli, które bywają mylnie utożsamiane z tradycją napoleońską – chociażby noszone do lat pięćdziesiątych XX wieku pólślonce kadeckie. Okazuje się, że pierwszy raz pojawiło się ono na czapkach uczniów rosyjskich szkół wojskowych w 1810 roku. Takie elementy nawiązują tylko do symboliki epoki napoleońskiej, ale nie mają nic wspólnego z wojskami Bonapartego. Zresztą w tym czasie zapożyczenia elementów zdobniczych były obustronne – wtedy rosyjski orzeł z czasów cara Mikołaja I został uzbrojony w tarczę amazonek.

Polski orzeł wojskowy wrócił w 1863 roku, gdy wybuchło powstanie styczniowe. Można jednak odnieść wrażenie, że w tym czasie bardziej popularne były inne symbole.

Powstanie styczniowe miało charakter wojny partyzanckiej, ale nie należy zapominać, że wówczas stworzono też oddziały liniowe, które pod względem uzbrojenia i umundurowania nie ustępowały siłom przeciwnika. Nie zgadzam się, że w tamtych czasach orzeł został zapomniany.



JAROSŁAW WIŚNIEWSKI

Ostateczną formę polski orzeł wojskowy zyskał pod obcym panowaniem, w 1815 roku

Seryjnie i masowo produkowano metalowe elementy wyposażenia, takie jak klamry pasów czy bandolier, zdobione jego wizerunkiem lub dwu-, a później trójpłowym herbem Rzeczypospolitej. Wtedy wiele produkowanych przedmiotów nawiązywało do przeszłości – guziki z orłem były na przykład bardzo podobne do tych z lat 1830–1831 i 1848, tak że trudno je teraz odróżnić. W 1863 roku poja-

wiły się natomiast nowe motywy – orła z krzyżem w szponach lub na tle złamanego krzyża. Odnosiły się do krwawo stłumionych przez carat manifestacji religijnych wiosną 1861 roku, w czasie których doszło do profanacji krzyża. W okresie powstania styczniowego orzeł też stracił koronę.

Dlaczego pozbawiono go korony? Miało to symbolizować Polskę w niewoli?

Brak korony był związany z mocną pozycją stronnictwa Czerwonych, które opowiadało się za reformą rolną, żeby przyciągnąć do powstania chłopów. Ostatecznie reformę przeprowadził car, ale na warunkach przedstawionych przez Rząd Narodowy, zupełnie innych niż w reszcie imperium. I jest to przez wielu uznawane za największy sukces powstańczego zrywu.

Kilka lat po stłumieniu powstania styczniowego w zaborze austriackim zaczął się dynamicznie rozwijać ruch towarzystw gimnastycznych, krzewiący wśród polskiej młodzieży idee patriotyczne i przygotowujący ją do trudów służby wojskowej.

Władze zaborcze nie akceptowały symbolu białego orła, więc odwołano się do wizerunku sokoła, który przejęto z Czech, gdzie takie organizacje pojawiły się wcześniej. Niemniej jednak starano się przemycić pewne motywy. Sokół w locie dźwigający hantle był wyraźnym nawiązaniem do orła zrywającego kajdany. W tym środowisku sokół pozostał niejako desygнатem orła. Orzeł wojskowy na tarczy amazonek wrócił natomiast około 1900 roku.

Gdzie i przy jakiej okazji?

Mieszkający w krakowskim przytulisku przy ulicy Biskupiej 18 zubożali, zniedołężniałi powstańcy styczniowi nosili ubiory stylizowane na wojskowy mundur. Na głowach mieli brązowe rogatywki z orłem siedzącym na tarczy amazonek z wytłoczonym napisem „Przytulisko”.

W 1900 roku w Krakowie odbył się bal charytatywny, z którego dochód przeznaczono na utrzymanie mieszkańców przytuliska. Przygotowano wtedy karneciki w kształcie polskiej czapki ułańskiej z wojskowym orłem na pelcie, takim samym jak na czapkach weteranów. Do naszych czasów przetrwało kilka egzemplarzy tych książeczek.

Czy te orły z czapek weteranów mogły się stać inspiracją dla utworzonych później oddziałów strzelców?

Organizowany w Galicji ruch strzelecki był prześląknięty duchem tradycji powstania styczniowego. Józef Piłsudski, zafascynowany tym zrywem niepodległościowym, często się do niego odwoływał w swych wykładach i pismach. Pierwsza Kompania Kadrowa wkroczyła do zaboru rosyjskiego 50 lat i jeden dzień po egzekucji →



Ujednolicenie umundurowania legionów w połowie 1916 roku nie zakończyło sporów o koronę

Romualda Traugutta, ostatniego przywódcy powstania. Nie przypadkiem też orły na strzeleckich czapkach nie miały korony.

Z czasem pojawiły się jednak kontrowersje wokół tego symbolu.

I Brygada Legionów, wywodząca się z ruchu strzeleckiego, pozostawała wierna orłowi bez korony, na którego pelfie umieszczono literę „S”. Projektantem tego symbolu był kpt. Czesław Jarnuszkiewicz, późniejszy generał brygady. W II i III Brygadzie, które tworzył Naczelny Komitet Narodowy w Krakowie, orły – początkowo również bez korony – miały tarczę z literą „L”. Ujednolicenie umundurowania legionów w połowie 1916 roku nie zakończyło sporów o koronę. Jeszcze podczas wojny z bolszewikami w 1 Dywizji Piechoty Legionów, która wywodziła się z I Brygady, zdarzyły się indywidualne i grupowe przypadki usuwania korony z faszowanych orłów.

Jak wyglądała sprawa korony w innych polskich formacjach z czasów I wojny światowej?

Podobne spory toczyły się po drugiej stronie frontu, w formacjach polskich na Wschodzie.

Takie problemy były też z orłami Armii Polskiej we Francji?

To skomplikowana sprawa ze względu na działających wówczas we Francji artystów, którzy byli zaangażowani w prace nad orłami. Pierwszym przykładem jest sztandar Bajończyków, polskiej kompanii Legii Cudzoziemskiej z 1914 roku, którego współprojektantem był Xawery

Dunikowski. W 1917 roku w projektowanie orłów zostali też zaangażowani Jan Henryk Rozen, Antoni Madejski, Blanka Zofia Mercere czy Ludwik Kazimierz Markus. To właśnie oni stworzyli różne wizerunki orła, ale trudno przypisać poszczególnym osobom konkretne projekty. Wyjątkiem jest orzeł wkomponowany w równoległobok będący oznaką oficerską, którą noszono na kieszeni kurtki mundurowej. Stworzył go Markus, który służył w Armii Hallera jako porucznik artylerii. We Francji używano również orłów przywiezionych przez żołnierzy formacji wschodnich.

Jakie orły widniały na nakryciach głowy żołnierzy polskich jednostek tworzonych na Wschodzie?

W formacjach wschodnich nie korzystano ze wsparcia artystów, a projekty orłów były wykonywane przez produkujących je rzemieślników. Oni zaś czerpali inspirację z różnych wzorców historycznych, a nierzadko kierowali się własną fantazją. Efekt jest taki, że niektóre z tych projektów wyglądają, jakby ktoś obciął jedną z głów imperialnego orła carskiego.

Na terenie Królestwa Polskiego okupowanego przez państwa centralne utworzono Polską Siłę Zbrojną, do której włączono jednostki legionowe. Czy ta reorganizacja przyniosła zmianę symboliki?

Ta formacja przejęła orła legionowego z koroną. Projektantem nowej wersji był znowu Czesław Jarnuszkiewicz, który już wcześniej zastąpił na pelfie kontrowersyjne litery „S” i „L” cyframi oznaczającymi numery pułków lub symbolami rodzajów broni – skrzyżowane topory dla pionierów i armaty dla artylerii.

Jak wobec takiej różnorodności wzorów rozwiązano kwestię orła wojskowego po odzyskaniu niepodległości?

Sprawa okazała się stosunkowo prosta. Na początku listopada 1918 roku gen. por. Tadeusz Rozwadowski, szef Sztabu Generalnego, wydał rozkaz określający rolę i miejsce orła wojskowego. Mundurem Wojska Polskiego został dotychczasowy mundur Polskiej Siły Zbrojnej. Gdy żołnierz go nie miał, jego rolę miał odgrywać orzełek na wojskowej czapce. Ten rozkaz jest niezwykle ważny w historii orła wojskowego, bo czynił go równoważnym z całym mundurem. Kontynuowano zatem produkcję i wydawanie orłów PSZ aż do momentu ujednolicenia umundurowania WP w 1919 roku.

Wtedy wprowadzono nowy wzór orła wojskowego. Co różniło go od poprzednika?

Ten orzeł był większy o jedną trzecią od legionowego, lepiej dopasowany do nowych czapek, rogatywek. Projektant – niestety nie wiemy, kto to był – zdecydował się na złamanie linii skrzydeł. Wszystkie wcześniejsze orły Jarnuszkiewicza miały pióra podobnej długości na całych skrzydłach. We wzorze z 1919 roku cztery najwyższe pióra, nazywane łotkami, były znacznie dłuższe, co nadało całej sylwetce lekkości i smukłości. Ten model został wprowadzony rozkazem z grudnia 1919 roku i był używany równoległe z orłami Jarnuszkiewicza do ostatecznego wycofania okrągłych czapek wojskowych w 1921 roku. Noszony był na rogatywkach przez cały okres międzywojenny, podczas kampanii wrześniowej w 1939 roku, a później przez partyzantów, powstańców warszawskich i członków antykomunistycznego ruchu oporu po wojnie. Jedyną zmianą, jaka zaszła przez 20 lat, była rezygnacja z umieszczania numerów pułkowych na tarczy.

Dlaczego w okresie międzywojennym zaprojektowano odrębne orły dla marynarki wojennej i lotnictwa wojskowego?

Orzeł marynarki wojennej powstał w 1918 roku. Jego twórca wykorzystał tradycję umieszczania na tarczy amazońki oznaki broni. Na pelcie pojawiła się wtedy kotwica na błękitnym tle. Ten wzór niemal niezmieniony jest używany do dziś. Piękny orzeł lotniczy obramowany skrzydłami husarskimi powstał w 1936 roku.

Po klęsce wrześniowej polskie wojsko odrodziło się we Francji. Wielu żołnierzy, którzy dotarli do tego kraju czy do Syrii, zatrzymało swe orzełki. Czy wtedy zachowano ciągłość wizerunku orła?

Otóż nie. Nastąpiła całkowita rewolucja, która mogła być pożywką do różnych teorii spiskowych, ale nie będę się do nich odnosił. Na początku we Francji produkowano

orły w kilku wzorach, w tym niektóre nawiązujące do czasów Armii Hallera. W grudniu 1939 roku wydano rozkaz wprowadzający w całym Wojsku Polskim całkiem nowy wzór orła, oparty na stworzonym przez firmę Alavoine, która produkowała orły już podczas I wojny światowej. Projekt nowego symbolu pochodził z 1935 roku z jasno-górskiego wotum złożonego przez Dowborczyków, byłych żołnierzy I Korpusu Polskiego na Wschodzie. Z projektem orła wzór 1919 nie łączyło go nic, może z wyjątkiem podobnej wysokości.

Kto zaprojektował orła Dowborczyków?

Podjęrzewam, choć jest to tylko hipoteza, że jego twórcą był Michał Kamieński, którego dziełem jest pomnik Dowborczyków stojący na dziedzińcu przed Muzeum Wojska Polskiego. Do dziś nie wiadomo, kto i dlaczego wybrał ten wzór dla Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie.

W 1943 roku w Związku Sowieckim powstały jednostki WP kontrolowane przez komunistów. Ich żołnierze dostali rogatywki z orłem bez korony, jakoby o piastowski rodowodzie. Nie cieszył się on popularnością.

W dysputach politycznych zwykle jest więcej emocji niż rzetelnej wiedzy. Oczywiście nie jest to orzeł piastowski. Co prawda pochodzi z grobowca księcia Władysława I Hermana i jego syna Bolesława III Krzywoustego, znajdującego się w katedrze płockiej, ale sam sarkofag zaprojektował dopiero w latach dwudziestych XIX wieku Zygmunt Vogel. Tak zwany orzeł kościuszkowski, stworzony przez Janinę Broniewską, należy traktować jako historycyzm. O ile jednak popularne jest dzisiaj prowadzenie sporów o to, w jakim stopniu wojsko Berlinga było polskie, o tyle nie ulega wątpliwości, że to godło, zatwierdzone przez sowieckie dowództwo w 1943 roku, nosili na czapkach ci, którzy „nie zdążyli do Andersa”. Co ciekawe, tuż po wojnie niektórzy wyżsi rangą dowódcy ludowego Wojska Polskiego z upodobaniem nosili na czapkach przedwojennego orła wzór 1919 z koroną.

Prawie dwa i pół wieku historii polskiego orła wojskowego nie było okresem ciągłym, a najdłuższa przerwa trwała blisko 40 lat. Zbadanie pierwszego półwiecza jego dziejów jest niełatwe. Wiadomo jednak, że ostateczną formę polski orzeł wojskowy zyskał pod obcym panowaniem, w 1815 roku. To jednak ten wizerunek orła, siedzącego na tarczy amazońki i ukoronowanego, przetrwał – choć z przerwami – do dziś i zdobi nakrycia głowy polskich żołnierzy po 200 latach od powstania. ■

TOMASZ ZAWISTOWSKI jest miłośnikiem historii polskiego orła wojskowego, urzędniczego i szkolnego, oraz autorem m.in. pięciu tomów monografii „Polskie orły do czapek w latach 1917–1945”.

JACEK SZUSTAKOWSKI

Święto sportu

Podczas Gali Sportu Wojskowego wyróżniono najlepszych sportowców, trenerów i działaczy oraz laureatów plebiscytu portalu polska-zbrojna.pl.

Dowództwo Generalne Rodzajów Sił Zbrojnych już po raz drugi doroczną galę zorganizowało w Centrum Szkolenia Łączności i Informatyki w Zegrzu. Wojskowym sportowcom, którzy osiągnęli najlepsze wyniki w 2016 roku, gratulowali minister obrony Antoni Macierewicz, minister sportu i turystyki Witold Bańka oraz gen. dyw. Jarosław Mika, dowódca generalny rodzajów sił zbrojnych.

„Serdecznie dziękuję za wszystko, co robicie, za ten wysiłek, za ten pot, za te momenty zwątpienia i ich przezwyciężanie”, mówił minister Macierewicz. Podkreślił również znaczenie sportu powszechnego w wojsku. „Czyni naszą armię silniejszą, sprawniejszą, zdrowszą, skuteczniejszą, ale jest także przykładem. Zachęca i pociąga rzesze Polaków do armii. Sprawia, że my jako naród jesteśmy sprawniejsi, bardziej zdrowi, wytrzymali i zdolni rywalizować z innymi narodami”, zaznaczył. A Witold Bańka chwalił wojskowych sportowców. „Jako reprezentanci Polski, dumnie startujący z orzelkiem na piersi, jesteście nie tylko wielkim wzorem i przykładem. Jesteście dumą polskiej armii, a także wszystkich obywateli Polski, którzy wam kibicują, trzymają za was kciuki i wruszają się każdym waszym sukcesem”.

Minister Antoni Macierewicz wręczył czołowym sportowcom resortowe odznaczenia. Złoty medal „Za zasługi dla obronności kraju” otrzymali: st. szer. Oktawia Nowacka, szer. Agata Ozdoba i szer. Arleta Podolak. Srebrnym medalem „Za zasługi dla obronności kraju” wyróżnieni zostali natomiast: st. szer. Arkadiusz Gardzielewski,

st. szer. Iwona Matkowska, st. szer. Monika Michalik i szer. Aleksandra Hornik.

SUKCESY W OLIMPIJSKIM ROKU

W 2016 roku najważniejszą imprezą były Igrzyska XXXI Olimpiady w Rio de Janeiro. W Brazylii nasi żołnierze wywalczyli trzy medale: srebrny – dyskobol plut. Piotr Małachowski i dwa brązowe – pięcioboistka nowoczesna st. szer. Oktawia Nowacka i zapaśniczka st. szer. Monika Michalik. I za te osiągnięcia Dowództwo Generalne Rodzajów Sił Zbrojnych przyznało medalistom olimpijskim trzy najwyższe lokaty w kategorii najlepszych żołnierzy sportowców Wojska Polskiego w sporcie wyczynowym. Ranking wygrał Małachowski przed Nowacką i Michalik.

„Z mistrzostw świata i Europy nasi żołnierze przywieźli siedem krążków. St. szer. Ewelina Ptak zdobyła srebrny medal w biegu sztafetowym 4x400 m na halowych mistrzostwach świata. Z kolei największe sukcesy na czempionacie Starego Kontynentu osiągnęli, zdobywając tytuły mistrzowskie, plut. Piotr Małachowski w rzucie dyskiem i mar. Angelika Cichocka w biegu na 1500 m oraz dżudoczki w turnieju drużynowym: st. mar. Daria Pogorzelec, mar. Karolina Tałach, szer. Arleta Podolak i szer. Agata Ozdoba”, przypomniał najlepsze wyniki gen. dyw. Jarosław Mika.

Nasi reprezentanci świetnie spisywali się też na wojskowych mistrzostwach świata. Wywalczyli w nich 24 medale, w tym osiem złotych. Generał Mika podkreślił, że w 2016 roku duży sukces odniosła reaktywowana po 22 latach reprezentacja Wojska Polskiego w piłce nożnej. Piłkarze na turnieju w Niemczech wy-





**„SERDECZNIE
DZIĘKUJĘ
ZA WSZYSTKO
CO ROBICIE,
ZA TEN WYSIŁEK,
ZA TEN POT, ZA
TE MOMENTY
ZWĄTPIENIA I ICH
PRZEZWYCIĘŻANIE”,
MÓWIŁ MINISTER
MACIEREWICZ**

walczyli awans do II Wojskowego Pucharu Świata w Omanie. Generał zaznaczył, że duży udział w sukcesie piłkarskiej reprezentacji mieli ppłk Sebastian Krasoń oraz st. chor. Tomasz Mucha.

W trakcie gali wręczono wyróżnienia dla zwycięzców klasyfikacji za współzawodnictwo sportowe w 2016 roku. Po raz szósty z rzędu triumf w rywalizacji w sporcie powszechnym odniosła reprezentacja 11 Lubuskiej Dywizji Kawalerii Pancernej. Pancerniacy wyprzedzili reprezentantów 12 Dywizji Zmechanizowanej, a trzecie miejsce zajęli sportowcy z sił powietrznych. Za osiągnięcia indywidualne w sporcie powszechnym pierwsze miejsce w rankingu zajął st. kpr. Rafał Wójcik z 12 DZ.

LAUREACI PLEBISCYTU

Już po raz piąty rozstrzygnięty został plebiscyt na najpopularniejszych sportowców Wojska Polskiego, organizowany przez redakcję portalu polska-zbrojna.pl. Podczas Gali Sportu Wojskowego Maciej Podczaski, dyrektor Wojskowego Instytutu Wydawniczego, wręczył nagrody zwycięzcom w czterech kategoriach.

Czytelnicy portalu w internetowym głosowaniu tytuł sportowca roku przyznali biegaczce na orientację szer. Aleksandrze Hornik. „Jestem zaskoczona wyborem internautów. Bardzo im dziękuję za oddane na mnie głosy”, powiedziała zadowolona z plebiscytowego wyniku reprezentantka poznańskiego Wojskowego Zespołu Sportowego. Tytuł mistrza sportu powszechnego otrzymał st. szer. Marcin Horbacz z 11 LDKPanc, który w 2016 roku został czterokrotnym medalistą mistrzostw WP w pływaniu oraz dwukrotnym mistrzem WP w strzelaniu z kbk AK. Trenerem roku został mł. chor. Grzegorz Gajdus z poznańskiego WZS. Laureat poprowadził do sukcesu maratończyków na 48. Wojskowych Mistrzostwach Świata w Turynie, skąd przywieźli sześć medali. Chorąży zapowiedział, że postara się, aby z tegorocznego czempionatu w Kanadzie nasi maratończycy wrócili z kilkoma medalami. Nadzieją sportu wojskowego został natomiast zapaśnik szer. Dawid Klimek. Reprezentant Wojskowego Klubu Sportowego Śląsk i wrocławskiego WZS w 2016 roku wywalczył brązowy medal na Młodzieżowych Mistrzostwach Europy w kategorii wagowej do 75 kg. Kapituła plebiscytu portalu polska-zbrojna.pl przyznała również nagrodę specjalną. Otrzymał ją płk rez. Krzysztof Szopiński, prezes Wojskowego Klubu Spadochronowego Skrzydło.

Na gali swoją nagrodę – Herkulesa Roku – przyznała także Wojskowa Federacja Sportu. Statuetką wyróżniono kmdr. ppor. rez. Andrzeja Stępnia. Laureat w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ubiegłego wieku był czołowym w kraju czterystumetrowcem. Reprezentował Polskę na igrzyskach olimpijskich w Moskwie w 1980 roku. Obecnie jest wiceprezesem i dyrektorem WKS Flota Gdynia.

„Pragnę serdecznie podziękować za wyróżnienia i pomoc, jaką my sportowcy otrzymujemy od wojska i od swoich przełożonych. Zawsze możemy liczyć na waszą pomoc. Jesteśmy dumni z tego, że nosząc mundury żołnierzy Wojska Polskiego możemy jednocześnie reprezentować nasz kraj”, podkreśliła st. szer. Oktawia Nowacka, która zabrała głos w imieniu wyróżnionych sportowców. Pięcioboistka zwróciła też uwagę na to, że sport to praca, która nie uwzględnia weekendów, świąt i wakacji. „Wszyscy widzą naszą radość, kiedy stajemy na podium. Jednak mało kto widzi hektolitry potu wylane na treningach”, dodała. ■

JAROSŁAW WIŚNIEWSKI

Dowódca 1 Pułku Specjalnego Komandosów ppłk Wojciech Jania w 2004 roku zaproponował Wojskowemu Klubowi Biegacza organizację nietypowego maratonu. Biegacze dystans 42 km 195 m mieli pokonać w pełnym umundurowaniu i z plecakiem ważącym minimum 10 kg. „Organizując ten bieg, myśleliśmy, że przygotowujemy jego dwie–trzy edycje, i na tym skończy się nasza nietypowa impreza. Jednak z roku na rok cieszyła się ona coraz większą popularnością i z czasem wielu zawodnikom, którzy zamierzali wystartować w Lublińcu, musieliśmy po prostu odmawiać wpisania na listę startową”, przyznał st. chor. sztab. Zbigniew Rosiński, były prezes WKB Meta. Po Maratonie Komandosa kultowym wydarzeniem Mety stał

się organizowany od 2005 roku Bieg Katorżnika. W kolejnych latach imprezy z komandoskiej rodziny powiększyły się o Półmaraton Komandosa i Ćwierćmaraton Komandosa. Ten pierwszy bieg od 2010 roku rozgrywany jest w Warszawie, ten drugi od 2015 roku w Czarnem, mieście w województwie pomorskim. Natomiast I Setkę Komandosa Meta zorganizowała w dniach 16–17 marca br. w Lublińcu.

113 ŚMIAŁKÓW

Setkę Komandosa – w odróżnieniu od komandoskiego maratonu, półmaratonu i ćwierćmaratonu – trzeba było pokonać bez dodatkowego dziesięciokilogramowego obciążenia na całym dystansie. Organizatorzy wprowadzili też inne udogodnienie dla uczestników biegu. „Przebiegnięcie 100 km

JACEK SZUSTAKOWSKI

Setka z Metą

**Kolejną ekstremalną imprezę biegową
I Setkę Komandosa ukończyło 99 zawodników.
Zwyciężyli plut. Artur Pelo i Anna Kurdyk.**

JACEK SZUSTAKOWSKI

WIĘKSZOŚĆ, Z PONAD STU ZAWODNIKÓW BIEGU PO RAZ PIERWSZY W ŻYCIU PO- STANOWIŁA ZMIERZYĆ SIĘ Z MAGICZNYM DYSTANSEM **100 KM**

w umundurowaniu i z plecakiem mogłoby wyeliminować wielu zawodników z imprez na cały sezon. Dlatego ustaliliśmy, że biegacze będą pokonywali w mundurze polowym i wojskowych butach oraz z dziesięciokilogramowym plecakiem tylko pierwsze 10 km”, wyjaśnił chor. Rosiński. Na dziesiątym kilometrze biegacze zostawili plecaki i kolejne 30 km pokonali bez dodatkowego obciążenia. Pozostałe 60 km, zgodnie z regulaminem, biegli w dowolnym stroju.

Na trasę, która z zakładanych 100 km została wydłużona o 1,5 km, wyruszyło 113 śmiałków. Na mecie zameldowało się 99 z nich. Jako pierwszy finiszował plut. Artur Pelo z 1 Łęborskiego Batalionu Zmechanizowanego.

Dwa kolejne miejsca zajęli reprezentanci WKB Meta Lubliniec: Tomasz Kuliński i st. chor. Tomasz Maluk. Najlepszą z dziewięciu kobiet była Anna Kurdyk, geodetka z Kalisza.

Niewielu z ponad stu zawodników, którzy o godzinie 22. stanęli na starcie I Setki Komandosa, legitymowało się ukończeniem przynajmniej jednego biegu o długości 100 km. Większość po raz pierwszy w życiu postanowiła zmierzyć się z magicznym dystansem. Przyjechali do Lublińca z całej Polski, aby sprawdzić granice swojej wytrzymałości. Pierwsze 20 km pokonali wszyscy. Do 40. kilometra dotarło 109 śmiałków, do 60. – 101, a do 80. – 100. Z biegaczy, którzy wyruszyli na piątą rundę o długości 20 km 300 m, tylko jednemu nie udało się dotrzeć do mety. Z 14 śmiałków, którzy musieli zrezygnować z dalszego biegu, dwóch wyeliminowało skrócenie kostki, a jednego – kolana. Pozostali nie spełnili swoich marzeń z innych powodów – w większości przypadków po prostu zabrakło im sił, aby pokonać trasę. Nikt nie miał natomiast problemów z ukończeniem biegu w limitowanym czasie 20 godzin. Ostatni ze sklasyfikowanych zawodników zameldował się na mecie po 19 godz. 39 min walki ze swoimi słabościami.

Tylko czołowa dziesiątka biegaczy ukończyła ekstremalny bieg w czasie poniżej 12 godzin. Natomiast tylko dwaj pierwsi na pokonanie 101,5 km potrzebowali mniej niż 10 godzin. Podoficer z 1 Łęborskiego Batalionu Zmechanizowanego na mecie zameldował się po

9 godz. 33 min 43 s biegu. Tomasz Kulińskiego wyprzedził o 18 min i 5 s, a najlepsza z zawodniczek, Anna Kurdyk, biegła 13 godz. 13 min i 52 s.

ZWYCIĘSCY DEBIUTANCI

Plut. Artur Pelo i Anna Kurdyk po raz pierwszy w karierze spróbowali swoich sił w biegu na 100 km. Artur Pelo przed startem postanowił, że jeśli tylko rywale mu na to pozwolą, postara się cały dystans pokonać w umundurowaniu polowym. „Chociaż na 48. kilometrze straciłem pierwszą lokatę, dalej nie zamierzałem przebierać się w strój sportowy. Los się do mnie uśmiechnął przed zakończeniem czwartej rundy. Dość nieoczekiwanie wyprzedziłem Tomka i nabra-

łem wiatru w żagle”, przyznał plut. Pelo. Plutonowy chciał nie tylko wygrać, lecz także przełamać barierę dziesięciu godzin. „Dałem z siebie wszystko. Postanowiłem dotrzymać słowa żołnierzom z mojej kompanii, którym obiecałem, że jeśli po okresie podstawowym otrzymają na egzaminie piątkę z wychowania fizycznego, to ja wygram I Setkę Komandosa. Jak się wygrywa, to człowiek nie czuje bólu”, podkreślił 39-letni plutonowy. Szczęśliwy triumfator przyznał również, że lubi zwyciężać dla siebie i chwały niebieskich beretów – żołnierzy obrony Wybrzeża. „Jestem dumny z tego, że noszę niebieski beret”, stwierdził Artur Pelo.

Pierwsza zwyciężczyni Setki Komandosa Anna Kurdyk, zanim postanowiła pokonać dystans 100 km, ukończyła tylko dwa maratony. Jeden z nich w listopadzie ubiegłego roku właśnie w Lublińcu. „Maraton Komandosa był dobrym treningiem przed Setką Komandosa. Imprezy Mety mają jakąś magię. Po maratonie postanowiłam tutaj wrócić i cieszę się, że udało mi się pokonać dystans 100 km”, stwierdziła geodetka z Kalisza. Przed startem słyszała różne opinie o biegach ultra. „Opowiadano mi, że w takich biegach najpierw biegnie się siłą mięśni, a później największą rolę odgrywa psychika. Ostrzegano mnie również, że w pewnym momencie głowa i mięśnie odmawiają posłuszeństwa. U mnie do tego nie doszło. Od razu przyszła ta faza, kiedy biegnie się sercem, i tak było od startu do mety”, przyznała pierwsza triumfatorka Setki Komandosa. ■



ANNA DĄBROWSKA

Pamięć w granicie

**Nekropolia upamiętnia blisko 3,5 tys. Polaków
zamordowanych w 1940 roku.**

Wiosną 1940 roku władze sowieckie na podstawie decyzji Biura Politycznego Komitetu Centralnego WKP(b) Związku Sowieckiego z 5 marca 1940 roku wymordowały nie tylko polskich jeńców z obozów w Kozielsku, Ostaszkowie i Starobielsku, lecz także około 7,3 tys. Polaków, których po 17 września 1939 roku uwięziono na terenach sowieckiej Ukrainy i Białorusi. Na Ukrainie rozstrzelano 3435 osób, a na Białorusi około 3870.

NIEŚMIERTELNIK I GRZEBYK

Polskich obywateli przetrzymywanych w więzieniach NKWD na terenach zachodniej Ukrainy przewożono do Kijowa i w tamtejszych więzieniach nocą zabijano strzałem w tył głowy. Ciała ofiar ukrywano w różnych miejscach. Część z nich transportowano ciężarówkami albo tramwajami pod miasto, do lasu nieopodal wioski Bykownia. Zwłoki ukrywano na liczącej 5 ha leśnej działce należącej do NKWD. Tamtejszy sosnowy las był też miejscem pochówku ofiar innych masowych mordów, do których dochodziło w czasach stalinowskich. W latach siedemdziesiątych XX wieku władze ZSRR przeprowadziły w Bykowni prace

ekshumacyjne, których celem było zatarcie zbrodni stalinowskich. Wyczyszczono wówczas groby z przedmiotów, które pozwoliłyby na identyfikację ofiar. Elementem fałszowania faktów był też postawiony w 1988 roku pomnik, który informował o tym, że w tym miejscu pochowano 6320 sowieckich żołnierzy, partyzantów, działaczy podziemia i osób cywilnych, zabitych przez faszystów w latach 1941–1945.

Pierwszym potwierdzeniem mordu w Bykowni była przekazana polskim prokuratorom w 1994 roku przez Służbę Bezpieczeństwa Ukrainy kopia tzw. ukraińskiej listy katyńskiej. Jest to wykaz więziennych akt osobowych 3435 aresztowanych polskich obywateli wysłany 25 listopada 1940 roku przez NKWD z Ukrainy do centrali w Moskwie. Skazani figurujący w tym dokumencie zostali umieszczeni na listach dyspozycyjnych. Na ich podstawie tworzone transporty więźniów kierowanych na egzekucje.

Na liście znajdowali się policjanci, przedstawiciele inteligencji, ziemianie, inżynierowie, lekarze, prawnicy, posłowie i oficerowie, przede wszystkim rezerwy i w stanie spoczynku. Wśród nich było siedmiu generałów, m.in. Romuald Dąbrowski, były dowódca 28 Dywizji Piechoty, Kazimierz

PRZY WEJŚCIU NA TEREN POLSKIEGO CMENTARZA STOJĄ DWA GRANITOWE PYLONY Z RZEŻBAMI POLSKIEGO ORŁA ORAZ TABLICĄ

Dzierżanowski, były komendant Wyższej Szkoły Wojennej w Warszawie, i Mieczysław Linde, były dowódca 6 Dywizji Piechoty.

Przekazanie Polakom ukraińskiej listy umożliwiło poszukiwanie szczątków ofiar i rozpoczęcie prac archeologiczno-ekshumacyjnych na terenie Bykowni. Na zlecenie Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa prowadzili je w latach 2001, 2006–2007 oraz 2011–2012 polscy badacze z Instytutu Archeologii Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu pod kierunkiem prof. Andrzeja Koli. Odnalezione wówczas przedmioty potwierdziły, że spoczywają tam obywatele Rzeczypospolitej zamordowani przez funkcjonariuszy NKWD w 1940 roku. Odkryto m.in. polskie orzełki wojskowe, guziki od mundurów, monety, nieśmiertelnik sierż. Józefa Naglika, komendanta jednej ze straży Korpusu Ochrony Pogranicza, oraz grzebień z wydrapanymi czterema nazwiskami Polaków figurujących na liście ukraińskiej, w tym ppłk. Bronisława Szczyradłowskiego, zastępcy dowódcy obrony Lwowa.

RZĘDY NAZWISK

Możliwość wybudowania Polskiego Cmentarza Wojennego w Kijowie-Bykowni, w miejscu pochowania ofiar zbrodni katyńskiej, pojawiła się w 2010 roku dzięki przychylnej postawie nowych władz Ukrainy. Nekropolia jest czwartym cmentarzem katyńskim po otwartych w 2000 roku obiektach w Katyniu, Miednoje i Charkowie. Kamień węgielny pod jego budowę wmurowali jesienią 2011 roku prezydenci Polski i Ukrainy. Projekt nekropolii opracowali architekci z firm Air Projekt oraz Moderau Art. Ich koncepcja nawiązywała do rozwiązań zaproponowanych dla trzech cmentarzy katyńskich przez zespół kierowany przez rzeźbiarza: zmarłego w 2006 roku Zdzisława Pidka z Państwowego Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Gdańsku, Andrzeja Sołygę z Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie oraz architektów Wiesława i Jacka Synakiewiczów.

Prace budowlane w Bykowni wykonało polskie konsorcjum Unibep SA i Zakład Kamieniarski Furmanek. Z Polski przywieziono wszystkie materiały, w tym bloki i płyty granitowe. Koszt prac, który wyniósł blisko 8 mln zł, pokryła Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa ze środków przekazanych przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Cmentarz otwarto i poświęcono 21 września 2012 roku.

Polska nekropolia, obejmująca około 7 tys. m², jest częścią Narodowego Miejsca Pamięci „Bykowniańskie

Mogiły”. Spoczywają tu ofiary represji komunistycznych zamordowane podczas tzw. wielkiego terroru w latach trzydziestych XX wieku. Liczbę pochowanych tam osób, wśród których największą grupę stanowią Ukraińcy, szacuje się na 100–120 tys.

Przy wejściu na teren polskiego cmentarza stoją dwa granitowe pylony z rzezbami polskiego orła oraz tablicą: „Tu spoczywają obywatele II RP zamordowani przez sowieckie NKWD na terenie Ukrainy w 1940 roku”. W centralnej części nekropolii, tak jak na pozostałych polskich

cmentarzach katyńskich, wznosi się brama pamięci. Składa się na nią potężna granitowa ściana z białego kamienia. Wyryto na niej w kolejności alfabetycznej nazwiska spoczywających w tym miejscu ofiar. Przed ścianą ustawiono kamienny ołtarz, przy którym są odprawiane nabożeństwa, a z boku, w podziemnej niszy, zawieszono na czterech granitowych słupach dzwon pamięci.

Na terenie nekropolii umieszczono zbiorową mogiłę pomordowanych, uformowaną w kurhan pokryty kamienną kostką. Znajdują się tutaj także płaskorzeźby przedstawiające krzyże kampanii wrześniowej i Virtuti Militari oraz symbole chrześcijaństwa, prawosławia, judaizmu i islamu, podkreślające wielowyznaniowy charakter II Rzeczypospolitej: krzyże łaciński i prawosławny, Gwiazda Dawida i półksiężyc.

Pomordowanym poświęcono też indywidualne imienne epitafia. Rzędy 3435 tabliczek rozmieszczono wzdłuż alejek prowadzących do ołtarza. Napisy na nich zawierają imiona i nazwiska ofiar, stopnie wojskowe, daty i miejsca urodzenia, przydziały służbowe, zawody lub pełnione funkcje.

CMENTARNI WANDALE

Niestety pod koniec stycznia 2017 roku cmentarz w Bykowni został zdewastowany. Nieznani sprawcy pomazali czerwoną farbą olejną kamienne elementy nekropolii. Próbowano też zniszczyć wejście na polski cmentarz. Zniszczenia na obu częściach nekropolii zostały usunięte przez polską stronę. Nasza ambasada w Kijowie wystosowała też do ukraińskiego ministerstwa spraw zagranicznych notę dyplomatyczną w sprawie aktu wandalizmu i domagała się zbadania sprawy, złapania i ukarania sprawców. Aby w przyszłości zapobiec podobnym zniszczeniom, strona polska chce, żeby polskie obiekty pamięci na Ukrainie zostały objęte monitoringiem i były patrolowane przez policję lub firmy ochroniarskie. ■



Panu płk. Mirosławowi Horodejczukowi,
szefowi oddziału Centrum Koordynacyjnego
Sztabu Generalnego Wojska Polskiego,
Rodzinie oraz Bliskim
wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci
Ojca
składają szef Sztabu Generalnego
Wojska Polskiego
generał broni Leszek Surawski
oraz żołnierze i pracownicy SG WP.

Pani Ewie Gizińskiej,
kierownikowi kancelarii
Wojskowej Komendy Uzupełnień w Siedlcach,
wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci
Mamy
składają oficerowie i pracownicy wojska
z WKU w Siedlcach.

Słowa wsparcia oraz wyrazy głębokiego
współczucia
Panu ppłk. Bartłomiejowi Lorce
z powodu śmierci
Matki
składają żołnierze i pracownicy
Zarządu Rozpoznania i Walki Elektronicznej
Dowództwa Operacyjnego RSZ.

Panu kpt. Henrykowi Antczakowi
oraz Jego Rodzinie i Bliskim
wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci
Mamy
składają dowódca, żołnierze, koledzy i koleżanki
z 9 Dywizjonu Przeciwlotniczego z Ustki.

Pani Agnieszce Olias
wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
oraz słowa wsparcia w trudnych chwilach
z powodu śmierci
Mamy
składają komendant oraz kadra i pracownicy
resortu obrony narodowej
2 Regionalnej Bazy Logistycznej w Warszawie.

Panu kmdr. ppor. Arturowi Chruściel
wyrazy współczucia i szczerze kondolencje
z powodu śmierci
Ojca
składają komendant, żołnierze i pracownicy
resortu obrony narodowej
18 Wojskowego Oddziału Gospodarczego
w Wejherowie.

Panu st. chor. Marcinowi Kaim
wyrazy współczucia i szczerze kondolencje
z powodu śmierci
Matki
składają komendant, żołnierze i pracownicy
resortu obrony narodowej
18 Wojskowego Oddziału Gospodarczego
w Wejherowie.

Panu kpt. rez. Krzysztofowi Bugno
wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci
Żony
składają dowództwo, żołnierze i pracownicy
resortu obrony
1 Brygady Lotnictwa Wojsk Lądowych.

Z głębokim żalem przyjęliśmy wiadomość
o śmierci długoletniego żołnierza i pracownika
Żandarmerii Wojskowej
śp. ppłk. rez. Jarosława Piłskiego.
Wyrazy najszczerzego współczucia
Rodzinie i Najbliższym
składają komendant główny, żołnierze i pracownicy
Żandarmerii Wojskowej.

Nekrologi przyjmujemy tylko w formie elektronicznej. Treść kondolencji należy przesyłać pod adresem: polska-zbrojna@zbrojni.pl
z nagłówkiem wiadomości: „Nekrologi”. Prosimy o telefoniczne potwierdzenie zamieszczenia kondolencji: 261 845 213,
261 845 230, 261 840 227

**Panu st. chor. sztab. Sławomirowi
Niewiadomskiemu**

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają kadra i pracownicy
Centrum Symulacji i Komputerowych
Gier Wojennych ASzWoj.

**Panu płk. Dariuszowi Lewandowskiemu
oraz Jego Najbliższym**

wyrazy głębokiego współczucia i szczerę
kondolencję z powodu śmierci

Ojca

składają żołnierze i pracownicy wojska
34 Brygady Kawalerii Pancernej w Żaganiu.

**Panu mjr. Adamowi Suchowieckiemu
oraz Jego Najbliższym**

wyrazy głębokiego współczucia
i szczerę kondolencję
z powodu śmierci

Matki

składa komendant 1 RBLog wraz z żołnierzami
i pracownikami wojska.

Panu mjr. Andrzejowi Oźga

wyrazy głębokiego współczucia
i szczerę kondolencję z powodu śmierci

Ojca

składają szef, żołnierze oraz pracownicy wojska
Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego
w Katowicach.

Panu st. chor. sztab. Janowi Wyżga

wyrazy głębokiego żalu i szczerę współczucia
z powodu śmierci

Żony

składają komendant, żołnierze i pracownicy
Centrum Szkolenia Logistyki.

Naszej Drogiej Koleżance

Danucie Gacewicz

wyrazy głębokiego współczucia
oraz szczerę kondolencję
z powodu śmierci

Mamy

składają koleżanki i koledzy
z Inspektoratu Systemów Informacyjnych.

Panu st. chor. Adamowi Czarneckiemu

wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Mamy

składają dowódca, żołnierze i pracownicy
Jednostki Wojskowej Nr 2286 w Opolu.

**Panu płk. Dariuszowi Lewandowskiemu
oraz Jego Rodzinie i Bliskim**

wyrazy szczerę współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci

Ojca

składają dowódca, żołnierze i pracownicy wojska
Dowództwa 11 Dywizji Kawalerii Pancernej.

Wyrazy głębokiego współczucia
i najszczerze kondolencje

Panu Euzebiuszowi Szczytyńskiemu

z powodu śmierci

Mamy

składają dowódca, żołnierze i pracownicy
Jednostki Wojskowej Nr 2286 w Opolu.

Szanownej Koleżance

Joli Lewandowskiej

serdeczne wyrazy współczucia z powodu śmierci

Teścia

składają koleżanki i koledzy
z Dowództwa Operacyjnego
Rodzajów Sił Zbrojnych.

Panu ppłk. dypl. Jackowi Pradelokowi

wyrazy szczerę współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci

Teścia

składają dyrekcja i pracownicy
Wojskowego Biura Historycznego w Warszawie.

Panu ppłk. Antoniemu Sidorukowi
wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Mamy
składają dowódca, żołnierze i pracownicy
resortu obrony narodowej
3 Warszawskiej Brygady Rakietowej
Obrony Powietrznej.

**Panu kpt. Michałowi Sobczukowi
oraz Jego Rodzinie i Najbliższym**
wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci

Mamy
składają dowódca, żołnierze oraz pracownicy
1 Łębskiego Batalionu Zmechanizowanego
im. gen. Jerzego Jastrzębskiego.

Panu kpt. Piotrowi Spólnemu
wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci

Teścia
składają żołnierze oraz pracownicy wojska
7 Brygady Obrony Wybrzeża
Słupsk – Łębork – Trzebiatów.

**Panu ppłk. rez. Markowi Biskupskiemu
oraz Jego Rodzinie i Najbliższym**
wyrazy głębokiego żalu i współczucia
z powodu śmierci

Matki
składają kadra i pracownicy wojska
Szefostwa Eksploatacji Sprzętu Inżynieryjnego
i OPBMR
Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych.

Szer. Grzegorzowi Kryńskiemu
wyrazy głębokiego współczucia i szczerego żalu
z powodu śmierci
Mamy
składają szef i zastępcę
Oddziału Zabezpieczenia Żandarmerii
Wojskowej.

Z głębokim żalem żegnamy współpracownika,
kolegę i przyjaciela

ppłk. rez. dr. Zbigniewa Mazurka.

Jesteśmy przekonani, że czyny i zasługi Pana
Pułkownika na zawsze pozostaną w pamięci wśród
wielu pokoleń środowiska akademickiego.
Wyrażając smutek z odejścia tak ważnej dla nas
Osoby, łączymy się w nieukojonym bólu
z Rodziną i Najbliższymi.

Szczególne wyrazy współczucia kierujemy do
Żony, Córk i Syna.

Dziekan Wydziału Zarządzania i Dowodzenia
Akademii Sztuki Wojennej,
prodziekani, Rada Wydziału oraz pracownicy,
koleżanki i koledzy

Szer. Grzegorzowi Kryńskiemu
wyrazy głębokiego współczucia i szczerego żalu
z powodu śmierci

Mamy
składają koledzy i koleżanki z Oddziału
Zabezpieczenia Żandarmerii Wojskowej.

Żonie i dzieciom
st. chor. szt. Tadeusza Jaworskiego
wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci

Męża i Ojca
składają dowódca, dowództwo, kadra i pracownicy
resortu obrony narodowej 22 Ośrodka
Dowodzenia i Naprowadzania w Bydgoszczy.

Panu płk. w st. spocz. Markowi Truszkiewiczowi
wyrazy szczerego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Matki
składają dyrektor, żołnierze i pracownicy
Biura Ewidencji Osobowej WP.

**Panu mjr. Dominikowi Łuczakowi
oraz Jego Najbliższym**
wyrazy głębokiego współczucia i szczerę
kondolencje z powodu śmierci
Ojca
składają dowódca wraz z żołnierzami
i pracownikami wojska 21 Bazy
Lotnictwa Taktycznego w Świdwinie.

Panu Joachimowi Matuszykowi
wyrazy współczucia, żalu i otuchy
w trudnych dniach po śmierci

Żony

składają żołnierze i pracownicy wojska
Biura Ewidencji Osobowej WP.

Panu płk. w st. spocz. Markowi Truskiewiczowi

wyrazy szczerego współczucia i żalu
w trudnych chwilach po śmierci

Matki

składają żołnierze i pracownicy
Zarządu Organizacji i Uzupełnień – P1.

Panu płk. Arkadiuszowi Ferensowi
wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci

Mamy

składają dowódca, żołnierze i pracownicy
Dowództwa Garnizonu Warszawa.

Panu ppłk. Mirosławowi Dudkowi
wyrazy szczerego żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Mamy

składają dowódca, żołnierze i pracownicy
Dowództwa Garnizonu Warszawa.

Jest taka chwila, o której myślimy,
która na pewno nadejdzie, ale zawsze nie w porę,
zawsze za wcześnie...

Panu kadm. Krzysztofowi Jaworskiemu

wyrazy głębokiego żalu i współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają kadra i pracownicy 3 Flotyli Okrętów.

Panu kmdr. ppor. Mariuszowi Opiełce

wyrazy szczerego żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składa dowódca Centrum Operacji Morskich –
Komponentu Morskiego
wraz z podległą kadra i pracownikami RON.

Panu Wiesławowi Johanowi,
sędziemu Trybunału Konstytucyjnego
w stanie spoczynku,
członkowi Krajowej Rady Sądownictwa,
wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

Żony

składa prezes Wojskowego Sądu Garnizonowego
w Warszawie
sędzia płk Piotr Raczkowski.



Pamiętamy

st. sierż. Kazimierz Boroch
7 maja 1997 r., UNIFIL Liban

mł. chor. sztab. Marek Krajewski
8 maja 2004 r., PKW Irak

kpt. Sławomir Stróżak
8 maja 2004 r., PKW Irak

kpr. Wiktor Ciereszko
12 maja 1976 r., UNEF II Egipt

kpr. Zbigniew Grochowina
12 maja 1976 r., UNEF II Egipt

st. chor. sztab. Aleksander Safon
19 maja 1975 r., UNEF II Egipt

st. szer. Józef Stępnia
19 maja 1975 r., UNEF II Egipt

st. szer. Tomasz Ługowski
21 maja 2000 r., KFOR Kosowo

st. chor. Andrzej Bakselerowicz
25 maja 1993 r., UNTAC Kambodża

kpr. Tomasz Chmura
29 maja 1994 r., UNDOF Syria

JONATHAN STEFANKO/
USAF IN EUROPE BAND

Amerykanie pod Tatrami

Żołnierze z USA zagrali w Zakopanem.

Orkiestra Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych w Europie, stacjonująca na co dzień w niemieckim Ramstein, zagrała w Zakopanem. Muzycy pod dyktando Dona Schofielda wykonali hity musicalowe, muzykę filmową, kowbojską, zagrali też „Walczyka minutowego” Fryderyka Chopina. Publiczność szczególnie oklaskiwała wokalistkę zespołu **Jill Marie Diem**, która zachwyciła ich wykonaniem utworu „Frozen” z filmu Disneya oraz piosenkami Adele. Jak przyznała Diem,

jej przodkowie pochodzili z Nowego Targu, skąd wyemigrowali do Pensylwanii. Orkiestra z USA koncertowała pod Tatrami z okazji odnowienia trójstronnej umowy o współpracy Tatrzańskiego Parku Narodowego, jego słowackiego odpowiednika oraz amerykańskiego Parku Narodowego Gór Skalistych, a także z okazji międzynarodowej konferencji naukowej „Od wiedzy do inspiracji – nowoczesne metody edukacji w obszarach cennych przyrodniczo”. AD ■

Powrót orła

Miłośnicy historii z Koła Przyjaciół Muzeum Broni Pancernej z Poznania zrekonstruowali detale pomnika 4 Pułku Pancernego „Skorpion”, stojącego u wylotu Gardzieli, czyli w jednym z miejsc pamięci na terenie bitwy o Monte Cassino. Pomnik



zbudowano w 1946 roku ze szczątków czołgu Sherman, dowodzonego przez por. Ludomira Białeckiego. Dowódca wraz z załogą zginął w tym miejscu 12 maja 1944 roku w wyniku wybuchu miny. Przez ostatnie lata monument był uszkodzony – brakowało na nim skradzionego wiele lat temu orła. **Poznaniacy zrekonstruowali polskie godło i umocowali je ponownie na pomniku.** AD ■

Broń sprzed lat

MON kupiło unikatowy przedwojenny karabin.

Jednym z pierwszych na świecie Judanych karabinów samopowtarzalnych umożliwiających oddanie dziesięciu strzałów bez przeładowywania był **kbsp wz. 1938M Maroszek** kalibru 7,92 mm. Broń skonstruował w drugiej połowie lat trzydziestych inż. Józef Maroszek. Powstało około 150 egzemplarzy tych karabinów, a do dziś na świecie zachowało się zaledwie pięć sztuk. Jeden z nich został niedawno wystawiony na aukcję w amerykańskim domu aukcyjnym James D. Julia.

Pod koniec II wojny światowej amerykański żołnierz znalazł karabin w niemieckich koszarach w Bremerhaven i zabrał go do domu. W 1975 roku ówczesny właściciel karabinu, amerykański kolekcjoner Robert Farris, poprosił Muzeum Wojska Polskiego o identyfikację broni. Teraz Polsce udało się kupić maroszkę.

Jak poinformował wiceminister obrony Michał Dworczyk, karabin trafił do MWP. „Nie tylko jako bardzo rzadki eksponat, ale przede wszystkim dowód, że polska myśl techniczna przed 1939 rokiem była na najwyższym światowym poziomie!”, napisał wiceminister. KW ■



KSIĄŻKA

Zbrodnicze umysły PRL-u

**To nie lada gratka zarówno dla pasjonatów
współczesnej historii, jak i wielbicieli dobrych
kryminałów.**

Każda epoka ma swoich zbrodniarzy – morderców, psychopatów, gangsterów. 45-letnia historia Polski Ludowej dostarcza nam wiele takich przykładów. W książce „Zagadki kryminalne PRL” jej autorzy – Kazimierz Kunicki i Tomasz Ławecki – przedstawili 20 mrozących krew w żylach opowieści z życia więzi. Każda z nich mogłaby śmiało stanowić kanwę filmu sensacyjnego czy powieści z dreszczykiem.

Publikacja ta jest swoistą kroniką kryminalną powojennej Polski aż do momentu przemian ustrojowych, a zbrodnie i przestępstwa w niej opisane podpadają pod najróżniejsze paragrafy. Nieco starsi czytelnicy z pewnością wiele z tych wydarzeń pamiętają, ponieważ większość była szeroko komentowana w ówczesnych mediach. Tak było w przypadku zabójstwa Bohdana Piaseckiego, 15-letniego syna przewodniczącego Stowarzyszenia PAX, otrucia żony prof. Tarwida czy brawurowego napadu, do którego doszło pod NBP na ul. Jasnej w Warszawie. Szczególnie dużo emocji budziły śledztwa w sprawie seryjnych morderców. Wampir z Zagłębia, Lolo Rozpruwacz czy trójmiejski Skorpion miesiącami, a nawet latami terroryzowali polskie społeczeństwo. Część z tych spraw udało się rozwiązać, niektóre do dziś budzą wątpliwości...

Książka Kunickiego i Ławeckiego nie tylko uka-

zuje postaci najgłośniejszych przestępców, ale także obnaża słabości komunistycznego wymiaru sprawiedliwości, który – zwłaszcza po ogłoszeniu stanu wojennego – został zdominowany przez sprawy o charakterze politycznym. Autorzy przytaczają wypowiedź jednego z komendantów wojewódzkich: „Ustrój nam się wali, a wy się zabójstwami przejmujecie!”. Nic więc dziwnego, że w tej sytuacji na ściganie kryminalistów milicja nie miała już czasu. Inna rzecz, że w tamtych czasach techniki kryminalne były na znacznie niższym poziomie niż obecnie. Problemem było choćby zbadanie DNA, co w przypadku sprawców przestępstw na tle seksualnym mogło znacznie przyspieszyć śledztwo. Niestety, równie często winni opieszałości byli sami milicjanci, którzy niewłaściwie zabezpieczali ślady zbrodni.

Kazimierz Kunicki i Tadeusz Ławecki wykonali ogromną pracę – nie tylko zebrali w jednym miejscu najgłośniejsze zbrodnie czasów słusznie minionych, lecz także załączyli obszerną bibliografię źródłową oraz uwzględnili kontekst kulturowy, przypominając filmy i książki, dla których zbrodnie te stały się inspiracją. ■

MARTA SACHAJKO



Kazimierz Kunicki, Tomasz Ławecki,
„Zagadki kryminalne PRL”, Bellona, 2017.



Nosisz mundur?

**Interesujesz się
bronią palną?**

**Chcesz uzyskać
pozwolenie na broń?**

Dołącz do nas!

www.pskbpiss.pl
+48 732 75 75 75

**Polskie Stowarzyszenie
Kolekcjonerów Broni Palnej
i Strzelectwa Sportowego**

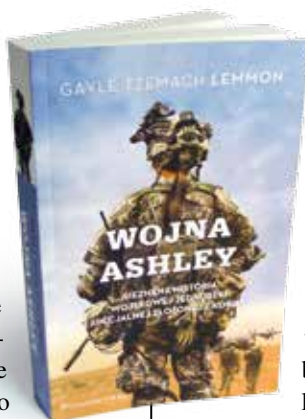
KSIĄŻKA

Diament wśród diamentów

Okazały się niezastąpione w działaniach sił specjalnych w Afganistanie.

Kobiety żołnierze, „Zostańcie częścią historii” – to pompatyczny nagłówek ulotki zachęcającej do służby w dowództwie operacji specjalnych. Zmieniła ona życie wielu żołnerek, które chciały służyć ojczyźnie na polu walki, a nie za biurkiem, i znacząco wpłynęła na całą armię amerykańską. Niewiele jednak osób słyszało o jednostce kobiet, które miały brać udział w operacjach specjalnych razem z „zielonymi беретami” czy rangersami.

Prawa i obowiązki kobiet w amerykańskim wojsku regulowała ustawa z 1948 roku, zabraniająca im m.in. służby na okrętach i samolotach. Z biegiem lat to się zmieniło, jednak wciąż nie miały dostępu do wielu stanowisk. Mniej więcej w takiej atmosferze zrodził się pomysł, żeby kobiety wspierały walczących w Afganistanie specjalsów. Dowódcy wreszcie zaczęli sobie zdawać sprawę z tego, że bez żołnerek nie są w stanie działać w pełni skutecznie w tym tak odmiennym kulturowo środowisku. Tym bardziej, że coraz częściej talibowie wykorzystywali tę słabość. Zdarzało się, że ginął cały oddział żołnierzy, bo nie przeprowadzono rewizji kobiet, wśród których ukrył się mężczyzna w burce opleciony pasem szahida. W końcu w 2010 roku zdecydowano się na tajny program pilotażowy i powołano zespoły wsparcia kulturowego (Cultural Support Teams – CST).



Gayle Tzemach Lemmon, „Wojna Ashley”, Prószyński i S-ka, 2017

Wprawdzie głównym zadaniem Amerykanek służących w tych zespołach miało być przesłuchiwanie kobiet i dzieci, rewidowanie ich oraz zdobywanie informacji niedostępnych dla mężczyzn, niemniej jednak działały one ramię w ramię z rangersami, którzy słyną z tego, że nieustannie szukają guza. I, jak powiedział jeden z instruktorów szkolących dziewczyny z CST, nieraz mogą znaleźć się w sytuacji, kiedy w mgnieniu oka z mediatorów będą musiały zamienić się w zabójczynie. Gayle Tzemach Lemmon odbyła setki rozmów z kobietami i mężczyznami z całych Stanów Zjednoczonych i przeanalizowała góry dokumentów. Efektem tej pracy jest „Wojna Ashley”, w której opisała nie tylko genezę i ideę powstania zespołów wsparcia kulturowego, lecz także pokazała od kulis morderczą selekcję, intensywne szkolenie i same akcje w Afganistanie. Wszystko za pośrednictwem historii kilku fantastycznych dziewczyn. Poznajemy ich motywację, wątpliwości, a także trudności, jakie musiały pokonać, by wyruszyć na linię frontu. I choć im się udało, musiały za to zapłacić wysoką cenę – tak jak Ashley White...

ANETA WIŚNIEWSKA

Władza kieruje się własnymi prawami, własną wewnętrzną logiką. [...] Porażka pierwszych chrześcijan oraz klęska socjalistycznej teorii równości daje się wytłumaczyć jedynie istnieniem ludzkiego popędu do sprawowania władzy nad innym ludźmi”. Tymi słowami Thomas Kunze, biograf Nicolae Ceausescu, podsumowuje kilkadziesiąt lat działalności politycznej Słońca Karpat, Miodu Świata, Władę Palownika XX wieku, który stanął gdzieś w ogonku kolejki pretendentów do tytułu największych zbrodniarzy historii.

Jak zaznacza Kunze, Ceausescu nie należał do tej ligi co Hitler, Stalin czy Pol Pot, ale jego decyzje, metody rządzenia, spirala terroru i wstrzyknięty w krwiobiegu narodu kult jednostki wprowadziły Rumunów w stan podszycygo strachem rozdwójnia jaźni, który trudno wyleczyć. Jak nauczał Niccolò Machiavelli, tam gdzie są duże chęci, przeszkody nie mogą być zbyt wielkie. Kariera Ceausescu była efektem niezmierzonej determinacji. Chłopski syn, z ukończonymi czterema klasami, bez szczególnych predyspozycji intelektualnych, został przywódcą europejskiego państwa. Tak

KSIĄŻKA

TRUDNE ŻYCIE TERRORYSTY...

Kacper Rękawek, absolwent studiów doktoranckich na Queen's University w Belfaście, to ekspert do spraw terroryzmu i jego zwalczania, a także autor wielu opracowań naukowych podejmujących problematykę bezpieczeństwa.

W swojej najnowszej książce stara się obalić stereotyp terrorysty pokazu-



KSIAŻKA

Pragnienie władzy

Fenomenem była błyskotliwa kariera polityczna rumuńskiego dyktatora.

jakby baśń braci Grimm o dzielnym Jasiu stała się rzeczywistością. Z tym jednak wyjątkiem, że gdy ten Jaś zdobył królestwo, nie rządził ani dobrze, ani mądrze.

W cytowanych przez Kunzego wspomnieniach osób, które zetknęły się z dyktatorem, Ceausescu nie zapisał się pozytywnie. Zapamiętano przede wszystkim to, że był zazdrosny i cechowała go niezrozumiała nienawiść – do wszystkiego i wszystkich. Poza nią wydawał się niezdolny do

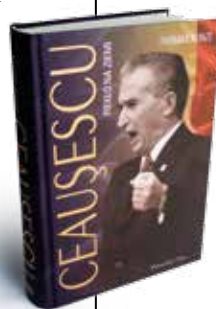
uczuć. Jednocześnie cechował go jakiś pierwotny instynkt, który podpowiadał bezbłędnie, jak przypodobać się ludziom. Ceausescu przez większość życia zmagał się z kompleksem niższości, potęgowanym przez braki w wykształceniu i poważną wadę wymowy. Był pozbawiony poczucia humoru i nienawidził każdego, kto ośmielił się z niego żartować. Lekceważąco o jego in-

telekcie wypowiadał się nawet Gheorghe Gheorghiu-Dej – mentor i opiekun, który przez wiele lat ciągnął Ceausescu przez kolejne urzędy i stanowiska. Biorąc pod uwagę powyższe opinie, trudno nie dostrzec, jakim fenomenem była błyskotliwa kariera polityczna rumuńskiego dyktatora.

Nie byłoby jednak Ceausescu bez partii, a partii bez Rumunii. Dlatego też Thomas Kunze, oprócz biografii dyktatora, rzetelnej analizie poddaje kilkadziesiąt lat historii tego państwa, będącej sinusoidą skrajnych upadków, terroru, represji i względnego spokoju. Proroctwem niemal okazały się słowa rumuńskiego filozofa Emila Ciorana, że fragmentaryczność i chwilowość dominują nad każdą rumuńską formą bytu. Czy śmierć ostatniego rumuńskiego dyktatora ustabilizowała tę sytuację? Według Kunzego, nie. ■

JOANNA
ROCHOWICZ

Thomas Kunze
„Ceausescu. Piekło na
ziemi”, Prószyński
i S-ka, 2016



jący go jednowymiarowo, jako człowieka uzbrojonego w pas szahida, który staje się tylko instrumentem służącym do zabijania. To równie często ktoś, kto ma kochającą rodzinę, odpowiednie wykształcenie czy dobrze płatną pracę. Według Rękawka, aby spróbować zrozumieć przesłanki ludzi, którzy zdecydowali się wejść na drogę terroryzmu, trzeba wziąć pod uwagę, oprócz motywów ideologicznych

czy politycznych, również aspekt psychologiczny ich działania. Bo zamachowiec nie równa się od razu psychopacie czy szaleńcowi, który dokonuje zbrodni. Nierzadko to zwykły człowiek, w którym nagle

coś pęka i popycha go do tak strasznego aktu przemocy.

Bohaterami „Człowieka z małą bombą...” są ludzie z organizacji terrorystycznych. Dzięki bezpośrednim rozmowom, któ-

re autor przeprowadził z dziesiątkami zamachowców, możemy poznać prawdziwe, często bardzo różne, powody ich desperackich działań.

Książkę Kacpra Rękawka, napisaną przystępnym językiem, polecam wszystkim zainteresowanym sprawami współczesnego bezpieczeństwa i jego zagrożeniami. ■

NATALIA
EKIERT

Kacper Rękawek, „Człowiek z małą bombą. O terroryzmie i terrorystach”, Czarne, 2017



KSIĄŻKA

O dawnej broni i innych akcesoriach

Ci, którzy chcą poszerzyć swoją wiedzę o orężu, jakim walczono w dawnych wiekach, powinni sięgnąć do opracowania, którego autorem jest Włodzimierz Kwaśniewicz. Jak wyjaśnia we wstępie, materiały zbierał przez prawie 20 lat, by w zwięzłej formie przedstawić ewolucję dawnej broni białej, palnej strzeleckiej oraz artyleryjskiej prochowej i miotającej. Dzięki temu możemy dowiedzieć się wiele o orężu, którym posługiwano się na polach bitew nie tylko Europy, lecz także w Azji, obu Amerykach czy Australii – nawet tak egzotycznym jak bumerangi bojowe wykorzystywane przez aborygenów. W książce została za-

warta również szersza wiedza historyczna dotycząca broni używanej w dawnej Polsce. Takie ujęcie zagadnienia wyróżnia tę pozycję na tle innych tego typu opracowań encyklopedycznych. Autor w formie tabelarycznej opracował wiele zestawień ręcznej broni palnej wykorzystywanej przez oddziały Wojska Polskiego, przedstawił też chronologię jej rozwoju według Dawida Hardinga. Niezaprzeczalnym atutem publikacji są także szczegółowe ryciny konkretnych egzemplarzy opisywanego sprzętu i bogaty materiał zdjęciowy.

Całość uzupełnia wykaz najbardziej znanych wytwórców dawnej broni wraz z wyjaśnieniem, jaki jej rodzaj produkowali.

Opracowanie, o którym mowa, poleciłbym szczególnie miłośnikom i kolekcjonerom dawnego oręża, ale też członkom grup rekonstrukcyj-

nych prezentującym historyczne wyposażenie żołnierzy. Z pewnością zawarte tu treści ułatwią precyzyjne odwzorowanie broni i pozwolą spojrzeć szerzej na osiągnięcia w produkcji środków walki używanych w minionych wiekach. ■

JAN BRZOZOWSKI

Włodzimierz Kwaśniewicz, „Encyklopedia dawnej broni i uzbrojenia ochronnego”, Bellona, 2017



KSIĄŻKA

Morderstwo generała

Kogo skuszą miliardy
z zamówień dla wojska?

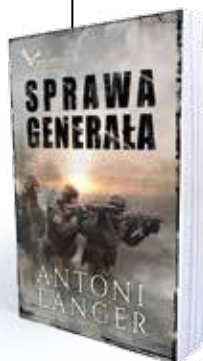
Ukazała się kolejna powieść Antoniego Langer, autora od lat opisującego zagadki na styku polityki, wojska, służb specjalnych i terroryzmu. Tym razem serwuje czytelnikom opowieść o kryzysie wywołanym morderstwem gen. dyw. Zbigniewa Sieradzkiego. Emerytowany wojskowy, który z armii odszedł po udzieleniu kontrowersyjnego wywiadu, został lobbystą. Pewnego dnia policja znajduje zmasakrowane ciało mężczyzny

w jego domu, z którego zniknęły wszelkie nośniki informacji. Zabójstwo z początku wyglądające na rabunek, z biegiem śledztwa, prowadzonego przez weterana Centralnego Biura Śledczego Policji Andrzeja Hermanowicza i młodą oficer Służby Kontrwywiadu Wojskowego Martę Nawrocką, odsłania coraz bardziej szokujące fakty. Polska musi stawić czoło kryzysowi politycznemu i fali

przemocy. Sam temat powieści, a także rozłożenie akcji na kilka wątków jednocześnie, sprawia, że książka jest dynamiczna i wciągająca. „Sprawa generała” to propozycja dla czytelników lubiących fikcyjne historie, ale z bardzo realistyczną fabułą. ■

PIOTR ZARZYCKI

Antoni Langer, „Sprawa generała”, WarBook, 2017



XX SELEKCJA

nabór i info:

www.combat56.pl



Znajdź nas na
Facebooku

/facebook.com/Selekcja-151542858218077



26.06-2.07.2017

Organizatorzy:

Sponsorzy i Partnerzy:



C-BORG

ARPOL



Energizer

LEWIATAN

pryzmat
www.pryzmat.torun.pl



FRAGOUT!

Polska Zbrojna



ANDRZEJ
FĄFARA

Zawracanie kijem Wieprza



12 maja mija 82. rocznica śmierci Józefa Piłsudskiego. Marszałek zmarł w wieku wcale niesędziwym, miał 67 lat. Lekarze rozpoznali u niego raka wątroby, którego nie dało się operować.

Rocznica stanie się zapewne okazją do przypomnienia zasług jednej z najwybitniejszych postaci w historii Polski. Także zasług wojskowych, z których najważniejsza to zwycięstwo w wojnie polsko-bolszewickiej w 1920 roku. W nocy z 5 na 6 sierpnia Piłsudski wymyślił manewr, który uratował Polskę, a zatem także Europę, przed „wszechświatowym pożarem rewolucji”. Gdy Sowieci stali na przedpolach Warszawy, postanowił wycofać dużą część polskich sił w kierunku rzeki Wieprz z zamiarem oskrzydlenia nieprzyjacielskiej armii.

Piłsudski miał świadomość wielkiego ryzyka takiego posunięcia. W książce „Rok 1920” pisał: „Warszawę skazywałem z góry na pasywną rolę, na wytrzymanie nacisku, który szedł na nią. Lecz wtedy z pasywną rolą nie chciałem wiązać ogromnej większości swoich sił. Gdy znowu myślałem o zmniejszeniu obsady pasywnej, to bać się zaczynałem o to, czy Warszawa wytrzyma i czy sam fakt wymarszu jakiejś części wojska, już do niej wciągniętej, nie wywoła zmniejszenia słabych sił moralnych i braku zaufania do możliwości obrony”.

Polska kontrofensywa przeprowadzona znaną z Wieprza okazała się przełomem w wojnie z bolszewikami. Armia Czerwona została w krótkim czasie rozbita, Piłsudski triumfował. Ten triumf miał jednak dla Marszałka niekiedy gorzki smak. Gdy bowiem wojsko wróciło do koszar, z ukrycia wyszli politycy. Przeciwnicy Piłsudskiego starali się za wszelką cenę umniejszyć jego udział w zwycięskiej wojnie. Jako główne postaci w Bitwie Warszawskiej wskazywali dwóch generałów, francuskiego – Maxime’a Weyganda i polskiego – Tadeusza Rozwadowskiego. W tym celu zorganizowali m.in. żenujące widowisko na dziedzińcu pałacu Krasińskich w Warszawie, gdzie liczne przedstawicielki arystokracji, na kolanach, całowały ręce gen. Weyganda.

Trafne w tej kwestii wydaje się podejście wybitnego historyka, prof. Andrzeja Garlickiego, który pisał: „Rozważania, jaki był udział w tworzeniu tego planu [Bitwy Warszawskiej – przyp. A.F.] marszałka Piłsudskiego, jaki zaś generałów Rozwadowskiego, Sosnkowskiego czy Weyganda – z punktu widzenia historyka mają znaczenie drugorzędne. Istotne jest, że Piłsudski jako Wódz Naczelny plan ten zaaprobował i rozkazał go realizować. Wziął tym samym na siebie odpowiedzialność, co w wypadku sukcesu oznaczało tytuł do chwały, a klęski – potępienie przez współczesnych i potomnych. Nie mógłby się wówczas Marszałek tłumaczyć, że to generał Rozwadowski podsunął mu zły plan”.

W rocznicę śmierci Marszałka dyskusje na ten temat znów pewno odżyją. Warto mieć świadomość, że można je dziś toczyć dzięki Józefowi Piłsudskiemu.





WYSTAWA
NARODOWA KOREI
POŁUDNIOWEJ

25 YEARS
LAT
MSPO

HONOROWY PATRONAT
PREZYDENTA
RZECZYPOSPOLITEJ
POLSKIEJ
ANDRZEJA DUDY

XXV MIĘDZYNARODOWY SALON PRZEMYSŁU OBRONNEGO

5-8.09.2017, KIELCE



ufi
Member

Partner strategiczny:
PGZ
POLSKA GRUPA ZBRÓJENIOWA

WWW.MSPO.PL


Targi Kielce
exhibition & congress centre

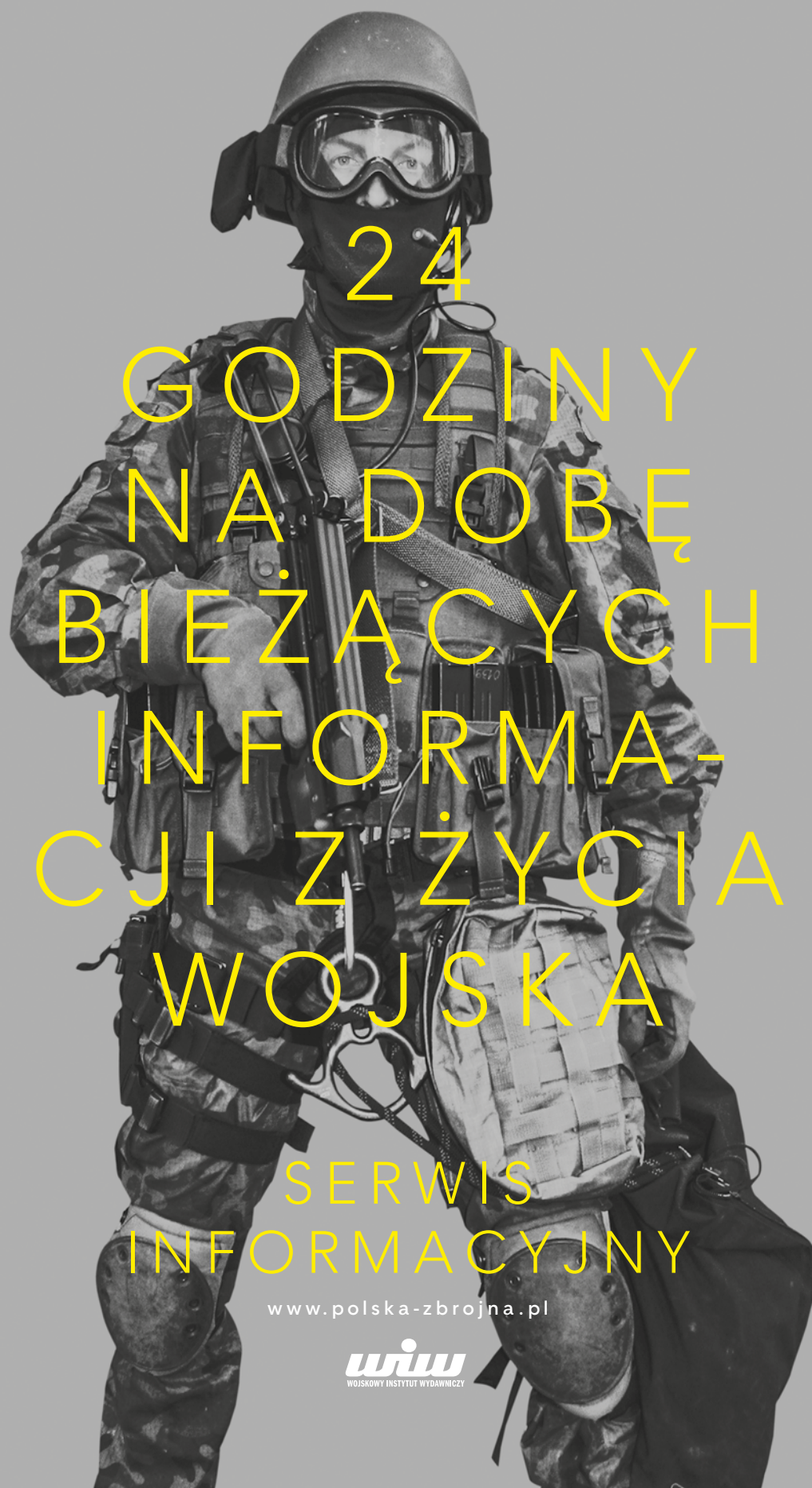
TARGI DAJĄ WIĘCEJ

Sprawdź na:

■ www.targidajawiecej.pl

■ facebook.com/targidajawiecej

POLSKA-ZBROJNA.PL



24
GODZINY
NA DOBĘ
BIEŻĄCYCH
INFORMA-
CJI Z ŻYCIA
WOJSKA

SERWIS
INFORMACYJNY

www.polska-zbrojna.pl

wiiw
WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY